BITWA BYŁA, ALE CZY POD CEDYNIĄ?

SŁOWIAN GENETYCZNY PORTRET WŁASNY

SERCE POD SZKIEŁKIEM I OKIEM

Nr 1–2 (128–129)
STYCZEŃ–LUTY 2024
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

POWSTANIE STYCZNIOWE 1863

POLSKI DUCH WALKI

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

JAKUBOWSKA • JARECKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

HISTORIA NIEZBĘDNA

Wchodzimy wraz z 2024 r. w nowe rocznice. Z tych bardziej okrągłych czeka nas 100-lecie śmierci ks. Kazimierza Lutosławskiego (ur. 5 stycznia 1924 r.), harcerza, wychowawcy, posła obozu narodowego, kapelana w wojnie 1920 r., a także 100-lecie reformy walutowej i powstania Banku Polskiego, dzieła dokonanego własnymi rękami, dzięki wiedzy i odwadze Władysława Grabskiego, w końcu 100-lecie otrzymania przez Władysława St. Reymonta Literackiej Nagrody Nobla za wybitne dzieło pt. „Chłopi", które ostatnio cieszy się szczególnym uznaniem z racji filmowej jego wersji (inna rzecz, czy wersji bliskiej oryginałowi!). Tych znaczących rocznic jest oczywiście w nadchodzącym roku znacznie więcej, m.in. 160. rocznica urodzin Romana Dmowskiego (9 sierpnia) czy też 80. rocznica wybuchu powstania warszawskiego. W przypadku rocznicy urodzin jednego z ojców niepodległości czekam usilnie na ten moment, by dyrekcja choć jednej szkoły publicznej w Polsce odważyła się nadać swej placówce imię Romana Dmowskiego! Jest okazja. Ponad 1000-letnia historia Polski i Polaków pozwala nam sięgać w głąb naszych dziejów bez końca w poszukiwaniu rocznic, znaczących postaci i wydarzeń. Zachęcam! Czy będzie łatwiej to czynić w nadchodzącym roku? Obawiam się, że NIE.

Obecny numer „wSieci Historii" (a jest ich blisko 130) jest bowiem jednocześnie ostatnim – wydawca podjął decyzję o zawieszeniu naszego wspólnego miesięcznika (ostatnio dwumiesięcznika). Wypada więc się pożegnać, mówiąc: do zobaczenia! Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do tak długiego trwania naszych pism („Na Poważnie", następnie „wSieci Historii"), a zatem wydawcy i – szczególnie stałym – autorom. Stworzyliśmy wspólnie silną intelektualnie grupę polskiej elity. Dziękujemy także instytucjom, które przekazywały nam swoje artykuły, wzbogacając łamy pisma, a jednocześnie zachęcając czytelników do przejścia na drugą stronę progów: muzeów, instytutów i archiwów. Dziękujemy czytelnikom, że chcieli być z nami i dzięki poznaniu historii Polski bardziej mogli ją pokochać.

„wSieci Historii" przechodzi zatem do historii, stając się jej częścią. Można będzie pisać o nas i naszych autorach oraz wydawcach kolejne prace, np. licencjackie i magisterskie. Młodzi naukowcy będą mogli odkryć nie tylko nasz wspólny dorobek, lecz także powiedzieć więcej o nas samych – o redakcji tego pisma. Podpowiadam pytania badawcze: czym się kierowaliśmy? Jaki był program naszego pisma? Po co było i dla kogo wydawane? Kto był naszym czytelnikiem? Czy zmieniliśmy choć na jotę świat bliższy i dalszy? Czy byliśmy zatem niezbędni?

Nie wiem, jakie będą odpowiedzi na te pytania, ale wiem na pewno, że historia jest nam niezbędna. Dzięki rozpoznanym korzeniom czujemy się bezpieczniejsi, jak listki z dębu z „Dewajtis" Marii Rodziewiczówny. Czasem może jednak ktoś przyjść z siekierą, jak w owej powieści, i próbować ściąć gałęzie, by całe drzewo obumarło. Warto dostrzec obcego nieprzyjaciela, który czasem może mieć twarz pozornie podobną do naszych twarzy, a nawet posługiwać się tą samą mową. I siekiera może być szczelnie ukryta lub upodobnić się do nowoczesnego narzędzia pokoju. ■

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR
AUTOPROMOCJA

eprasa.pl d17c3c1536

wSIECI HISTORII

SPIS TREŚCI
Nr 1–2 (128–129) STYCZEŃ–LUTY 2024

37 POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH I POWSTAŃCÓW PODZIEMIA ANTYKOMUNISTYCZNEGO ZŁĄCZYŁA WSPÓLNA HISTORIA – WSKAZUJE JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

28 NOWOCZESNE NARZĘDZIA BIOLOGII MOLEKULARNEJ POZWALAJĄ WRESZCIE UPORZĄDKOWAĆ WIEDZĘ O POCHODZENIU LUDÓW ZAMIESZKUJĄCYCH TERENY DZISIEJSZEJ POLSKI W CZASACH PIERWSZYCH PIASTÓW – PISZĄ NAUKOWCY PAN

3 **GŁOS NACZELNEGO**
JAN ŻARYN

6 **CO BYŁO**
PIOTR MAZUREK

TEMAT MIESIĄCA

8 **ZAPOMNIANA WOJNA 1654–1655 I „RZEŹ TRUBECKIEGO"**
HENRYK LITWIN

10 **MISJA ARCYBISKUPA FELIŃSKIEGO**
PIOTR ŚWIĄTECKI

13 **MĘCZEŃSTWO BISKUPA ANTONIEGO BARANIAKA SDB**
KS. JAROSŁAW WĄSOWICZ SDB

16 **BISKUPI NA WYGNANIU**
ANDRZEJ GRAJEWSKI

FELIETONY

7 **DLA GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH**
GRZEGORZ GÓRNY

19 **SILVA RERUM**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

65 **ROK 1969 – NASTĘPSTWO PO DE GAULLE'U**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

75 **PRZYGODA W MUZEUM**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

79 **TRANSNARÓD**
ANTONI DUDEK

79 **BUCZA I KFAR AZA**
RYSZARD CZARNECKI

80 **PRZEŁOMOWE POSIEDZENIE KKP W SZCZECINIE**
ARTUR KUBAJ

WEHIKUŁ CZASU

20 **STYCZEŃ, LUTY**
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

24 **PIECZĘĆ WIELKA LITEWSKA JANA III SOBIESKIEGO**
JACEK KROCHMAL

AAN

26 **SIŁA ETOSU POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH**
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DAWNO TEMU

28 **SPOŁECZEŃSTWO PAŃSTWA PIASTÓW – HISTORIA ZAPISANA W DNA**
NAUKOWCY INSTYTUTU CHEMII BIOORGANICZNEJ PAN W POZNANIU

32 **BITWA POD CEDYNIĄ**
MAREK BARAŃSKI

DUSZA KONTUSZA

34 **KOBIETA WIELU TALENTÓW**
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

37 **OD BOGDANOWICZA DO „USKOKA"**
JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

40 **ROBOTNICA BOŻA – SIOSTRA ANIELA RÓŻA GODECKA**
KAROLINA AGATA BIELAWSKA

43 **NARODOWCY NA PÓŁNOCNYM MAZOWSZU**
ROBERT RADZIK

45 **ŻYDZI W RUCHU KOMUNISTYCZNYM**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

48 **OD WZORCOWEJ BACÓWKI DO KULTOWEGO SCHRONISKA**
MICHAŁ KOMUDA

51 **„VIGIL" Z REFERATU 998**
MARIUSZ OLCZAK

54 **LIZBOŃSKI ŁĄCZNIK**
PAWEŁ SKUBISZ, IPN W WARSZAWIE

eprasa.pl d17c3c1

72 CZY KREOWANE Z ROZMACHEM MUZEUM HISTORII POLSKI NIE POWINNO SIĘGNĄĆ PO IDEĘ PRZESTRZENI PATRIOTYCZNEJ POMIĘDZY ZAMKIEM KRÓLEWSKIM A CYTADELĄ – PYTA JERZYK MIZIOŁEK

ZIEMIAŃSTWO

56 BRACIA BOHUSZ-SIESTRZENCEWICZOWIE Z NIEMENCZYNKA
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

IDMN

59 (NIE)ZNANY KURP – KS. STANISŁAW TWORKOWSKI
WOJCIECH BIELSKI

PRASPORT

62 „PIŁAT"
GRZEGORZ MAJCHRZAK

PEŁNA KULTURA

66 STANISŁAWA POMIAN-SRZEDNICKIEGO ZRĘBY POLSKIEGO SĄDOWNICTWA
MAGDALENA MERTA

69 KOZACKI DOKTORAT
ARTUR KOLĘDA

72 ALEJA WOLNOŚCI: OD ZAMKU KRÓLEWSKIEGO DO MUZEUM HISTORII POLSKI
JERZY MIZIOŁEK

76 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

78 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM WRÓBLEWSKIM
RAFAŁ ŁATKA

DIABEŁ NIE MÓGŁ

82 DZIWNE LOSY POLSKIEJ JANE AUSTEN
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

84 Z SERCEM DO SERCA
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

86 CZOŁG T-26, CZYLI PODPORA ARMII CZERWONEJ
KACPER GROCHOCKI

NAC PREZENTUJE

87 HOLZGAS
ŁUKASZ KAROLEWSKI

Z FOTOTEKI IPN

90 FURAŻERKA HONVEDA
MARIUSZ KWIETNIEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

91 „PODRÓŻ BOHATEREK. POWSTANIE KOBIET"
KATARZYNA UTRACKA

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Artur Kubaj, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Grzegorz Majchrzak, Jerzy Miziołek, Mariusz Olczak, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Przemysław Waingertner, Krzysztof Żaryn oraz AAN, AGAD, IDMN, IPN, MPW i NAC

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
lidia.slowikowska@fratria.pl
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Koncepcja: Michał Korsun; Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowe w Krakowie x2, Muzeum Wojska Polskiego, Shutterstock/ Valentina Kalashnikova, polona.pl x2

Gala 14. edycji „Książki Historycznej Roku"

27 listopada w Muzycznym Studiu Polskiego Radia im. Agnieszki Osieckiej w Warszawie odbyła się gala 14. edycji konkursu „Książka Historyczna Roku". Nagrody zostały przyznane w czterech kategoriach. Otrzymali je autorzy, których dzieła zostały wydane w języku polskim po raz pierwszy pomiędzy 1 stycznia 2022 r. a 28 lipca 2023 r. Ocenie dokonanej przez jury towarzyszyło głosowanie internetowe. W kategorii „Najlepsza książka naukowa poświęcona dziejom Polski i Polaków w XX wieku" jury nagrodziło pracę wicedyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej Pawła Skibińskiego „Kościół wobec totalitaryzmów (1917–1989). Światowy Katolicyzm i doświadczenie Polaków". Nagrodę czytelników w tej samej kategorii otrzymała książka Jarosława Molendy „Alfred Szklarski – sprzedawca marzeń. Pierwsza biografia twórcy przygód Tomka Wilmowskiego". Wśród „Najlepszych książek popularnonaukowych poświęconych historii Polski w XX wieku" uhonorowano książkę Piotra Nowaka „Filozofowie (w trzech słowach)", zaś czytelnicy wybrali „Zlikwidować! Agenci Gestapo i NKWD w szeregach polskiego podziemia" autorstwa Wojciecha Königsberga i Bartłomieja Szyprowskiego. Za „Najlepsze wydawnictwo źródłowe poświęcone historii Polski i Polaków w XX wieku" uznano dzieło Danuty Jastrzębskiej-Golonki, Ewy Kowalskiej, Ewy Dulnej-Rak i Katarzyny Ziębik „Gdy nieme groby przemawiają... Spuścizna katyńska". W kategorii „Najlepsze wspomnienia dotyczące historii Polski i Polaków w XX wieku" jury nagrodziło książkę „Walery Sławek. Wspomnienia zebrane" Pawła Samusia. Przyznane zostały też honorowe wyróżnienia pozycjom: „Fundusz Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego. Zamysł i realizacja" Mateusza Hübnera, „Prymas Stefan Wyszyński w realiach PRL" Rafała Łatki, „Ten drugi Piłsudski. Biografia Bronisława Piłsudskiego – zesłańca, podróżnika i etnografa" Przemysława Słowińskiego oraz „Aurelia Wyleżyńska. Kroniki wojenne" w opracowaniu Grażyny Pawlak i Marcina Urynowicza. W skład jury konkursu weszli: ks. prof. Waldemar Graczyk, prof. Marek Kornat, prof. Grzegorz Kucharczyk, prof. Andrzej Nowak, prof. Hubert Kowalski, prof. Piotr Gontarczyk, Paweł Lisicki, Piotr Semka. Organizatorami wydarzenia byli: Telewizja Polska, Polskie Radio, Instytut Pamięci Narodowej i Narodowe Centrum Kultury. Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Prezydent RP Andrzej Duda objął uroczystość patronatem honorowym.

Laureaci gali „Książki Historycznej Roku"

Otwarcie Muzeum „Pamięć i Tożsamość"

19 października w Toruniu zostało otwarte Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II, stanowiące instytucję kultury współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Fundację Lux Veritatis. W placówce przedstawiona zostanie historia Polski od chrześcijańskich początków jej państwowości po współczesność. Zadaniem Muzeum jest promocja historii Polski, polskiego dziedzictwa oraz kultywowanie idei wolności i solidarności zarówno w przestrzeni krajowej, jak i międzynarodowej. Słowami kluczami, wokół których zbudowana jest narracja Muzeum „Pamięć i Tożsamość", są: dziedzictwo, wspólnota kultury, poszukiwanie dobra wspólnego, charyzmat wolności i solidarność. Zwiedzającym została zaprezentowana również część wystawy stałej nosząca nazwę „Pamięć i Tożsamość", która prezentuje 10 stref tematycznych odpowiadających wątkom narracyjnym zamieszczonym w książce autorstwa Jana Pawła II o tym samym tytule. Narracja ekspozycji opiera się bezpośrednio na koncepcji ojczyzny papieża Polaka i sposobie odczytywania dziejów Polski z jego perspektywy. Wystawa ma składać się z dwóch części: pierwszą stanowić będą dzieje Polski, którym towarzyszy stały komentarz Jana Pawła II, natomiast w drugiej części będzie on nie tylko uważnym obserwatorem, lecz także uczestnikiem wydarzeń historycznych. Więcej informacji o działalności Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II można znaleźć na stronie internetowej: www.muzeumpit.pl.

„wSieci Historii" w Radiu Gdańsk

Radio Gdańsk

Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii" w ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia".

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/IPN; MAT. PRASOWE

eprasa.pl d17c3c1536

GRZEGORZ GÓRNY

Dla głuchoniemych i ociemniałych

Przez całe wieki osoby głuchonieme i ociemniałe doświadczały wykluczenia społecznego. Wady słuchu, mowy i wzroku sprawiały, że ludzie z tego rodzaju ułomnościami mogli zazwyczaj wykonywać jedynie prace fizyczne, nie mając możliwości jakiegokolwiek kształcenia się. Jeśli osoby takie rodziły się w ubogich rodzinach, skazane były na życie w biedzie, bez szans na wyrwanie się z zaklętego kręgu choroby i nędzy.

Instytucją szczególnie zasłużoną dla poprawy losu głuchych i niewidomych stał się Kościół katolicki, co widać doskonale na przykładzie Polski. Pionierem opieki nad osobami niesłyszącymi i niemówiącymi został ks. Jakub Falkowski z zakonu pijarów, który w 1817 r. założył Instytut Głuchoniemych w Warszawie – pierwszą tego typu placówkę na naszych ziemiach. Wspomniany kapłan pracował m.in. jako nauczyciel w szkole w Szczuczynie, gdzie poznał siedmioletniego chłopca, Piotra Gąsowskiego, który był głuchy. Przejęty losem dziecka, które nie z własnej woli nie miało możliwości uczenia się tak jak inne dzieci, postanowił poświęcić swoje życie pomocy ludziom z wadami słuchu. Stał się pierwszym w historii Polski nauczycielem osób głuchoniemych. Kształcił też pedagogów, którzy w przyszłości mieli uczyć dzieci i młodzież z wadami słuchu i mowy. Stworzona przez niego instytucja zajmowała się także prowadzeniem pracy naukowej oraz klasyfikacją różnych sposobów komunikacji z głuchoniemymi.

Kiedy w 1831 r. ks. Falkowski został proboszczem parafii św. Aleksandra w Warszawie, zainaugurował w świątyni celebrowanie mszy dla osób głuchoniemych. Od tamtego czasu są one nadal tam odprawiane. Podobnie do dziś istnieje – pod tym samym adresem – założony przez niego Instytut. Działalność ofiarnego pijara kontynuowali jego następcy – ks. Teofil Jagodziński i ks. Józef Hollak, którzy w 1879 r. wydali pierwszy w języku polskim „Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób z nimi styczność mających".

W 1842 r. przy Instytucie otworzono szkołę dla niewidomych. Nauczanie osób ociemniałych było wówczas o wiele mniej rozwinięte, niż nauczanie głuchoniemych. Przełom w tym obszarze nastąpił na ziemiach polskich znacznie później, a przyczyniła się do tego również osoba konsekrowana: siostra zakonna Róża Czacka. Była ona hrabianką z zasłużonego rodu, która w wieku 22 lat straciła wzrok. To sprawiło, że sama zaangażowała się w opiekę nad osobami z podobnym problemem. W 1910 r. założyła w Warszawie schronisko dla niewidomych, które utrzymywała z własnych funduszy. Uczyła przebywające tam kobiety rękodzielnictwa oraz alfabetu Braille'a. Rok później powołała do życia Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi – pionierską placówkę mającą na celu pomoc w zaspokajaniu potrzeb edukacyjno-wychowawczych, rehabilitacyjnych, socjalnych i religijnych osób niewidomych.

Ks. Jakub Falkowski

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1921 r. Róża Czacka rozpoczęła budowę w Laskach pod Warszawą zakładu, który stał się centralnym ośrodkiem Towarzystwa. Na jego terenie znajdowały się szkoły dla dzieci, internaty, wytwórnie, szpital oraz schroniska dla starców i osób niezdolnych do pracy. Laski okazały się również ważnym centrum życia duchowego, ponieważ powstał tam klasztor Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, które s. Róża Czacka założyła w 1918 r. Głównym charyzmatem nowego zakonu była służba niewidomym. Zakład stał się ważnym miejscem na intelektualnej mapie II Rzeczypospolitej, skupiając w okresie międzywojennym warszawską inteligencję katolicką jako centrum personalizmu chrześcijańskiego. Dzieło Lasek przetrwało zarówno II wojnę światową, jak i okres komunizmu, pełniąc do dziś swą nieocenioną posługę.

Siostra Róża Czacka w 1921 r. rozpoczęła budowę w Laskach pod Warszawą zakładu dla niewidomych

W 1934 r. Róża Czacka wraz z inną siostrą zakonną, Teresą Landy, dostosowała alfabet Braille'a do polskiego systemu fonetycznego. Otworzyła w ten sposób drogę do pełnego rozwoju tysiącom niewidomych dzieci w Polsce. W 2021 r. Róża Czacka została wyniesiona na ołtarze Kościoła katolickiego jako błogosławiona – razem z prymasem Stefanem Wyszyńskim, który także związany był z Laskami.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, ARCHIWUM RÓŻY CZACKIEJ ZGROMADZENIA SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA

eprasa.pl d17c3c1536

ZAPOMNIANA WOJNA 1654-1655 I „RZEŹ TRUBECKIEGO"

WOJNA POLSKO-ROSYJSKA, KTÓRA WYBUCHŁA W 1654 r., BYŁA W POLSKIEJ HISTORIOGRAFII NAJCZĘŚCIEJ KOMENTOWANA Z PERSPEKTYWY SPRAW UKRAIŃSKICH. TRZEBA JEDNAK PAMIĘTAĆ, ŻE FORMALNE WYPOWIEDZENIE WOJNY NASTĄPIŁO JESZCZE PRZED PEREJASŁAWIEM, A MIANOWICIE 10 STYCZNIA 1654 r.

Freski w kościele Wniebowstąpienia Karmelitów w Mścisławiu, przedstawiające zdobycie zamku przez Moskali oraz rzeź karmelitów w kościele mścisławskim, zdjęcia z 1912 r.

HENRYK LITWIN

Było ono nieuchronne już od października 1653 r., kiedy zwołany przez cara Aleksego sobór ziemski podjął decyzję o przyłączeniu Ukrainy do Moskwy. Agresja wojskowa na Rzeczpospolitą rozpoczęta w maju 1654 r. za główny cel obrała jednak ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego zaatakowanego przez potężną armię moskiewską pod dowództwem samego cara. Trzy korpusy, które uderzyły na Litwę, liczyły sobie w sumie ponad 70 tys. żołnierzy. Ich celem było zajęcie całego terytorium Wielkiego Księstwa i przyłączenie jego ziem do domeny carskiej. W Moskwie liczono na to, że stanowiąca znaczną część mieszkańców litewskiej części Rzeczypospolitej ludność prawosławna stanie po stronie najeźdźców. Opór wywoływał brutalne reakcje agresorów. Wiele miast uległo zniszczeniu, a ich ludność poddawana była eksterminacji. Ofiarami byli najczęściej katolicy i Żydzi, ale także „nieposłuszna" ludność prawosławna.

Szturm na Mścisław

W pierwszych miesiącach wojny oddziały carskie skupiły się na zdobywaniu głównych twierdz pogranicznych i odniosły wiele znaczących sukcesów. W sierpniu i we wrześniu zdobyto Smoleńsk, Witebsk, Mohylew, Druj, Dąbrowną i Dzisnę. Trzy ostatnie z tych miast zostały przy tym doszczętnie spalone, a ich ludność częściowo „wycięta", częściowo wygnana, a częściowo przymusowo przesiedlona w głąb Rosji. Szczególnie okrutny los spotkał jednak nieco wcześniej, w lipcu 1654 r., Mścisław, stolicę pogranicznego województwa Rzeczypospolitej. Zdobycie tego miasta i zamku przez Moskwę przeszło do historii jako rzeź Trubeckiego.

Aleksiej Nikitycz Trubeckoj był w 1654 r. dowódcą południowego korpusu wojsk moskiewskich, który zaatakował ziemie województwa mścisławskiego. Ten zasłużony w służbie carskiej dyplomata, działacz państwowy i dowódca wojskowy był członkiem ścisłej elity moskiew-

FOT. JAN OBST – FRESKI W KOŚCIELE MŚCISŁAWSKIM/WIKIPEDIA

eprasa.pl d17c3c1536

skiej i zaufanym współpracownikiem cara Aleksego. Sposób prowadzenia przezeń działań wojennych był bez wątpienia częścią przemyślanej moskiewskiej taktyki ustalonej w czasie przygotowań do agresji, prowadzonych pod ścisłym kierownictwem monarchy. Oddziały Trubeckiego pomyślnie rozpoczęły swoje działania i zajęły bez walki Rosław, leżący na południu województwa smoleńskiego. Nieobecność na południowym pograniczu wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego i brak pomocy militarnej z Korony powodowały, że opór na tym odcinku frontu był nieznaczny i kolejne miejscowości poddawały się najeźdźcom. W Mścisławiu bieg wypadków potoczył się jednak inaczej. W mieście osłanianym przez zamek i umocnienia ziemne chronili się nie tylko mieszczanie, lecz także okoliczna ludność oraz liczni przedstawiciele szlachty z województwa mścisławskiego i smoleńskiego. Kiedy w lipcu potężna armia Trubeckiego, licząca ponad 15 tys. żołnierzy rozpoczęła oblężenie, dowódca obrony Jan Statkiewicz stanowczo odrzucił możliwość poddania się, choć otrzymał od oblegających obietnicę „wielkich darów i wolności" dla Mścisławian za otwarcie bram miasta. Obrońcy liczyli na odsiecz oddziałów zebranych w województwie przez Mikołaja Posochowskiego, ale okazały się one zbyt słabe (ok. 3 tys. żołnierzy) i zostały rozbite pod miastem przez wojska Trubeckiego. W tej sytuacji 22 lipca 1654 r. rozpoczął się szturm. Po zmasowanym przygotowaniu artyleryjskim najeźdźcom udało się wedrzeć do miasta, a potem zająć zamek.

„Nieprzyjaciel Mścisław wysiekł"

Atak przerodził się w rzeź obrońców i ludności cywilnej. Kilkuset „niedobitych" mieszkańców napastnicy zmusili do opuszczenia miasta i skierowali na przymusowe miejsca osiedlenia w Rosji. Jak pisali świadkowie wydarzeń, napastnicy „miasto ogniem spalili i ludzi wysiekli" – „naród wszelki szlachecki, mieszczan i żydów a także ludzi prostych". W źródłach pojawiają się różne oceny dotyczące liczby ofiar, ale trudno wątpić, że były ich tysiące, a świadczą o tym przede wszystkim źródła moskiewskie. Znany jest list cara Aleksego do ówczesnego sprzymierzeńca Bohdana Chmielnickiego, w którym „hosudar" z dumą szacuje liczbę zabitych w „szturmie" Mścisławia na więcej niż 10 tys. „szlachty Polaków i Litwy i innych służyłych ludzi i księży i jezuitów i innych zakonów". W innym źródle rosyjskim – zapiskach kniazia Fedora Wołkońskiego – wspomina się o szturmie Trubeckiego, który „Mścisław wziął, wysiekł i spalił", zabiwszy ponad 15 tys. ludzi. Po stronie litewsko-polskiej odnotowano ze zgrozą mścisławskie wydarzenia, ale wiadomości o nich były zrazu niezbyt szczegółowe. „Nieprzyjaciel Mścisław dobył i wysiekł" – pisał hetman Janusz Radziwiłł do jednego ze swoich podkomendnych. Jego stryjeczny brat, przebywający w czasie wojny w Warszawie kanclerz Albrycht Stanisław Radziwiłł, w swoich pamiętnikach wspominał, że „Moskwicin [...] zajął Mścisław i puścił z dymem a wielu szlachty uprowadził". Z kolei pracujący przy dworze królewskim lekarz Maciej Vorbek-Lettow zapisał w diariuszu, iż „Moskwa szturmem opanowawszy Mścisław, jednych wysiekła, drugich do Moskwy odesłała". W polskich źródłach zwracano zatem szczególną uwagę na przymusowe przesiedlenia mieszkańców Wielkiego Księstwa. Moskiewskie – szczyciły się natomiast wielką liczbą „wyciętych" Mścisławian. Pamięć o masakrze przetrwała także w lokalnych ludowych opowieściach, a mieszkańców Mścisławia jeszcze w XVIII w. okoliczna ludność nazywała czasem „niedosiekami", czyli niedorżniętymi.

Rzeź duchowieństwa

Częścią mścisławskiej masakry była rzeź tamtejszych katolickich księży i zakonników. Nieco szczegółów tych tragicznych wydarzeń przechowała tradycja zakonna karmelitów obecnych w mieście od czasów fundacji dokonanej przez króla Zygmunta III. Wiadomo o trzech karmelitach zamordowanych w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny – przeorze Melchiorze Targowskim i dwóch braciach Aleksandrze Borchu i Arseniuszu Gładyszewiczu. Ofiar wśród zakonników było zapewne więcej. Kiedy po zakończeniu wojny z Moskwą w 1667 r. do Mścisławia wracało normalne życie, karmelici także odzyskali swoją świątynię. Powstała w niej wówczas, a może nieco później – już w XVIII w. – seria malowideł ściennych ilustrujących krwawe wydarzenia z 1654 r. Dwa z nich przetrwały do dzisiaj, ale współczesne fotografie wnętrz kościoła wciąż pozostającego w fazie remontu nie są dostępne w internecie. Znamy natomiast zdjęcia wykonane w 1912 r. Malowidła przedstawiały atak wojsk moskiewskich na miasto i scenę zabójstwa dokonanego na mnichach karmelickich. Na tym ostatnim widzimy dwóch zakonników już martwych i czterech kolejnych oczekujących w pokorze na swoją kolej. Nie ma pewności, czy to relacja oparta na zachowanych wtedy jeszcze przekazach, czy artystyczna wizja, której szczegóły podyktowane były prawidłami kompozycji. W każdym razie freski z kościoła Wniebowzięcia stanowią potwierdzenie przechowania pamięci o rzezi zakonników w lokalnej tradycji.

W rosyjskiej historiografii i imperialnej narracji historycznej wojna z lat 1654–1655 zajmowała i wciąż zajmuje ważne miejsce, ale rzecz jasna jej obraz przedstawiany jest w sposób specyficzny. Widać to choćby w stosowanym do dziś nazewnictwie, które wydarzenia 1654 r. opisuje jako „gosudariew pachod" (pol. pochód carski). Tryumfalny przemarsz Aleksego i jego oddziałów przez Wielkie Księstwo Litewskie owacyjnie witany przez „uciemiężony" dotąd prawosławny lud. Zniszczenie wielu miast, wymordowanie części ich ludności i przymusowe przesiedlenia nie są całkiem pomijane w opisach, ale przedstawiane jako nieuchronna kara stosowana wobec nielicznych rzekomo renegatów odrzucających łaskę carską oferowaną ludności w ramach tej „operacji pokojowej". Wielu rosyjskich historyków usiłuje też podważać prawdziwość relacji o rzezi Trubeckiego w Mścisławiu. Świadectwo pozostawione przez samego cara Aleksego, o jakim wspominałem wyżej, czyni te wysiłki bezprzedmiotowymi. Stanowią one jednak przykład konsekwentnego stosowania rosyjskiej narracji imperialnej, która przyznaje temu państwu niezbywalne prawo do używania wobec sąsiadów agresji, jako instrumentu swoiście traktowanej „sprawiedliwości dziejowej".

eprasa.pl d17c3c1536

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

MIERZĄC PROSTĄ, POLITYCZNĄ MIARĄ, KILKUNASTOMIESIĘCZNĄ WARSZAWSKĄ MISJĘ ŚW. KS. BP. ZYGMUNTA SZCZĘSNEGO FELIŃSKIEGO MOŻNA UZNAĆ ZA NIEUDANĄ

PIOTR ŚWIĄTECKI

MISJA ABP. FELIŃSKIEGO

Byłaby taką, gdybyśmy z jego przemyśleń i doświadczeń nie umieli korzystać. Co prawda nie zdołał zrealizować ani swoich planów, ani oczekiwań innych, ale dokonał więcej – wskazał nam kierunek...

Droga do biskupstwa

Matka ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego została zesłana na Syberię za udział w spisku Konarskiego pięć lat po śmierci jego ojca. Tylko dzięki pomocy przyjaciół osierocony Zygmunt Feliński mógł studiować w Moskwie i Paryżu. Podczas paryskich studiów pozostawał pod silnym wpływem Juliusza Słowackiego, przy którego śmierci jako jedyny Polak był obecny.

Wziął udział w powstaniu poznańskim, do końca życia nosząc na czole ślad uderzenia pruskiej szabli w bitwie pod Rogalinem. Pod wpływem tego wojennego doświadczenia, uznając stan duchowny za najlepszą formę służby narodowi, ukończył seminarium w Żytomierzu i Akademię Duchowną w Petersburgu, której stał się rychło wykładowcą. Pracę akademicką łączył z działalnością charytatywną, co uczyniło go popularnym nie tylko w środowisku petersburskiej Polonii, lecz także wśród rosyjskiej arystokracji i urzędników stołecznych.

Gdy Aleksander Wielopolski próbował rozwiązać kryzys wynikający z zamknięcia warszawskich kościołów po ich profanacji przez rosyjskie wojsko, ks. Konstanty Łubieński zwrócił mu uwagę na swego przyjaciela – skromnego wykładowcę Akademii Duchownej. I tak Feliński został kandydatem na wakującą warszawską stolicę biskupią, możliwym do przyjęcia zarówno przez carat, jak i Watykan. I margrabia, i Rosjanie nie zdawali sobie wówczas sprawy z silnego patriotyzmu nominata, patriotyzmu, który przesądził w istocie – w zestawieniu z jego zdecydowanymi poglądami moralnymi – o krótkim rezydowaniu w warszawskim pałacu arcybiskupim. Na razie jednak doszło do uzgodnień między Petersburgiem a Warszawą i ks. Zygmunt zyskał biskupie święcenia z petersburskich kościołów.

eprasa.pl d17c3c1536

Po życzliwym przyjęciu przez Aleksandra II, napełniającym idealistycznie nastawionego duchownego optymizmem, w styczniu 1862 r. ks. Szczęsny Feliński wyruszył z Petersburga do Warszawy. Po drodze odwiedził duchową stolicę Polski – częstochowską Jasną Górę. Nie była jeszcze skończona kolej petersburska, więc arcybiskup podróżował do Warszawy dookoła – przez Poznań i Wrocław.

W Warszawie

W tym czasie Rosjanie nie porzucili jeszcze zamiaru doprowadzenia do uspokojenia nastrojów w Królestwie. Liczyli na to, że nowy, wybrany przez nich biskup nie będzie ustępował warszawskim środowiskom konspiracyjnym i otwierając ponownie kościoły, uniemożliwi jednocześnie powrót do patriotycznych demonstracji w ich wnętrzach. Za uspokojeniem nastrojów i odsunięciem Kościoła polskiego od polityki zdawał się opowiadać również Watykan, z akceptacją powołania Felińskiego na stolicę biskupią wiązał postulat utworzenia w Rosji nuncjatury.

Uduchowiony, ascetyczny patriota został tym sposobem – w wyniku politycznego handlu – powołany do najtrudniejszej w swoim życiu roli. Nim niespełna 40-letni pasterz przybył do swojej nowej stolicy, środowiska skrajne zdążyły już oszkalować go w opinii publicznej. Paradoksalnie i w przekazie skrajnej, czerwonej lewicy, i rosyjskich środowisk urzędniczych Szczęsny Feliński jawił się jako podporządkowany bezgranicznie despocie carski najmita, powołany, by zdusić ruch patriotyczny. Jakby ujawniła się wspólnota interesów tych, którzy bez oceny realnych możliwości działania chcieli doprowadzić – z polskiej strony – do insurekcji – z tymi Rosjanami, którzy w zduszeniu powstania widzieli sposób zdobycia nagród, orderów, uznania i majątków.

Przybywającego do stolicy koleją wiedeńską z Częstochowy powitała na dworcu silna eskorta policji, która miała go chronić przed szykowaną rzekomo „kocią muzyką" Czerwonych. Arcybiskup z nadesłanej przez namiestnika, otoczonej kozakami karety nie skorzystał, lecz Warszawa o tym nie wiedziała i zyskała w tej niedoszłej asyście kolejny argument przemawiający za jego zbliżeniem z Moskalami.

Ingres i zderzenie z polityką

16 lutego 1862 r. arcybiskup odbył uroczysty ingres do katedry św. Jana, kilka dni wcześniej rekoncyliowanej przezeń po profanacji. Tego dnia, będąc po spotkaniach z podległym sobie duchowieństwem, z namiestnikiem Królestwa Polskiego Aleksandrem von Lüdersem, z delegacją Czerwonych pod kierunkiem Karola Majewskiego, z Andrzejem Zamoyskim i innymi przedstawicielami Białych, Szczęsny Feliński już wiedział – będzie tu sam. W Warszawie nie znajdzie sprzymierzeńców w żadnej z liczących się sił. Najboleśniej odbierał niechęć podległego mu duchowieństwa, w znacznej części silniej związanego z konspiracją niż hierarchią. Przykładem były brutalne, nieuczciwe ataki nań konspiracyjnego „Głosu kapłana" pochodzące spod pióra wikarego od Świętego Krzyża, ks. Karola Mikoszewskiego, późniejszego członka Rządu Narodowego (co ciekawe, ks. Mikoszewski skończył jako panslawista).

Duchowieństwo podległe Felińskiemu w znacznej części uznało jego postawę za zbyt ugodową, otwarcie kościołów za przedwczesne i niepotrzebnie bezwarunkowe, a próby usunięcia demonstracji politycznych ze świątyń za nieroztropne. Podobny pogląd dominował na czerwonej lewicy. Ale Biali również dawali się ponieść rewolucyjnej fali i oddawali złudzeniom o możliwości odbudowy Rzeczypospolitej w granicach przedrozbiorowych dzięki wsparciu Zachodu. A Rosjanie już biskupowi nie wierzyli, słuchając jego pierwszych, warszawskich, patriotycznych kazań.

W zasadzie wszyscy, łącznie z bp. Felińskim, błędnie oceniali sytuację. Łatwo to oczywiście spostrzec dziś, po 160 latach, znając dalszy bieg wypadków. Mylili się ci, którzy względną powściągliwość władz carskich uznawali za dowód słabości. Łagodne stosunkowo postępowanie wobec demonstracji w Królestwie było związane z przemijającymi uwarunkowaniami międzynarodowymi – Anglicy, Francuzi, Prusacy i Austriacy chętnie grali sprawą polską, ignorując jednak polskie interesy.

Kozacy ścigający uczestników demonstracji patriotycznej w kościele św. Anny w 1861 r.

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Mylili się i Czerwoni, i Biali, poważnie biorąc pod uwagę możliwość interwencji zbrojnej Zachodu: Francji, Anglii, Włoch czy Austrii. Mylili się Rosjanie, wierząc jeszcze, że wsparcie polityki Wielopolskiego (a jego wyrazem była akceptacja wyniesienia Felińskiego na warszawską stolicę biskupią) może doprowadzić do uspokojenia nastrojów rewolucyjnych. Mylił się bp Feliński, dostrzegając początkowo »

eprasa.pl d17c3c1536

» – w wyniku wieloletniego oddalenia w Petersburgu – dominację pierwiastka rewolucji społecznej nad niepodległościowym w konspiracji Królestwa. Błąd ten szybko skorygował dzięki wyjaśnieniom Andrzeja Zamoyskiego i innych Białych, lecz wówczas uwierzył, że potrafi poprowadzić Kościół, zachowując odpowiedni dystans w stosunku do bieżącej polityki. Biskup wierzył też chyba w możliwość ułożenia się polskich elit z caratem nawet wówczas, gdy nad Newą porzucono już ostatecznie takie plany.

Powstanie

W chwili wybuchu Szczęsny Feliński miał prawo poczuć się jeszcze bardziej osamotniony. Po 22 stycznia 1863 r. nie mógł odwrócić się od narodu. Byłoby to sprzeczne z jego szczerym, głębokim patriotyzmem, ale i interesem polskiego Kościoła. Nie mógł też poprzeć powstania, uznając je za przedsięwzięcie beznadziejne i szkodliwe, a zaangażowanie weń Kościoła – za wątpliwe doktrynalnie, chociażby w świetle karbonarskich i masońskich powiązań konspiracji. Pozostawało dawać świadectwo. Występując z pozycji strażnika wartości etycznych, protestował przeciwko brutalnym represjom władz carskich. Sprzeciwiając się samowoli władz wojskowych, wyszedł z Rady Stanu; nakłoniony przez wielkiego ks. Konstantego, cesarskiego brata, do wycofania dymisji, wystąpił za to do cara z radykalnym i naiwnym, pisemnym wnioskiem o wskrzeszenie Polski, połączonej z Rosją wyłącznie osobą króla – cesarskiego brata. List ten ukazał się rychło w paryskim „Le Moniteur". Publikacja, zainspirowana przez nieżyczliwych, miała mu zaszkodzić, i tak się też stało.

Bp Szczęsny próbował przemówić do cara Aleksandra II, odwołując się do trudnej do pojęcia w Petersburgu frazeologii. Zwracał uwagę na to, że winić Polaków nikt nie może za to, iż „mając świetną i bogatą przeszłość historyczną, wzdychają do niej i dążą do uzyskania niepodległości". Tego gorącego patriotyzmu nie można Polakom poczytywać za zdradę, a prób odzyskania niepodległości, powtarzających się od 100 lat, Rosjanie nie mają prawa potępiać. Zdanie polityków rosyjskich było dokładnie odwrotne.

Rosła brutalność rosyjskich represji, a postępowanie władz stało się w pewnym momencie prowokacyjne wobec Kościoła. 12 czerwca 1863 r. na stokach warszawskiej Cytadeli w obecności spowiednika, ks. Honorata Koźmińskiego (notabene – pechowego „odkrywcy" mateczki Kozłowskiej, założycielki Kościoła polsko-katolickiego), powieszony został ks. Agrypin Konarski. Kapucyn, misjonarz, przez pewien czas osadzony przez zwierzchność duchowną w odosobnieniu na Świętym Krzyżu za „gorszący sposób bycia", odnalazł się w roli charyzmatycznego kapelana oddziałów Teodora Cieszkowskiego, Dionizego Czachowskiego i Władysława Kononowicza. Rosjanie skazali Konarskiego na mierć, bowiem prowadził kosynierów do ataku z krzyżem w jednej, a z rewolwerem w drugiej ręce. Zgodnie z prawem kanonicznym wykonanie tego wyroku winno być poprzedzone zdjęciem sakry (święceń). Zlekceważenie tego oczywistego wymogu zmusiło bp. Felińskiego do kolejnego, ostrego protestu. Pisał do Komisji Wyznań o niczym nieusprawiedliwionym pogwałceniu nie tylko praw kanonicznych, lecz także powszechnie przyjętych w cywilizowanym świecie zwyczajów przyzwoitości, niepozwalających na wystawianie na urągowisko osób Bogu poświęconych. Ks. Konarski w kontekście swojego zbrojnego zaangażowania był nie do uratowania (podobnie jak później nie udało się bp. Szymańskiemu uratować ks. Stanisława Brzóski), lecz wykonanie wyroku bez zdjęcia święceń było już uderzeniem w cały Kościół.

Epitafium biskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, katedra pw. św. Jana Chrzciciela w Warszawie, 1926 r.

FOT. NAC

Koniec posługi

Prysły ostatnie złudzenia po obu stronach. Arcybiskup warszawski okazał się człowiekiem tak moralnym, samodzielnym i uczciwym, że dla caratu całkowicie bezużytecznym. Rosjanie zareagowali w swoim stylu, wywożąc ks. Felińskiego do Rosji. Już na stolicę warszawską nie wrócił... Dopiero po 20 latach udało mu się przenieść z Rosji – z Jarosławia nad Wołgą – do Galicji. Zmarł 17 września 1895 r. w Krakowie. Zwłoki jego zostały w 1921 r. przeniesione do warszawskiej katedry św. Krzyża w asyście weteranów 1863 r. – w istocie można go przecież uznać za jednego z nich.

Papież Benedykt XVI ogłosił go świętym 11 października 2009 r.

Z perspektywy 160 lat dostrzec można, że jako pasterz diecezji warszawskiej ks. bp Zygmunt Szczęsny Feliński trzymał się zasady: niech wasza mowa będzie „Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi" (Mt 5; 37). Nic dziwnego nie ma w tym, że był w swoich usiłowaniach samotny. Pisał: „Wolałem wziąć rozbrat z opinią mężów stanu niż z własnym sumieniem". Nie ostatni to nasz pasterz, który szukał równowagi między duchową misją polskiego Kościoła i obowiązkami patriotycznymi. I nie ostatni z polskich polityków, którego współcześni nie rozumieli.

eprasa.pl d17c3c1536

Obchody Tysiąclecia Chrztu Polski w Olsztynie i we Fromborku, składanie darów przez delegację rybaków na ręce metropolity poznańskiego ks. abp. Antoniego Baraniaka, 19 czerwca 1966 r.

FOT. NAC

MĘCZEŃSTWO BP. ANTONIEGO BARANIAKA SDB

KS. JAROSŁAW WĄSOWICZ SDB

WYWODZĄCY SIĘ ZE ZGROMADZENIA SALEZJAŃSKIEGO METROPOLITA POZNAŃSKI ABP ANTONI BARANIAK STAŁ SIĘ W OSTATNICH LATACH JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ ROZPOZNAWALNYCH POSTACI POLSKIEGO EPISKOPATU Z OKRESU POWOJENNEGO

Był w tym czasie najbliższym współpracownikiem prymasów Polski kard. Augusta Hlonda SDB i kard. Stefana Wyszyńskiego. Był też jednym z najbardziej doświadczonych przez komunistyczne władze polskich hierarchów, zwłaszcza w czasie stalinowskim. Zainteresowanie badaniami nad represjami wymierzonymi w tegoż kapłana wzrosło dzięki nowym materiałom źródłowym odnalezionym w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej, sam bowiem arcybiskup za życia niechętnie wracał do okresu z lat 1953–1956 i, jak podkreśla ks. prof. Zygmunt Zieliński, „nie przybierał nigdy pozy męczennika, chociaż był nim bez wątpienia". Za swoją niezłomną postawę, w 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, postanowieniem prezydenta RP Andrzeja Dudy, został pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego. Natomiast Sejm RP minionej kadencji ustanowił metropolitę poznańskiego jednym z patronów 2024 r.

Aresztowanie

Bp Antoni Baraniak został uwięziony w nocy z 25 na 26 września 1953 r. w związku z aresztowaniem prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego, choć ten przez długi czas nie był poinformowany o fakcie zatrzymania kierownika swojego sekretariatu. W relacji sporządzonej w 1974 r. na podstawie osobistych notatek bp Antoni Baraniak tak relacjonował swoje aresztowanie: „Nad ranem zjawił się jakiś oficer (jeden czy dwóch) i zaprowadzili mnie do mojego pokoju na I piętrze. Najpierw pogrzebali w różnych rzeczach i papierach, potem odczytał jeden z ubowców postanowienie prokuratury wojskowej, »że jestem aresztowany«, ale papierka nie dali. Kazali mi się ubrać. Na pytanie, jak się ubrać, jeden z nich odrzekł: »raczej ciepło!«. Kiedy mnie sprowadzili na dół, w całym domu, na schodach i przy schodach kręciło »

» się pełno ubowców. [...] W samochodzie, który stał przed domem, kazali mi usiąść za szoferem; wsiadło też dwóch ubowców. Krążyli dość długo po mieście, aż w okolicy Placu 3–ch Krzyży wylądowali na Alejach Ujazdowskich. Przystanęli dopiero przy Ministerstwie Bezpieczeństwa, na rogu ulicy Koszykowej. Jeden z ubowców wyszedł z samochodu i zniknął w bramie ministerstwa. Dość długo nie wracał. Powrócił wreszcie i samochód popędził na ul. Rakowiecką, do bramy więzienia, która otwarła się za małą chwilę. Doprowadzono mnie prosto do depozytu, gdzie zabrano moją teczkę z bielizną, wszystkie insygnia biskupie i wszystko, co miałem w kieszeniach, z Różańcem włącznie, oraz pieniądze, które ubowcy zabrali z mojego pokoju oraz sypialni. Zaprowadzono mnie do pustej betonowej celi, w której była prycza, taboret, dzban wody i miednica i kibel. Groźnie skrzypiał potężny klucz w żelaznych drzwiach i wreszcie nastała cisza. Przez zakratowane okno i matowe szybki, z góry zaglądał ponury poranek 26 września 1953 r.".

Abp August Hlond

Bp Baraniak przez kolejne 27 miesięcy był przetrzymywany w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie, gdzie mieścił się areszt śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. To ponure miejsce stało się wówczas symbolem kaźni polskich bohaterów. Wielu z nich, zamęczonych przez funkcjonariuszy UB lub zamordowanych w egzekucjach, oddało tu swoje życie.

Głównie zarzuty wobec bp. Baraniaka dotyczyły pośredniczenia w kontaktach kard. Hlonda z przywódcami „kontrrewolucyjnego" Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" oraz przekazywania do Stolicy Apostolskiej informacji o stosunkach między państwem a Kościołem, a także sprawozdań z sytuacji w poszczególnych diecezjach, co według komunistów czyniło z oskarżonego „agenta Watykanu". Pojawiły się też zarzuty o kontakty z dyplomatami zachodnich państw. W więzieniu sufragan gnieźnieński był przesłuchiwany przynajmniej 145 razy (tyle zachowało się protokołów), poddawano go torturom fizycznym i psychicznym, wyrwano mu paznokcie u rąk i nóg, był przetrzymywany w wilgotnych, zgrzybiałych celach, w których ze ścian i z sufitu nieustannie kapała woda. Poniżany spędził w nich wiele dni bez odzienia.

Mimo że nad złamaniem bp. Baraniaka pracowało 31 funkcjonariuszy UB, przez cały ten czas pozostał on wierny prymasowi. Nie poszedł na współpracę pomimo wielkiego cierpienia i brutalnych tortur. Nie złożył żadnych zeznań, które mogłyby obciążyć prymasów kard. Hlonda i kard. Wyszyńskiego. Do końca pobytu w więzieniu na Mokotowie był radykalnie izolowany od kontaktów z najbliższymi. Ze świadectw współwięźniów jednak wiemy, że swoją postawą podbudowywał innych przechodzących gehennę w areszcie śledczym na ul. Rakowieckiej. Wieści o torturach bp. Baraniaka i o pogarszającym się stanie jego zdrowia dotarły do emigracji. W marcu 1955 r. londyński „Dziennik Polski" oraz „Dziennik Żołnierza" doniosły nawet o śmierci biskupa jako ofiary komunistycznej bezpieki.

W grudniu 1955 r., prawdopodobnie w celu uniknięcia skandalu związanego z możliwą śmiercią biskupa w komunistycznym więzieniu, przewieziono go do miejsca odosobnienia w domu salezjańskim w Marszałkach pod Ostrzeszowem. Naczelny Prokurator Wojskowy gen. bryg. Stanisław Zarakowski, podsumowując zebrane w toku śledztwa materiały w sprawie bp. Baraniaka, uznał, że nie wystarczają one do wniesienia przeciwko niemu aktu oskarżenia. Zaznaczył też, że termin aresztu tymczasowego upłynął 30 listopada tegoż roku i pomimo kolejnych wniosków Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego o jego przedłużanie, uzasadnianych szeregiem niewykonanych jeszcze czynności śledczych, od połowy 1954 r. żadnych z nich nie podejmowano. Uznał więc, że ewentualne kolejne przedłużenie tymczasowego aresztu wobec biskupa może nastąpić jedynie za zgodą Rządu PRL. Natomiast 28 grudnia 1955 r. premier Józef Cyrankiewicz w rozmowie telefonicznej z Naczelnym Prokuratorem Wojskowym zlecił, aby następnego dnia uchylić areszt tymczasowy wobec dyrektora sekretariatu prymasa Polski.

Kard. Stefan Wyszyński

W Marszałkach biskup był cały czas pilnowany i izolowany. Współbracia salezjanie starali się zapewnić mu jak najlepsze warunki do odzyskania sił po więziennej katordze. Sprowadzali potajemnie lekarzy i potrzebne medykamenty. Mimo okazywanej przez współbraci troski zdrowie bp. Baraniaka nie poprawiało się. Wobec takiego stanu rzeczy w marcu 1956 r. Episkopat Polski wymusił na władzach możliwość kuracji dla wyniszczonego zdrowotnie hierarchy, którą ten podjął w Krynicy. Dopiero po wydarzeniach października 1956 r. bp Antoni Baraniak doczekał się tu ostatecznego uwolnienia.

Ks. prymas kard. Stefan Wyszyński dowiedział się o uwięzieniu bp. Baraniaka, przebywając w Komańczy. Pisał wówczas w swoich „Zapiskach więziennych": „[...] dowiedziałem się, że biskup Antoni Baraniak jest w więzieniu. Są nawet ludzie, którzy go tam widzieli w stanie wielkiego wymizerowania. Podobno przebywa w szpitalu więziennym. Są głosy, że trzyma się niezwykle dzielnie, pomimo wyczerpania i choroby. [...] Ludzie, którzy udzielili mi pierwszych informacji o biskupie Antonim, widzieli go w mokotowskim więzieniu przygodnie z dala, podczas spaceru. Był w sutannie, chodził sam, był bardzo blady, ale pogodny. Opinia, krążąca po więzieniu, przekazywała o nim jak najlepsze wrażenie. Wiedziano w Mokotowie, że biskup Baraniak trzyma się dzielnie i zajmuje godną postawę wobec swoich śledczych. Wiedziano,

FOT. NAC (2X)

eprasa.pl d17c3c1536

że biskup był »pod śledztwem«, że to śledztwo było długotrwałe i bardzo uciążliwe, że biskup nikogo nie obciążył. Mówiono, że wywiera dobry wpływ na więźniów, którym dodaje otuchy, imponuje swoją kapłańską postawą i najlepszym usposobieniem. »Zwycięża siebie«, »zadziwia siłą duchową«, chociaż siły duchowego są tak słabe, że budzą obawę wszystkich współwięźniów".

Więzienne rekolekcje i wsparcie Maryi Wspomożycielki

W więzieniu na Rakowieckiej biskup odbył prywatne rekolekcje. Wspomniał o tym raz w rozmowie w Rzymie ks. Antoniemu Banaszakowi, a ten po latach przekazał tę relację swojemu kuzynowi historykowi ks. Marianowi Banaszakowi: „Arcybiskup mówił, że w okresie wzrastających szykan ze strony władz więziennych i gróźb przesłuchujących go ubowców odprawił rekolekcje. W ich wyniku doszedł do postanowienia, że składa swoje życie Bogu w całkowitej ofierze i że w więzieniu nie będzie czynił niczego, by ratować siebie (swoje życie), skoro jest to konieczne dla dobra Bożej sprawy i Kościoła. Odtąd nie przerażały go żadne groźby ubowców i wytrzymał nawet torturę, jaką było trzymanie go przez kilka dni i nocy w »ciemnicy«, wilgotnej, z kapiącą wodą z sufitu i ścian, a on był też bez żadnego odzienia".

Po wyzwoleniu z komunistycznego więzienia bp Antoni Baraniak odbył pielgrzymkę dziękczynną po domach salezjańskich w całej Polsce, dziękując za modlitwy w jego intencji. Wszędzie witano go z entuzjazmem, często z transparentami „Defensor Eclesiae" („Obrońca Kościoła"). Swoje pielgrzymowanie zakończył w święto Matki Bożej Królowej Polski w 1957 r. Złożył wówczas na Jasnej Górze wotum wdzięczności za wybawienie z niewoli, na którym wygrawerował napis: „Najmiłościwszej Dziewicy Maryi Wspomożycielce Wiernych, Jasnogórskiej Królowej Polski składam wotum kornej podzięki za wybawienie z więzienia Mokotowskiego i za skrócenie dni wygnania: 26 IX 1953 – 1XI 1956. Uroczystość Wszystkich Świętych. Biskup Antoni Baraniak Sufragan Gnieźnieński, Warszawa 3 maja 1957 r.".

Kilka dni później bp Antoni Baraniak podziękował jeszcze za swoje ocalenie św. Andrzejowi Boboli w czasie uroczystości, jakie jezuici zorganizowali z okazji jubileuszu 300. rocznicy męczeńskiej śmierci patrona Polski przy kaplicy zakonnej na ul. Rakowieckiej w Warszawie. W odpowiedzi na zaproszenie na te rocznicowe celebracje, w okolicznościowym liście przesłanym rektorowi Kolegium św. Andrzeja Boboli w Warszawie ks. Edwardowi Bulandzie SJ, biskup pisał: „Pragnę w ten sposób wywdzięczyć się naszemu Niebieskiemu Patronowi za wszystkie łaski, jakie mi wypraszał w latach doświadczenia bożego, kiedy to – po sąsiedzku– przebywałem w Mokotowskim więzieniu i podtrzymywany na duchu przykładem męczeńskiego Bohatera jedności Kościoła świętego mogłem chociaż trochę ucierpieć dla tej samej najświętszej sprawy".

W latach 1953–1956 stał się bp Baraniak wraz z ks. Prymasem Wyszyńskim bohaterskim obrońcą wiary i Kościoła, świadkiem prawdy, nieugiętym w swoim powołaniu kapłańskim, niezłomnym w swojej postawie wobec komunistycznej władzy. Ten trudny – ale w efekcie zwieńczony chwałą zwycięstwa dobra nad złem – okres w życiu bp. Antoniego jeszcze raz przywołał w swoim wystąpieniu żałobnym nad trumną przyjaciela kard. Wyszyński: „Biskup Baraniak uwięziony [...] był dla mnie niejako osłoną. Na niego bowiem spadły główne oskarżenia i zarzuty, podczas gdy mnie w swoim odosobnieniu przez trzy lata oszczędzano. Nie oszczędzono natomiast biskupa Antoniego. Wrócił na Miodową w 1956 r. tak wyniszczony, że już nigdy nie odbudował swojej egzystencji psychofizycznej. [...] O tym, ile wycierpiał, można się było tylko dowiedzieć od współwięźniów. [...] Domyślałem się, że mój względny spokój w więzieniu zawdzięczam jemu, bo on wziął na siebie jak gdyby ciężar całej odpowiedzialności Prymasa Polski. To stworzyło między nami niezwykle silną więź. Wyraża się ona z mojej strony w głębokim szacunku dla tego człowieka, a zarazem w serdecznej wdzięczności wobec Boga, że dał mu tak wielką moc, iż mogłem się na nim spokojnie oprzeć".

Do końca życia abp Antoni unikał rozmów na temat przykrych doświadczeń więziennych. Nie skarżył się na swoich oprawców. Lata spędzone w więzieniu i na odosobnieniu nadwerężyły zdrowie biskupa. Do końca życia zmagał się z wieloma dolegliwościami spotęgowanymi więziennymi przeżyciami i torturami. Jolanta Hajdasz, przygotowując filmy dokumentalne o abp. Baraniaku, dotarła do relacji lekarek, które opiekowały się nim w ostatnich dniach jego życia i widziały ślady tortur na plecach. Gastrolog dr Milada Tycowa na potrzeby filmu ujawniła takie informacje: „Widziałam blizny na plecach arcybiskupa Baraniaka. Byłam asystentką w klinice przy ulicy Przybyszewskiego w Poznaniu i po przyjęciu arcybiskupa do kliniki opiekowałam się nim. [...] To, że był tak wyniszczony, było na pewno skutkiem przebywania w więzieniu, gdzie przecież wiadomo, że był maltretowany. Świadczyły o tym blizny na plecach, bo był tak brutalnie przesłuchiwany. W czasie badania przedmiotowego zauważyłam te blizny i zapytałam arcybiskupa, od kiedy to ma, to mi powiedział, że to jest pamiątka po pobycie w więzieniu. Było to pięć, sześć tych blizn, takich pięcio- czy nawet dziesięciocentymetrowych, to były duże blizny".

Zapomniane męczeństwo

„Zapomniane męczeństwo" – takim mianem określano w ostatnich latach historię uwięzienia i internowania w latach 1953–1956 ówczesnego sufragana diecezji gnieźnieńskiej, kierownika Sekretariatu Prymasa Polski bp. Antoniego Baraniaka SDB. Ustanowienie go patronem 2014 r. jest dobrą okazją, by przywrócić pamięć o tym niezłomnym hierarsze polskiego Kościoła.

eprasa.pl d17c3c1536

BISKUPI NA WYGNANIU

ANDRZEJ GRAJEWSKI

WYGNANIE PRZEZ WŁADZE BISKUPÓW Z KATOWIC I ZASTĄPIENIE ICH WIKARIUSZAMI KAPITULNYMI BYŁO PRÓBĄ ZASTOSOWANIA W POLSKICH WARUNKACH SOWIECKIEGO MODELU KONTROLI NAD KOŚCIOŁEM OD WEWNĄTRZ

Istotą konfliktu, który swój finał na Górnym Śląsku miał jesienią 1952 r., był narastający od 1949 r. proces laicyzacji szkół, szczególnie zaawansowany na terenie diecezji katowickiej. Pomimo interwencji biskupa katowickiego Stanisława Adamskiego, jak również całego Episkopatu Polski, proces ten postępował, co stanowiło złamanie zasad wolności sumienia gwarantowanych formalnie nawet w PRL. Jesienią 1952 r. władze szkolne usunęły naukę religii ze 130 szkół na terenie diecezji katowickiej, zdjęto także krzyże w większości klas szkolnych. Groziło to wychowaniem młodego pokolenia w duchu ignorancji religijnej i ateizmu. Na to zgody być nie mogło.

Bp Adamski zanim został biskupem, był posłem, senatorem i czołowym działaczem Chrześcijańskiej Demokracji, a wcześniej liderem ruchu spółdzielczego w Wielkopolsce oraz członkiem Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu, organizującej czyn niepodległościowy na tym obszarze. Wychowany w szkole realizmu politycznego wiedział, że przetrwanie w warunkach totalitarnego państwa wymaga kompromisów i obrony tego, co było do uratowania. Tak postępował w czasie niemieckiej okupacji, podobnie w pierwszych latach po wojnie. Zbudował wtedy poprawne relacje z wojewodą śląsko-dąbrowskim Aleksandrem Zawadzkim i jego zastępcą płk. Jerzym Ziętkiem. Jednocześnie był legalistą i domagał się, aby władze przestrzegały praw, które same stanowiły, zwłaszcza w kwestii nauczania religii w szkołach. W tej sprawie był nieustępliwy, nieraz publicznie wytykał władzom łamanie wolności sumienia w obszarze edukacji.

Bp Herbert Bednorz

U swego boku miał dwóch wybitnych biskupów. Wikariuszem generalnym był doświadczony kurialista i prawnik bp Juliusz Bieniek. Natomiast biskupem koadiutorem z prawem następstwa od 1950 r. był Herbert Bednorz. Miał 44 lata i był jednym z młodszych biskupów w Polsce. Wspólnie zdecydowali, że w obronie nauczania religii i krzyży w szkołach głos powinni zabrać sami rodzice. 27 października 1952 r. bp Adamski wydał odezwę do wiernych, w której wyraził ubolewanie z powodu usuwania nauki religii z wielu szkół na Śląsku. Jej autorem prawdopodobnie był bp Bieniek, uwagi do niej wniósł także bp Bednorz. W dokumencie podkreślono, że ograniczenie nauczania religii jest sprzeczne z prawem. Biskup przypominał, że rodzice mają prawo składać skargi na nielegalne usuwanie religii ze szkół. Podpowiadał, aby w takich przypadkach składać petycje do władz szkolnych, domagając się jej przywrócenia. Jednocześnie zachęcał wiernych, aby w obronie lekcji religii skierowali petycję także do Krajowej Rady Narodowej. Wskazany adres był błędny, gdyż ten samozwańczy parlament utworzony przez komunistów nie istniał już od 1947 r. Właściwym adresatem petycji powinna być Rada Państwa i taka była intencja pomysłodawców całej akcji. Orędzie bp. Adamskiego odczytano w kościołach diecezji katowickiej w uroczystość Wszystkich Świę-

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d17c3c1536

tych i następnego dnia – w niedzielę, 2 listopada 1952 r. Jednocześnie w świątyniach wyłożono listy z petycją, pod którą zebrano 72 tys. podpisów. Wieczorem 2 listopada zawiózł je do Warszawy bp Bieniek, ale później zniszczył, gdy dowiedział się, że bezpieka rozpoczęła aresztowania wśród księży, którzy odczytali odezwę z ambony.

„To już słyszałem"

7 listopada bp Adamski, który w tym czasie przebywał w Domu Rekolekcyjnym w Kokoszycach, dowiedział się od funkcjonariusza UB, który przyjechał z Warszawy, że wydanym 6 listopada 1952 r. orzeczeniem Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym (sygn. I CKS 2252/52) został skazany na opuszczenie województwa katowickiego. Zakaz miał obowiązywać przez pięć lat. Jak opowiadał mi po latach abp Stanisław Szymecki, który wtedy jako kapelan biskupa katowickiego był świadkiem sceny, która rozegrała się w Kokoszycach, bp Adamski w pewnym momencie przerwał ubekowi słowami: „Znam to, to już słyszałem". Gdy zdumiony funkcjonariusz zapytał, skąd zna treść dokumentu, biskup odpowiedział, że podobny odczytał mu oficer gestapo w lutym 1941 r., gdy nakazano mu natychmiastowe opuszczenie diecezji. Po południu bp Adamski wrócił do Katowic, a następnie udał się do Krakowa. Później zatrzymał się w Warszawie i Poznaniu. Ostatecznie pod koniec listopada 1952 r. znalazł schronienie w klasztorze sióstr urszulanek w Lipnicy, małej wiosce w powiecie szamotulskim. Identyczny wyrok zapadł w stosunku do bp. Bednorza i Bieńka. Funkcjonariusze bezpieki pojawili się także w kurii diecezjalnej w Katowicach. Poinformowali kurialistów, że wysiedleni biskupi nie mogą wykonywać żadnych funkcji administracyjnych i duszpasterskich. Zostawili orzeczenie o wysiedleniu, a urzędnikom powiedzieli, że mają tak ułożyć sobie pracę, „żeby wszystko było dobrze". Do Katowic nie wrócił już bp Bieniek. Zamieszkał w Kielcach w domu księży emerytów, a później musiał się przenieść do Kępna pod Poznaniem.

Najbardziej dramatyczne były losy bp. Bednorza. 4 listopada został wezwany na przesłuchanie do gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, stojącego nieopodal Kurii Diecezjalnej. Udał się tam pieszo w sutannie, piusce i z krzyżem na piersiach. Myślał, że po przesłuchaniu wróci do Kurii. Tak się nie stało, gdyż w trakcie przesłuchania poinformowano go, że zostaje aresztowany. Trafił do celi w areszcie śledczym, znajdującej się w piwnicach budynku. W trakcie przesłuchania domagano się, aby złożył zeznania obciążające odpowiedzialnością za wydanie odezwy bp. Adamskiego, ale bp Bednorz tego nie uczynił. W pojedynczej celi spędził blisko miesiąc, bez żadnego kontaktu z kimkolwiek.

Gdy rozmawiałem z nim w 1985 r. o tym okresie, wspominał, że nie był już później przesłuchiwany, nie był także bity. Najbardziej dokuczało mu stale palące się światło w celi oraz niepewność, co będzie dalej. W jego opinii nie był to jednak czas stracony, gdyż uważał go za prawdziwą konsekrację biskupią. „Wtedy musiałem zdać egzamin z odpowiedzialności za całą wspólnotę Kościoła lokalnego na Górnym Śląsku" – wspominał. Zwolniony został 1 grudnia 1952 r. i pojechał do Krakowa, a następnie do Poznania. Zamieszkał w domu sióstr misjonarek NMP, w którym zakonnicą była jego siostra.

W tym czasie rządy w diecezji katowickiej m.in. przy aktywnym udziale wicewojewody Jerzego Ziętka przejęli narzuceni przez komunistyczne władze wikariusze kapitulni: najpierw ks. Filip Bednorz, a od stycznia 1954 r. ks. Jan Piskorz. Władze zdecydowały się na usunięcie biskupów, korzystając z bardzo wątpliwej podstawy prawnej, ale dzięki temu uniknęły wytaczania im procesu karnego, który musiałby odbić się szerokim echem nie tylko w kraju. Zdecydowano się aresztować jedynie bp. Bednorza, licząc, że w więzieniu uda się go złamać. Gdyby tak się stało, mógłby pełnić urząd biskupa, ale zgodnie z wolą rządzących. Jego bezkompromisowa postawa przekreśliła ten plan. Pozostawał jednak problem, jak postępować z wikariuszem kapitulnym wybranym przez kapitułę katedralną pod naciskiem władzy, który przejął faktycznie władzę w diecezji. Kard. Stefan Wyszyński zdawał sobie sprawę z bezprawia, jakie dokonało się w Katowicach. Uznał jednak nominację ks. Filipa Bednorza, aby nie dopuścić do rozwiązania jeszcze gorszego, a mianowicie naznaczenia przez władze komunistyczne świeckiego zwierzchnika Kurii w Katowicach, jak to miało już miejsce na Węgrzech i w Czechosłowacji.

Bp Juliusz Bieniek, 14 maja 1939 r.

FOT. NAC

Wygnany, ale niezapomniany

Przez pierwsze miesiące bp Adamski żył w Lipnicy w izolacji. W Katowicach mało kto wiedział, gdzie się znajduje. Na wygnaniu towarzyszył mu kapelan ks. Stanisław Szymecki. Stały kontakt utrzymywała z nim rodzina: bracia – prof. Jan Adamski, kierownik Katedry Mikrobiologii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, oraz ks. prałat Walerian Adamski. Wraz z nimi Lipnicę odwiedzała córka Jana, Krystyna. W następnych latach podróżowała do Katowic, aby informować wybranych księży o sytuacji stryja. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Poznaniu monitorował wszystkie ruchy wokół wygnanego hierarchy. »

eprasa.pl d17c3c1536

Uroczystości pogrzebowe w Katowicach, 1934 r. Widoczni m.in.: bp polowy WP ks. Józef Gawlina (na pierwszym planie w środku) i bp śląski ks. Stanisław Adamski (drugi z lewej, również na portrecie obok)

FOT. NAC (2X)

» Po pewnym czasie do Lipnicy zaczęli przyjeżdżać po kryjomu także księża z diecezji katowickiej, pytając go o radę w konkretnych sprawach. Z donosów zgromadzonych w trakcie działań operacyjnych wyłania się ciekawy obraz biskupa na wygnaniu, nietracącego pogody ducha i poczucia humoru, stale słuchającego radia i doskonale zorientowanego w polityce światowej. Pewnego razu Radio Wolna Europa podała informację, że sędziwy biskup zmarł na wygnaniu. W Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie odprawiono mszę św. za spokój duszy zmarłego biskupa. Gdy informacja dotarła do Lipnicy, bp Adamski zareagował w swoim stylu. Pojechał do Poznania, a gdy miejscowy ordynariusz abp Walenty Dymek zapytał, czemu zawdzięcza niespodziewaną wizytę, odparł, że przyjechał na własną stypę.

Ubecja nadzorowała także bp. Bednorza. Wiedziano, że potajemnie utrzymuje kontakt z diecezją katowicką i koresponduje zarówno z sekretariatem Episkopatu Polski, jak i ze Stolicą Apostolską. O wygnanych biskupach nie zapomnieli księża i wierni na Górnym Śląsku. Stale za nich się modlono, a także zbierano pieniądze, które przekazywano do miejsc, w których się znajdowali. Na wysokości zadania nie stanął Episkopat Polski, który po uwięzieniu prymasa Wyszyńskiego nie zajmował się losem wygnanych biskupów katowickich. Dopiero w połowie 1955 r., gdy w kraju pojawiły się oznaki politycznej odwilży, do Lipnicy przyjechali bp Zygmunt Choromański, sekretarz generalny Episkopatu Polski, i bp Michał Klepacz, przewodniczący Episkopatu po uwięzieniu prymasa.

Dwukrotny powrót

Jesienią 1956 r., kiedy sytuacja w kraju zmieniła się, a wielu więźniów politycznych na skutek amnestii odzyskało wolność, biskupi uznali, że mogą wracać do siebie. 27 września bez konsultacji z władzami przyjechali do Katowic bp. Adamski i Bieniek. Zaskoczony wikariusz kapitulny ks. Jan Piskorz nie zamierzał się jednak usunąć. O powrocie biskupów zawiadomił bezpiekę, która podjęła działania. O północy wielkie siły milicji i bezpieki otoczyły Kurię i wyprowadzano z niej 82-letniego, niemal całkowicie sparaliżowanego i prawie ślepego bp. Adamskiego oraz jego sufragana. Akcją kierował płk Franciszek Szlachcic, za Gierka minister spraw wewnętrznych. Bp. Adamskiego odwieziono do Lipnicy, a bp. Bieńka do Kępna. W kraju nikt nie stanął w ich obronie. Zrobił to na emigracji abp Józef Gawlina, który w odezwie napisał, że „Nawet podczas Kulturkampfu Bismarcka nie odważono się na podobne akty brutalności”.

W końcu uaktywniła się także kapituła katedralna w Katowicach. 30 października jej przedstawiciele spotkali się z Prymasem Polski, który zapewnił ich, że o biskupach śląskich pamięta, ale konieczny jest w sprawie oddolny nacisk na władze. W trakcie kolejnych rozmów prowadzonych z udziałem m.in. bp. Zygmunta Choromańskiego, sekretarza Episkopatu Polski, pojawił się pomysł zaangażowania w powrót biskupów również ludzi świeckich. W całej diecezji katowickiej zbierano wśród duchowieństwa podpisy pod petycją do władz, domagających się natychmiastowego powrotu biskupów do Katowic. Podpisało ją 460 kapłanów z diecezji katowickiej. Petycję zawieźli do Warszawy ks. Józef Gawor i Franciszek Pisula oraz 11 górników i hutników. Później dołączył do nich ks. Franciszek Blachnicki. Przyjął ich Zenon Kliszko, członek Biura Politycznego i bliski współpracownik Władysława Gomułki. Wcześniej negocjował powrót z Komańczy prymasa Wyszyńskiego, ale w sprawie katowickiej unikał konkretów. Dopiero twarde wystąpienia robotników podczas spotkania w Komitecie Centralnym spowodowały, że zdecydowano się dłużej nie zwlekać. 3 listopada, w sobotę, ks. Blachnicki oraz dwaj pozostali duchowni spotkali się po raz kolejny z bp. Choromańskim. Domagali się działań, a nie tylko obietnic. Pod ich presją Choromański ustalił z Kliszką, że biskupi mogą wracać w poniedziałek, a więc 5 listopada. Z Warszawy do Poznania, gdzie przebywał bp Bednorz, udał się ks. Blachnicki. Stamtąd zawiadomił bp. Adamskiego, czekającego na dalszy rozwój wydarzeń w Lipnicy. Na Śląsku powrót koordynował ks. Józef Gawor, były redaktor „Gościa Niedzielnego”, który pojechał po bp. Bieńka do Kępna. Rano 5 listopada do Kępna dojechali bp. Adamski i Bednorz. Po odprawieniu pożegnalnej mszy św. trzema samochodami ruszyli na Śląsk. Pierwsze kroki skierowali do Piekar Śląskich, gdzie przed cudownym obrazem Matki Boskiej Piekarskiej podziękowali za łaskę powrotu do diecezji.

eprasa.pl d17c3c1536

PIÓRO MICKIEWICZA

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Łatwo wyobrazić sobie narzędzia pracy Fryderyka Chopina – głównie różne fortepiany, choć zdarzało się mu zagrać i na kościelnych organach. Czym i na czym swoje strofy na papier przelewał Adam Mickiewicz, już trudniej odgadnąć.

Obu wielkich Polaków połączyło wygnanie i Paryż, gdzie się poznali i spotykali na tamtejszych salonach. Co prawda ich znajomość nigdy nie przerodziła się w wielką przyjaźń, ale po dziś łączy ich stolica kraju Franków. Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest zlokalizowana w centrum Paryża Biblioteka Polska. Już sama czteropiętrowa kamienica, w której mieści się ta instytucja, jest nietuzinkowa, a staje się jeszcze ciekawsza, gdy dowiadujemy się, iż położona na środku Sekwany, na Wyspie św. Ludwika, oddalona jest o niecałe 300 m w linii prostej od słynnego Hotelu Lambert.

Nazwa „biblioteka" w tym przypadku jest wyjątkowo myląca. Instytucja założona w 1838 r. z inicjatywy m.in. Adama Jerzego Czartoryskiego i Juliana Ursyna Niemcewicza miała w dobie Wielkiej Emigracji gromadzić i ratować przed zniszczeniem polskie archiwa rodzinne, pamiątki narodowe, księgi, szkice i mapy. Jej zbiory szybko rosły za sprawą darowizn i zapisów w testamentach. Dość powiedzieć, że wśród wielu zasłużonych na rzecz biblioteki należy wymienić nazwiska: Bem, Krasiński, Małachowski, Słowacki czy Zamojski, a lista ta będzie i tak mocno niekompletna.

Skarbnica polskości na obczyźnie, jaką w rzeczywistości jest ta placówka, z powodzeniem mogłaby być jednym z oddziałów Muzeum Narodowego. Ogrom jej zbiorów nie jest możliwy do pokazania w przestrzeni, którą biblioteka dysponuje. Obecnie prezentowane w jej wnętrzach wystawy poświęcone są Fryderykowi Chopinowi (w zbiorach znajduje się jedyny zachowany dagerotyp pianisty), Mikołajowi Kopernikowi oraz oczywiście Adamowi Mickiewiczowi. Swoją wystawę ma też artysta malarz i rzeźbiarz Bolesław Biegas. Każdej z postaci poświęcona jest osobna wystawa mieszcząca się w osobnym pomieszczeniu, łącząca formą przekazu i wystrojem nowoczesność z XIX w.

Pośród licznych pamiątek po wieszczu – listów, rękopisów, figurek, podziękowań i podarunków dla niego, tablic z utworami – stoi niezbyt wyróżniający się sekretarzyk. Gdzieniegdzie nadszarpnięty zębem czasu – tu widać przetarcia, tam drobne rysy, jednak utrzymany jest w czystości. Po bliższej indagacji okazuje się, że mebel należał do Mickiewicza. Dyrekcja biblioteki dba o biurko jak o najcenniejszy skarb. Ogranicza ingerencje w jego stan do niezbędnego minimum, tak by zachować je w stanie jak najbardziej zbliżonym do pozostawionego przez wieszcza. Gdy okazuje się, że sekretarzyk nie był tylko jednym z wielu mebli Mickiewicza, a on sam spędzał przy nim długie godziny, których wymagało napisanie „Pana Tadeusza", otrzymujemy pełen obraz wyjątkowości tego biurka.

Dysponując taką relikwią, nie sposób było nie połączyć jej z innym przedmiotem osobistym Adama Mickiewicza, który do biblioteki przekazała jego wnuczka. W oszklonej, otwartej szufladzie leży ptasie pióro z odręczną adnotacją Marii Mickiewiczówny: „Pióro które należało do mojego Dziadka". Kto wie, może i ono, jako jedno z wielu, posłużyło do napisania strof „Pana Tadeusza"?

Będąc w Paryżu, warto znaleźć chwilę na zwiedzenie Biblioteki Polskiej, która w 2013 r. została doceniona przez UNESCO i wpisana do rejestru Programu Pamięci Świata.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl d17c3c1536

Styczeń

MICHAŁ KOMUDA

1 I 1979 Na skutek intensywnych opadów śniegu i mrozu cała Polska została sparaliżowana, a w obrębie województwa gdańskiego wprowadzono stan klęski żywiołowej. Tzw. zima stulecia, której pierwsze symptomy pojawiły się w kraju w ostatnich dniach 1978 r., trwała przez kolejne dwa miesiące.

4 I 1944 80 lat temu Armia Czerwona po raz drugi podczas II wojny światowej przekroczyła granice II Rzeczypospolitej, tym razem jednak jako wróg, a nie sojusznik hitlerowskich Niemiec. W odpowiedzi Armia Krajowa, zbrojne ramię Polskiego Państwa Podziemnego, rozpoczęła realizację akcji „Burza".

17 I 1854 W Bystrzejowicach Pierwszych przyszedł na świat polityk i ideolog, Jan Ludwik Popławski. Był współtwórcą polskiej myśli narodowej oraz idei wszechpolskości.

20 I 1924 100 lat temu w Warszawie urodził się jeden z fotografów Polskiego Państwa Podziemnego, powstańczy fotoreporter, Jerzy Tomaszewski „Jur". Jego bratem był żołnierz AK, artysta plastyk, Stanisław Miedza-Tomaszewski.

21 I 1989 Wszczęto śledztwo w sprawie zamordowanego w nocy na terenie jego parafii na warszawskich Powązkach, współzałożyciela Rodzin Katyńskich, ks. Stefana Niedzielaka. Ówczesne, komunistyczne władze uniemożliwiły jednak wyjaśnienie okoliczności śmierci kapłana.

26 I 1564 Pod Czaśnikami na dzisiejszej Białorusi wojska hetmanów wielkiego litewskiego Mikołaja Radziwiłła Rudego oraz polnego litewskiego Grzegorza Chodkiewicza rozbiły wielokrotnie liczniejsze siły dowodzone przez kniazia Piotra Szujskiego. Rosjanie w bitwie i podczas ucieczki mieli stracić 10 tys. żołnierzy.

28 I 1819 W Warszawie zmarł bohater i pułkownik insurekcji kościuszkowskiej, szewc Jan Kiliński. Po upadku powstania był dwukrotnie więziony przez Rosjan, a następnie w okresie wojen napoleońskich dwa razy internowany.

eprasa.pl d17c3c1536

3 I 1949

Funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego aresztowali byłego dowódcę plutonu „Felek" z legendarnego batalionu „Zośka", odznaczonego Krzyżem Walecznych, Andrzeja Wolskiego „Jura". Po nieludzkim śledztwie został skazany na karę 10 lat więzienia.

„Jur" w odróżnieniu od wielu innych „Zośkowców" miał to szczęście, że przeżył okupację i powstanie warszawskie. Po oswobodzeniu z obozu jenieckiego w 1945 r. wyjechał do Francji na studia. Latem kolejnego roku wrócił do Polski, gdzie kontynuował naukę na Politechnice Warszawskiej, pracował i poślubił Marię. Powrót do normalnego życia przerwało aresztowanie, którego dokonano 3 stycznia 1949 r. w jego rodzinnym mieszkaniu. Podobnie jak wielu innych żołnierzy walczących w powstańczym zgrupowaniu płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława" został włączony do tzw. sprawy „Radosława". Po aresztowaniu uwięziono go w piwnicach gmachu MBP przy ul. Koszykowej, w których obecnie znajduje się ekspozycja muzealna „Cele Bezpieki". Bez podania powodu pozbawienia wolności został poddany ciągowi wyniszczających przesłuchań. Jak pisał o areszcie przy Koszykowej w swojej książce „Drzwi bez klamki": „Tu prowadzone jest tylko śledztwo wstępne, które kwalifikuje, czy należy kontynuować śledztwo, czy wypuścić zamkniętego. Stąd niby można wyjść, ale nikt nie pamięta takiego przypadku. Zawsze więzień do czegoś się przyzna, zrobił czy nie zrobił, i zawsze podpisze zeznanie". Następnie został przewieziony do osławionego więzienia przy Rakowieckiej, gdzie kontynuowano śledztwo. W jego trakcie stosowano m.in. zakaz snu, „stójki", różne formy zastraszania, przetrzymywanie w karcerze, bicie czy szantażowanie możliwością uwięzienia żony, a nawet symulowanie, że została poddana brutalnemu przesłuchaniu. Wolski wspominał, że mimo wielu traumatycznych przeżyć zawsze miał nadzieję, a na Rakowieckiej jej zabrakło: „Ogarnęło mnie przerażenie, bo nagle zdałem sobie sprawę, że wygrywają, że zrobili ze mnie szmatę psychiczną". Pierwsze widzenie z obrońcą umożliwiono mu dopiero po ośmiu miesiącach od uwięzienia. Ostatecznie pomimo braku winy zapadł wyrok skazujący. Został zwolniony przedterminowo, po pięciu latach więzienia.

30 I 1644

Pod Ochmatowem wojska hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego rozgromiły najazd tatarski prowadzony przez Tuhaj-beja. O rozmiarach zwycięstwa wymownie świadczy fragment ówczesnej relacji, której autor pisał: „żeby było ze dwie godziny słońce (dłużej) trwało, noga by ich była nie uszła".

Z końcem 1643 r. za południową granicą Rzeczypospolitej Tatarzy zaczęli gromadzić swoje siły do kolejnego łupieskiego najazdu. Działania te bacznie obserwował hetman Koniecpolski, który wyprzedzając zbliżające się zagrożenie, zarządził koncentrację wojsk. W ten sposób w przededniu najazdu dysponował nie tylko żołnierzem kwarcianym i kozakami rejestrowymi, lecz także prywatnymi oddziałami wystawionymi przez kresowych magnatów. Gdy Tuhaj-bej wraz ze swymi zagonami przekroczył granice, hetman był gotowy i zastąpił mu drogę pod Ochmatowem. Fakt ten był znaczący, bo dotąd, jeśli udawało się dopaść Tatarów, to tylko już wracających ku Dzikim Polom, obciążonych łupami i jasyrem. Pierwsi uderzyli ordyńcy Tuhaj-beja. Jednak gdy nadciągnął z posiłkami książę Jeremi Wiśniowiecki, inicjatywa przeszła w ręce polskiego hetmana. Tatarzy pod osłoną części swoich sił rozpoczęli odwrót. Gdy szarża husarii zmiażdżyła pozostawione na tyłach wojska Tuhaj-beja, rozpoczął się trwający aż do zmierzchu pościg. Pogoń za najeźdźcami kontynuowano następnego dnia. Łącznie Tatarzy na polu bitwy, w trakcie ucieczki oraz podczas przeprawy w nurtach rzeki Sine Wody, nad którą zakończono pościg, stracili do 4 tys. ludzi.

„Potyczka z Tatarami", Maksymilian Gierymski

FOT. NAC; IPN (2X); DOMENA PUBLICZNA(3X); MNW; POLONA.PL; MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

eprasa.pl d17c3c1536

Luty

Pogrzeb Franza Kutschery

1 II 1944 Na terenie silnie strzeżonej niemieckiej dzielnicy policyjnej w Warszawie żołnierze kompanii „Pegaz" wykonali wyrok na dowódcy SS i Policji Dystryktu Warszawskiego, SS-Brigadeführerze Franzu Kutscherze. Siedem dni później na pierwszej stronie wydawanego w Londynie „Dziennika Polski i Dziennika Żołnierza" zamieszczono dumny nagłówek: „»Z rozkazu Kierownictwa Walki Podziemnej...« Zastrzelenie szefa Gestapo w Warszawie".

2 II 1494 We włoskim Vigevano urodziła się przyszła żona Zygmunta I Starego i królowa Polski, księżniczka Bona Sforza d'Aragona.

3 II 1874 Realizując antypolską politykę kanclerza Ottona von Bismarcka, władze Prus aresztowały i osadziły prymasa Polski, Mieczysława Ledóchowskiego. Duszpasterz w trakcie trwającego dwa lata przetrzymywania w więzieniu w Ostrowie Wielkopolskim został mianowany przez papieża kardynałem.

11 II 1959 Komunistyczne władze ujęły jednego z najdłużej ukrywających się żołnierzy podziemia niepodległościowego, Michała Krupę „Wierzbę". Były podkomendny mjr. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana", a następnie kpt. Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka" został skazany na dożywocie, jednak ze względu na zły stan zdrowia zwolniono go z więzienia w 1965 r.

21 II 1574 W katedrze wawelskiej arcybiskup gnieźnieński Jakub Uchański koronował na króla Rzeczypospolitej francuskiego księcia Henryka Walezego. W momencie objęcia władzy nad Wisłą monarcha miał 22 lata.

24 II 1989 W Krakowie, a także na mniejszą skalę w Warszawie, doszło do ostatnich masowych starć pomiędzy protestującymi a siłami chylącej się ku upadkowi władzy komunistycznej. Reżim w celu zdławienia protestów użył oddziałów ZOMO korzystających z pałek, gazu łzawiącego oraz armatek wodnych.

25 II 1809 Książę Józef Poniatowski, jako jedyny Polak w okresie Księstwa Warszawskiego, został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Virtuti Militari.

28 II 1944 Najprawdopodobniej został rozstrzelany przez niemieckiego okupanta ppor. phm. Sławomir Maciej Bittner „Maciek". Pośmiertnie jego pseudonimem nazwano 1. kompanię batalionu „Zośka".

eprasa.pl d17c3c1536

7 II 1939

Do macierzystego portu w Gdyni po raz pierwszy wszedł okręt podwodny ORP „Orzeł". W owym czasie był jedną z najnowocześniejszych konstrukcji tego typu na świecie, przewyższającą osławione niemieckie U-Booty.

Wiosną 1932 r., w celu obrony linii brzegowej II Rzeczypospolitej, utworzono Dywizjon Łodzi Podwodnych. W jego skład wchodziły trzy francuskiej produkcji podwodne stawiacze min. Rok później Kierownictwo Marynarki Wojennej RP podjęło decyzję o konieczności budowy kolejnych dwóch jednostek. Z powodu braku środków na realizację tego celu zorganizowano zbiórkę społeczną. Akcja pierwotnie prowadzona wśród oficerów i podoficerów Wojska Polskiego docelowo objęła swym zasięgiem całe polskie społeczeństwo i trwała kilka lat. Dzięki niej w 1935 r. w ramach postępowania przetargowego wyłoniono holenderską ofertę. W myśl zawartej umowy ok. 10 proc. materiałów i wyposażenia obu zamówionych wówczas okrętów podwodnych miało pochodzić z Polski. Ponadto zarówno w fazie projektowej, jak i budowy nad przebiegiem prac czuwali polscy specjaliści, a od 1936 r. specjalnie utworzona w tym celu komisja. W 1937 r. podjęto decyzję, że konstruowane jednostki otrzymają nazwy „Orzeł" oraz „Sęp". Pierwszy z wymienionych okrętów został sfinansowany ze środków pochodzących ze wspomnianej zbiórki społecznej. W uroczystości jego zwodowania, która odbyła się 15 stycznia 1938 r. w stoczni De Schelde we Vlissingen, wzięli udział liczni przedstawiciele II RP. Matką chrzestną „Orła" została żona gen. Kazimierza Sosnkowskiego, Jadwiga. Latem rozpoczęto próby okrętu z udziałem części przyszłej jego załogi. W końcu 2 lutego dokonano oficjalnego przekazania okrętu i uroczystego podniesienia na nim polskiej bandery. Pierwszym dowódcą ORP „Orzeł" został, uchodzący za wybitnego podwodnika, kmdr Henryk Kłoczkowski. Pięć dni później jednostka weszła do gdyńskiego portu, by 10 lutego zostać w nim uroczyście powitana. Nowy okręt podwodny Marynarki Wojennej RP nie tylko deklasował dotychczasowe trzy polskie jednostki, lecz także górował nad tymi konstruowanymi dla innych państw leżących nad Bałtykiem.

10 II 1814

Pod Champaubert Cesarz Francuzów raz jeszcze rozpoczął serię błyskotliwych zwycięstw nad niepomiernie liczniejszymi wojskami koalicji antyfrancuskiej, udowadniając, że nawet na dwa miesiące przed swoim upadkiem i abdykacją pozostawał genialnym dowódcą.

Po klęsce Bonapartego w październiku 1813 r. pod Lipskiem wojska koalicji zagroziły bezpośrednio Francji. W styczniu przekroczyły Ren. Napoleon ruszył przeciw nim na czele skromnych sił składających się z młodych żołnierzy. Mimo to 29 stycznia odniósł sukces pod Brienne. Jednak już pod La Rothière z trudem zdołał powstrzymać natarcia połączonych sił wroga. Gdy pewni siebie wodzowie koalicji, feldmarszałkowie pruski Gebhard von Blücher i austriacki Karl Schwarzenberg, postanowili rozdzielić swoje armie i na własną rękę zdobywać Paryż, Bonaparte nie mógł tego nie wykorzystać. Błyskawicznym marszem dogonił wojska pierwszego z nich i 10 lutego pod Champaubert, a następnie dzień później pod Montmirail rozgromił jego dwa sojusznicze rosyjskie korpusy. W obu bitwach dopomogły Napoleonowi szarże polskich szwoleżerów-lansjerów. Kontynuując pościg, 12 lutego pod Château-Thierry cesarz zadał straty tym razem pruskiemu korpusowi. Osłabiwszy tę część wrogiego zgrupowania, jeszcze w nocy ruszył ku głównodowodzącemu armii, Blücherowi. Dogonił go 14 lutego i w bitwie pod Vauchamps pobił Prusaków, umniejszając ich siły o kolejnych 9 tys. żołnierzy. W ten sposób mógł zwrócić się przeciwko drugiej z wrogich armii, która pod wodzą Schwarzenberga właśnie zbliżała się do Paryża. Cztery dni później w bitwie pod Montereau i ona została zmuszona do odstąpienia od stolicy.

FOT. IPN (4X); MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE (2X); POLONA.PL; MNW; NAC; DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d17c3c1536

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

PIECZĘĆ WIELKA LITEWSKA JANA III SOBIESKIEGO

W PAMIĘCI WIDZÓW FILMU „ANIOŁY I DEMONY", WYREŻYSEROWANEGO PRZEZ RONA HOWARDA WEDŁUG POWIEŚCI DANA BROWNA, UTKWIŁA POCZĄTKOWA SCENA UKAZUJĄCA NISZCZENIE PAPIESKIEJ PIECZĘCI. NIE BYŁ TO AKT WANDALIZMU, ALE ZWYCZAJ PRAKTYKOWANY W WIELU KANCELARIACH, MAJĄCY UNIEMOŻLIWIĆ FAŁSZOWANIE DOKUMENTÓW PO ŚMIERCI WŁADCY

Typariusz pieczęci wielkiej litewskiej Jana III Sobieskiego

JACEK KROCHMAL

Pieczęć mogła być używana wyłącznie za życia jej właściciela, np. papieża, króla czy księcia, służąc mu do uwierzytelniania dokumentów. Z oczywistych powodów po śmierci monarchy tłok pieczęci musiał być zniszczony, by nie były podejmowane próby produkowania „cudownie odnalezionych" przywilejów i nadań. Przez długi czas autentyczność aktu potwierdzali świadkowie obecni podczas jego spisywania. Co jednak działo się po ich śmierci i w jaki sposób po wielu latach możliwe było rozpoznanie autentyczności starego dokumentu? Problem ten rozwiązał papież Aleksander III (1159–1181), który orzekł, że po śmierci świadków za wiarygodne mogą być uznane wyłącznie te dokumenty, które zostały potwierdzone pieczęcią wystawcy. W archiwach wielu krajów przechowywane są ogromne ilości dokumentów papieskich, cesarskich, królewskich, książęcych i innych władców. Każdy z nich używał pieczęci przygotowanej specjalnie dla niego. Dlatego na pieczęci był nie tylko herb, lecz także imię władcy i jego tytulatura. Natomiast do odciskania pieczęci niezbędny był tłok, czyli typariusz. Jak wspomniano, był on niszczony zaraz po śmierci władcy. O sposobie postępowania z wychodzącymi z użycia tłokami pieczęci dowiadujemy się z listu Franciszka Włoszkiewicza, który pisząc w 1702 r. do podkanclerzego litewskiego Stanisława Antoniego Szczuki, wspomniał o śmierci kanclerza wielkiego koronnego Karola Tarły. W jego posiadaniu były wówczas dwie pieczęcie koronne. Pierwszą z nich Tarło otrzymał od króla w dniu swej nominacji, co miało oznaczać nadanie mu władzy kanclerskiej. Ciekawsza była geneza powstania drugiej pieczęci, którą Tarło kazał wykonać, przekazując do przetopienia stary tłok pieczęci króla Jana III.

A zatem do wyjątkowych należą przypadki, gdy ocalały z jakichś przyczyn tłok pieczęci dotrwał w nienaruszonym stanie do naszych czasów. Unikat taki zachował się w zbiorach sfragistycznych Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. Jest nim srebrny tłok pieczęci wielkiej litewskiej króla Jana III Sobieskiego. Data powstania pieczęci została utrwalona nad tarczą herbową, gdzie umieszczono 1676 r. Tłok musiał powstać na początku tego roku, bo najstarszy zachowany dokument, który uwierzytelniono tą właśnie pieczęcią, został napisany w Krakowie 24 lutego 1676 r. Było to potwierdzenie wyroku królewskiego sądu asesorskiego wyznaczającego komisarzy do rozstrzygnięcia sporu wojewodziny wileńskiej Anny Sapieżyny z poddanymi z ekonomii słonimskiej.

O ocaleniu wspomnianej pieczęci przed unieważnieniem, czyli celowym uszkodzeniem, zadecydował

eprasa.pl d17c3c1536

przypadek. Tłok był używany w latach 1676–1690 do potwierdzania dokumentów powstających w kancelarii większej litewskiej przez kanclerzy Krzysztofa Paca (zm. 1684) i Marcjana Ogińskiego, który zmarł 26 stycznia 1690 r. Kolejny kanclerz wielki litewski Dominik Mikołaj Radziwiłł uznał, że po 14 latach użytkowania tłok był już wysłużony i trzeba zastąpić go nowym, a może po prostu nową pieczęcią chciał podkreślić znaczenie objętego przez siebie urzędu kanclerskiego. Bezużyteczny tłok nie został jednak zniszczony. Był nie tylko doskonale zachowany i pięknie wykonany, lecz także miał sporą wartość materialną. Samej pieczęci nie można było wówczas zniszczyć, bo ciągle żył jej właściciel, którym był król Sobieski. Dlatego kanclerz Radziwiłł odesłał typariusz pieczęci do swej rezydencji w Nieświeżu, w którym znajdowało się archiwum książęce. Ale również po śmierci Jana III pieczęć nie została zniszczona. Nie wiadomo, czy o niej zapomniano, czy raczej nie chciano niszczyć pięknej pamiątki. O typariuszu przypomniano sobie podczas I wojny światowej, gdy wraz z archiwum Radziwiłłów pieczęć została ewakuowana do Mińska. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości archiwum to nie powróciło już do Nieświeża, ale znalazło nową siedzibę w Warszawie, w kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 113. Tam pieczęć litewska Sobieskiego znajdowała się do 1942 r. Powtarzające się naloty i bombardowania stolicy zmusiły opiekunów archiwum do jego ewakuacji. Na krótki czas zbiory Radziwiłłów przewieziono do fortu Sokolnickiego w Warszawie, a potem w 1943 r. do Ursynowa, skąd – już w sierpniu 1944 r. – wywieziono je do fortu na Służewie, a pod koniec 1944 r. do zamku Fischhorn w Tyrolu. Po wojnie odnalazł je tam Adam Stebelski, dyrektor AGAD, który przy pomocy amerykańskich władz okupacyjnych Austrii w kwietniu 1946 r. przetransportował je do Warszawy. Okoliczności te sprawiły, że zarówno Archiwum Radziwiłłów, jak i sama pieczęć Jana Sobieskiego przetrwały wojnę i uniknęły zniszczenia w zrujnowanej stolicy.

Pieczęć wielka litewska

Pieczęć mniejsza koronna z 1674 r.

Pieczęć sygnetowa Jana III

Dzięki doskonałemu stanowi zachowania typariusz pieczęci wielkiej litewskiej Jana Sobieskiego umożliwia poznanie interesującego zabytku sfragistycznego z drugiej połowy XVII w. Tłok wykonano ze srebra. Typariusz jest masywny i ma pokaźne rozmiary. Waży 884 g, średnica pieczęci wynosi 98 mm, a rękojeść przytwierdzona do tłoka ma 112 mm wysokości. Grzbiet uchwytu, przypominający półkolisty grzyb, mierzy w obwodzie 275 mm. Najważniejszą częścią jest typariusz, na którym w lustrzanym (odwróconym) odbiciu znajdują się wszystkie elementy widoczne w odcisku pieczęci. W jej centrum umieszczono tarczę z Pogonią, herbem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nad tarczą wyłania się główka anioła, ponad którą widnieje data wykonania tłoka pieczęci (1676), całość wieńczy zaś wielkoksiążęca mitra. Po bokach tarczy herbowej stoją dwa podtrzymujące ją anioły, które ponadto trzymają jeszcze mniejsze tarcze z herbem Janina, wskazujące na właściciela pieczęci, którym był Sobieski. Wokół tarczy z litewską Pogonią umieszczono 12 mniejszych herbów informujących o zakresie władztwa króla Jana III, poczynając od polskiego Orła, a skończywszy na herbach poszczególnych prowincji Rzeczypospolitej. Imię i tytulatura Sobieskiego zostały umieszczone w legendzie pieczęci zajmującej dwa wiersze w jej otoku. Napis informuje, że pieczęć należy do Jana III, z Bożej łaski króla Polski, wielkiego księcia Litwy oraz władcy Rusi, Prus, Semigalii, Mazowsza, Podlasia, Kijowszczyzny, Wołynia, Podola, Liwonii, Smoleńszczyzny, Siewierszczyzny i Czernihowszczyzny. Tłok pieczęci wielkiej litewskiej Jana III jest ważnym zabytkiem przypominającym czasy darzonego wielką estymą i dobrą pamięcią Lwa Lechistanu. Jest unikatem na skalę europejską, od wielu pokoleń pieczołowicie chronionym przez archiwistów. Tylko podczas wyjątkowych okazji zabytek jest udostępniany publiczności, tzn. podczas wystaw i pokazów specjalnych organizowanych w AGAD. ■

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl d17c3c1536

SIŁA ETOSU POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH

WALKI POWSTAŃCZE Z LAT 1863–1864 PRZYNIOSŁY OBFITY PATRIOTYCZNY PLON W TRZECIM POKOLENIU

RAFAŁ KIERZKOWSKI

Zarówno żołnierze Legionów, następnie odrodzonego Wojska Polskiego II RP, jak i młodzież międzywojennej Polski przykłady bohaterstwa znajdowali w historiach zapisanych na leśnych szlakach, pobojowiskach i mogiłach od Puszczy Świętokrzyskiej po Wileńszczyznę. I w opowieściach ostatnich żyjących powstańców styczniowych.

Kiedy po żmudnym, ale owocnym czasie pozytywizmu i pracy organicznej naród polski stanął wobec konieczności twardej militarnej konfrontacji, najpierw w okresie zmagań państw zaborczych, a potem w obronie niepodległości, naturalnymi dlań przewodnikami stali się uczestnicy styczniowego zrywu. O ile bohaterowie z okresu staropolskiego, wojen napoleońskich czy powstania listopadowego zapisali wspaniałą kartę, a ich triumfy i czasem klęski weszły do naturalnego kanonu doświadczeń polskiego narodu, o tyle ich następcy spod Małogoszczy, Siemiatycz i Żyrzyna byli kimś innym. Byli żywą historią dającą młodszemu pokoleniu poczucie słuszności walki. Dramatyzm położenia, konieczność zmagań z przeważającym wrogiem, trudne warunki leśnych obozowisk, a nawet pewne elementy nowoczesnej taktyki, rajdów, przemarszów, zasadzek były dla żołnierzy Piłsudskiego, a potem Roweckiego i Komorowskiego, dużo bardziej aktualne. Ślady bitew i potyczek z lat 1863–1864 wypełniały powiaty znacznej części odrodzonej Polski, tworząc prawdziwą sieć miejsc pamięci narodowej.

Uroczystości w Publicznej Szkole Powszechnej nr 30 im. Powstańców 1863 roku w Warszawie

FOT. AAN

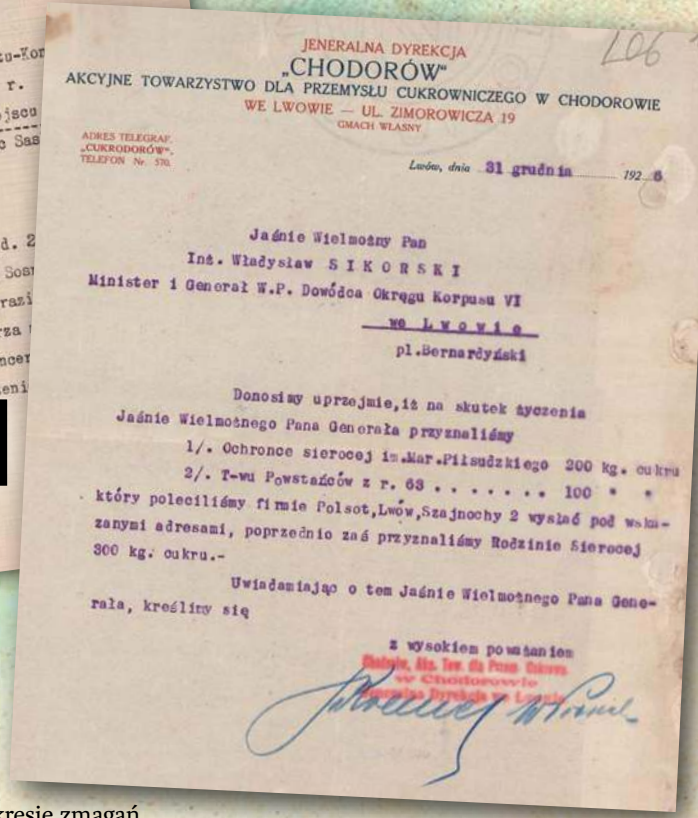

JENERALNA DYREKCJA
„CHODORÓW"
AKCYJNE TOWARZYSTWO DLA PRZEMYSŁU CUKROWNICZEGO W CHODOROWIE
WE LWOWIE — UL. ZIMOROWICZA 19
GMACH WŁASNY

ADRES TELEGRAF. „CUKRODORÓW". TELEFON Nr. 570.

Lwów, dnia 31 grudnia 192 6

Jaśnie Wielmożny Pan
Inż. Władysław SIKORSKI
Minister i Generał W.P. Dowódca Okręgu Korpusu VI
we Lwowie
pl. Bernardyński

Donosimy uprzejmie, iż na skutek życzenia Jaśnie Wielmożnego Pana Generała przyznaliśmy
1/. Ochronce sierocej im. Mar. Piłsudzkiego 200 kg. cukru
2/. T-wu Powstańców z r. 63 . . . . . 100 " "
który poleciliśmy firmie Polsot, Lwów, Szajnochy 2 wysłać pod wskazanymi adresami, poprzednio zaś przyznaliśmy Rodzinie Sierocej 300 kg. cukru.-

Uwiadamiając o tem Jaśnie Wielmożnego Pana Generała, kreślimy się

z wysokiem poważaniem

Archiwalne świadectwa wsparcia dla weteranów powstania

Wdzięczność od społeczeństwa, wojska i przemysłu

Wielu z uczestników powstania styczniowego doczekało odzyskania niepodległości, a II RP okazała się dla nich bardzo wdzięczną wnuczką. Już w styczniu 1919 r., w rocznicę zrywu, Józef Piłsudski nadał im uprawnienia żołnierzy Wojska Polskiego. Specjalną ustawą z 18 grudnia 1919 r. otrzymali honorowy stopień porucznika i dożywotnie uposażenie. Przysługiwał im również specjalny mundur, a wielu zostało odznaczonych Orderem Odrodzenia Polski, Orderem Wojennym Virtuti Militari lub Krzyżem Walecznych. Oprócz honorowania na uroczystościach społeczeństwo zadbało również o sprawy doczesne. Funkcjonowało Towarzystwo Przyjaciół Weteranów 1863 r., a na warszawskiej Pradze działał Dom Weteranów Powstania Styczniowego 1863 r., w którym potrzebujący znaleźli dożywotnią opiekę. Wsparcie dla bohaterów zapewniały też osoby

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH

prywatne i publiczne, a także firmy i instytucje. W zasobie Archiwum Akt Nowych zachowała się m.in. korespondencja Akcyjnego Towarzystwa dla Przemysłu Cukrowniczego w Chodorowie z gen. Władysławem Sikorskim w sprawie udzielenia wsparcia dla weteranów powstania oraz potwierdzenie honorowego objęcia funkcji gospodarza charytatywnego rautu-koncertu na rzecz kombatantów przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Miejsce pamięci w Puszczy Augustowskiej wskazane przez weterana Józefa Grygucia

Najstarsi z bohaterów – przykładem dla najmłodszych

Weteranów powstania styczniowego zapraszano na liczne spotkania z młodzieżą, pozwalając, by pokolenie niepodległej Polski było wychowane bezpośrednio na ich wzorcach i opowieściach. W zasobie AAN znajduje się album zadedykowany Aleksandrze Piłsudskiej jako matce chrzestnej sztandaru Publicznej Szkoły Powszechnej nr 30 im. Powstańców 1863 roku w Warszawie. Na fotografiach zobaczyć możemy aktywne uczestnictwo weteranów w życiu szkoły i wychowywaniu jej podopiecznych.

Puszczańskie uroczyska i leśne mogiły

Społeczeństwo II RP objęło też opieką powstańcze mogiły, miejsca walk i obozowisk. To właśnie w dwudziestoleciu międzywojennym powstały pomniki w takich miejscach jak Anielin pod Warką, w miejscu obozowiska i walki partii Władysława Kononowicza czy monument na Uroczysku „Powstańce" ku pamięci oddziałów pod komendą Józefa Ramotowskiego w Puszczy Augustowskiej. Mimo uszkodzeń z okresu okupacji i komunizmu miejsca pamięci przetrwały.

Świadectwem dokumentowania historii powstania jest inny album z zasobu AAN, nadesłany przez Sejmik Suwalsko-Sejneński i Radę Miasta Suwałk Marszałkowi Piłsudskiemu. Oprócz fotografii piękna natury i życia społeczności załączono również zdjęcia miejsc pamięci powstania z rejonu Puszczy Augustowskiej. Mogiłę i miejsce obozowiska wskazuje na nich weteran Józef Gryguć.

„Polecam niezwłocznie przystąpić do montowania odcinka walki..."

Najlepszym dowodem tego, jak potężne przełożenie na wychowanie młodego pokolenia miał etos powstania styczniowego, jest trudny sprawdzian II wojny światowej. Świadectw ciągłości powstańczej tradycji jest wiele. Partyzanckie oddziały Armii Krajowej niejednokrotnie kwaterowały dokładnie w tych samych lokalizacjach co ich styczniowi poprzednicy, np. na świętokrzyskim Wykusie czy przy kampinoskim Zaborowie Leśnym. Nieprzypadkowo zachowany w zasobie Archiwum Akt Nowych rozkaz L.dz. 84 „Uporządkowanie odcinka walki czynnej" formujący Kedyw – Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej został wydany przez gen. Stefana Roweckiego „Grota" w 80. rocznicę powstania styczniowego, 22 stycznia 1943 r. Wyjątkowym miejscem łączącym tradycje powstańcze i żarliwy patriotyzm okresu II wojny światowej jest kapliczka z Lasów Chojnowskich, nieopodal uroczyska Zimne Doły. W tym poświęconym pamięci powstańców styczniowych miejscu w okresie niemieckiej okupacji odbywały się potajemne spotkania o charakterze religijno-patriotycznym, a podczas powstania warszawskiego obszary te stały się „Rzeczpospolitą Chojnowską". Niesamowitą postacią jest Feliks Bartczuk „Piast" z rejonu Kosowa Lackiego, weteran powstania styczniowego, który podczas II wojny światowej, mając blisko 100 lat, wstąpił do Armii Krajowej i prowadził skuteczną działalność wywiadowczą.

Kontynuacja etosu powstańców styczniowych przy odzyskaniu niepodległości i w II RP oraz waleczne wypełnienie ich dziedzictwa w okresie I i II wojny światowej jest dowodem na skuteczność formowania kolejnych pokoleń w oparciu o dorobek przodków. W tym kontekście zupełnie nowego wymiaru nabierają wszystkie prace naszego pokolenia w upamiętnianiu i uhonorowaniu żołnierzy AK, NSZ, BCh i WiN. To fundament, którego nie należy zmarnować. Niezależnie od wszystkiego kapliczka w Lasach Chojnowskich będzie cierpliwe czekać na modlitwę, a leśne ścieżki od Wykusu po Puszczę Augustowską i od Puszczy Bieniszewskiej po Puszczę Solską są gotowe umilić i wyciszyć kroki kolejnych, którzy na nie wstąpią.

Kapliczka pamięci powstańców styczniowych w Lasach Chojnowskich

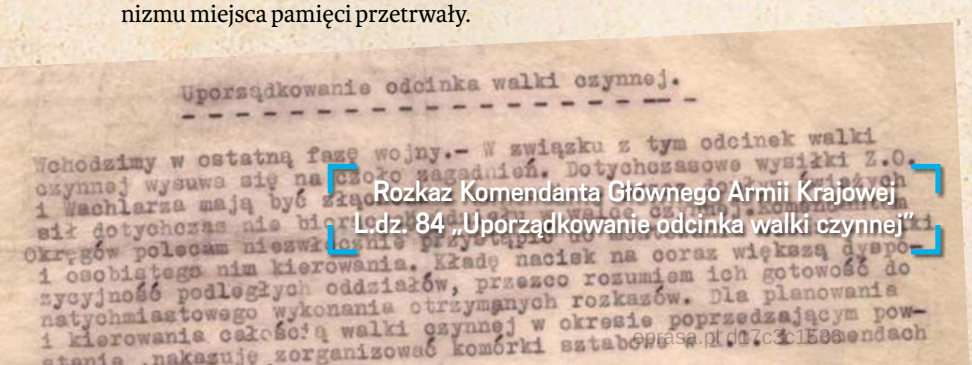
Uporządkowanie odcinka walki czynnej.

Wchodzimy w ostatną fazę wojny.- W związku z tym odcinek walki czynnej wysuwa się na czoło zagadnień. Dotychczasowe wysiłki Z.O. i Wachlarza mają być zł... sił dotychczas nie bior... Okręgów polecam niezwłocznie przystąpić do montowania ... i osobistego nim kierowania. Kładę nacisk na coraz większą dyspo-zycyjność podległych oddziałów, przezco rozumiem ich gotowość do natychmiastowego wykonania otrzymanych rozkazów. Dla planowania i kierowania całością walki czynnej w okresie poprzedzającym pow-stanie, nakazuję zorganizować komórki sztabowe w ... komendach

Rozkaz Komendanta Głównego Armii Krajowej L.dz. 84 „Uporządkowanie odcinka walki czynnej"

epraso.pl/17c3c1

SPOŁECZEŃSTWO PAŃSTWA PIASTÓW
– historia zapisana w DNA

„Wędrówka Słowian", T. Axentowicz

Marek Figlerowicz, Luiza Handschuh, Małgorzata Marcinkowska-Swojak, Ireneusz Stolarek

Autorzy pracują w Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu

NOWOCZESNE NARZĘDZIA BIOLOGII MOLEKULARNEJ POZWALAJĄ WRESZCIE UPORZĄDKOWAĆ WIEDZĘ O POCHODZENIU LUDÓW ZAMIESZKUJĄCYCH TERENY DZISIEJSZEJ POLSKI W CZASACH PIERWSZYCH PIASTÓW

Poznanie dziejów przodków jest sprawą niezwykle istotną nie tylko w wymiarze jednostkowych historii rodzinnych, lecz także dużych społeczności czy całych narodów. Historie te do niedawna można było zgłębiać, bazując przede wszystkim na analizach antropologicznych szczątków ludzkich oraz archeologicznych badaniach znalezisk materialnych stanowiących wytwory kultury i technologii rozwijanej przez człowieka na przestrzeni wieków. Niespodziewanie techniki powstałe w ostatnich latach w obszarze biologii molekularnej stworzyły całkowicie nowe możliwości poznawania historii biologicznej człowieka poprzez badania materiału genetycznego zachowanego w kopalnych szczątkach ludzkich. W rezultacie uzyskaliśmy dostęp do informacji sięgających daleko poza analizę wytworów człowieka i budowanej przez niego cywilizacji. Badania archeogenomiczne, bo o nich tu mowa, przyczyniły się już do zweryfikowania wielu hipotez i poglądów odnoszących się do przeszłości gatunku ludzkiego.

Będąc pod wrażeniem możliwości, jakie oferuje archeogenomika, postanowiliśmy podjąć próbę poznania struktury genetycznej populacji zamieszkujących tereny współczesnej Polski w pierwszych wiekach naszej ery (epoka żelaza) oraz w okresie formowania się polskiej państwowości (okres wczesnego średniowiecza). Badania, analizy porównawcze oraz poszukiwania wzajemnych zależności realizowane były w ramach projektu pod kierunkiem prof. Marka Figlerowicza, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki.

Efektem kilkuletnich intensywnych badań jest ok. 25 publikacji, w tym najnowsza praca zatytułowana „Genetic history of East-Central Europe in the

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d17c3c1536

first millennium CE" (https://link.springer.com/content/pdf/10.1186/s13059-023-03013-9.pdf), opublikowana na łamach „Genome Biology", jednego z trzech najlepszych czasopism naukowych poświęconych genetyce. Wierzymy, iż stanowi ona punkt zwrotny w ponad 200-letniej, gorącej dyskusji toczącej się wokół najbardziej zasadniczych kwestii związanych z pochodzeniem Słowian zachodnich, w tym społeczeństwa państwa Piastów. Autorami tego przełomowego dla zrozumienia historii środkowo-wschodniej Europy artykułu są biolodzy, antropolodzy, archeolodzy i historycy tworzący interdyscyplinarny zespół badawczy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jedynie tego typu grupy, złożone ze specjalistów licznych dziedzin, których podejścia badawcze mogą wzajemnie się uzupełniać, mają szansę dokonać realnego postępu w rozumieniu niezwykle złożonych procesów demograficznych, jakie zachodziły w Europie Środkowo-Wschodniej przed setkami i tysiącami lat.

Po ukazaniu się wspomnianej publikacji w prasie, internecie oraz mediach społecznościowych pojawiły się liczne dyskusje, spekulacje oraz interpretacje uzyskanych przez nas wyników. Wszystkie one ukazały, z jak bardzo złożonym zagadnieniem mamy do czynienia, jak wielkie emocje ono wzbudza, jak trudno przełożyć naukowy język biologii populacyjnej i genomiki na jasną i łatwą do zrozumienia informację, którą przyswoić może ogół społeczeństwa. Z tego względu w niniejszym artykule chcielibyśmy przybliżyć czytelnikowi problemy, których dotyka nasza praca, oraz wyjaśnić, na jakiej podstawie formułowaliśmy nasze wnioski.

Wcześniejsze ustalenia

Upadek Cesarstwa Zachodniorzymskiego pod naporem plemion barbarzyńskich doprowadził do powstania w Europie całkowicie nowych struktur politycznych i etnicznych. O ile historyczne wydarzenia i procesy leżące u podstaw transformacji od starożytności do chrześcijaństwa na terenach Cesarstwa są stosunkowo dobrze rozpoznane, o tyle nadal niewiele wiemy na temat przemian, które zachodziły równolegle na terenach nienależących do nowo powstałej wspólnoty chrześcijańskiej. Jednym z takich wydarzeń, które ciągle wzbudza liczne kontrowersje, jest pojawienie się Słowian w Europie Środkowej. W celu jego wyjaśnienia sformułowane zostały przed wieloma laty dwie przeciwstawne hipotezy. Pierwsza, hipoteza allochtoniczna, głosi, że Słowianie przybyli do tego rejonu Europy nie wcześniej niż w VI w. n.e., natomiast druga, hipoteza autochtoniczna, zakłada, że Słowianie zamieszkiwali tereny między Odrą a Wisłą na długo przed okresem wędrówek ludów, tradycyjnie datowanym na czasy między 375 r. n.e. (najazd Hunów na Europę) a 568 r. (podbój Italii przez Longobardów).

Zebrane dotychczas dane wskazują, że pod koniec okresu późnego neolitu (3700–1800 p.n.e.) struktury genetyczne populacji zamieszkujących Europę Środkową ustabilizowały się i pozostały w dużej mierze niezmienione do końca epoki brązu (1800-700 p.n.e.). W okresie tym trzy główne komponenty genetyczne tworzyły genomy mieszkańców Europy Centralnej. Pierwszy komponent związany był z mezolitycznymi zachodnimi łowcami-zbieraczami, którzy przybyli do Europy ok. 14 tys. lat temu. Drugi z neolitycznymi rolnikami anatolijskimi, którzy migrowali do Europy 7–8 tys. lat temu. Trzeci z pasterzami znad Morza Kaspijskiego i Czarnego (Yamnaya), którzy rozprzestrzenili się w Europie 4–5 tys. lat temu.

Zagadnienia związane z późniejszym kształtowaniem się historii genetycznej środkowo-wschodniej Europy przez lata pozostawały kwestią otwartą głównie ze względu na brak odpowiedniego materiału do badań archeogenomicznych. Kremacja zmarłych była bowiem powszechnym w tym rejonie obrządkiem pogrzebowym od epoki brązu aż do średniowiecza. Aby rozwiązać ten problem, wykorzystaliśmy fakt, że w pierwszych wiekach n.e. na terenach współczesnej Polski inhumacja (grzebanie zwłok) stała się dominującą praktyką pogrzebową wśród ludności związanej z kulturą wielbarską. Populacja ta istniała w dorzeczu Wisły między I a V w. n.e. Większość teorii łączy jej powstanie z migracją północnych ludów zwanych potocznie Gotami. Dotychczasowe badania archeologiczne wskazują, że do V w. n.e. imigranci z północy żyli obok praktykującej kremację ludności lokalnej związanej z wcześniej powstałą kulturą przeworską. Końcowy etap współistnienia kultur wielbarskiej i przeworskiej na terenach obecnej Polski przypadł na okres wędrówek ludów. Po jego zakończeniu kultury materialne na tym terenie stały się bardziej jednorodne, a archeolodzy powszechnie utożsamiają je ze Słowianami, którzy nadal praktykowali kremację zmarłych aż do chrztu pierwszej polskiej dynastii rządzącej w 966 r. n.e.

Badanie i wyniki

Biorąc pod uwagę powyższe fakty, postanowiliśmy skoncentrować nasze wielokierunkowe badania archeogenomiczne na dwóch populacjach, które w przeszłości zamieszkiwały obszar współczesnej Polski. Pierwszą populację tworzyli przedstawiciele kultury wielbarskiej, drugą – reprezentanci społeczeństwa państwa Piastów. Badania objęły 474 osoby pochowane na 27 cmentarzyskach. Dla większości z nich udało się nam pozyskać dane pochodzące z genomu mitochondrialnego (przekazywanego wszystkim potomkom przez matkę) oraz dane z fragmentów chromosomu Y (przekazywanego jedynie w linii męskiej, z ojca na syna). Dla 197 osobników zdołaliśmy uzyskać także dane całogenomowe, które dały podstawę do wykonanych badań populacyjnych wykorzystujących zaawansowane metody bioinformatyczne i statystyczne.

Przeprowadzone analizy potwierdziły wcześniejsze przypuszczenia archeologów, wykazały bowiem, że populacje związane z kulturą wielbarską tworzyli imigranci z północy. Zebrane dane pozwalają sądzić, że przybysze z Półwyspu Jutlandzkiego lub Skandynawii pojawili się w rejonie ujścia Wisły najprawdopodobniej na początku I tysiąclecia n.e. Zaczęli mieszać się z ludnością lokalną i rozprzestrzeniać początkowo głównie wzdłuż Wisły, a następnie Bugu. Dodatkowo badania ujawniły, iż w obrębie grup związanych z kulturą wielbarską imigrantami byli tylko mężczyźni, podczas gdy kobiety miały pochodzenie lokalne. Obserwowany schemat migracji zakładający, iż osobami opuszczającymi swoje rodzinne strony są ›› 29

eprasa.pl d17c3c1536

głównie mężczyźni, uznać należy za typowy, gdyż był wielokrotnie obserwowany w przeszłości i jest nadal obserwowany w naszych czasach. Co ciekawe, stwierdzono, że populacje zamieszkujące w okresie rzymskim tereny współczesnej Danii, północnych Niemiec, Polski, a zapewne i Litwy oraz Łotwy, miały podobną strukturę genetyczną. Oznacza to, że genomy ludzi zamieszkujących wspomniane obszary zbudowane były z tych samych komponentów. Jedyne, co się zmieniało, to proporcje pomiędzy poszczególnymi komponentami.

Ponadto wykazaliśmy, że w genomach osób będących mieszanką przybyszów z północy oraz ludności lokalnej znajdują się praktycznie wszystkie komponenty genetyczne, które zidentyfikowaliśmy w genomach późniejszej populacji tworzącej społeczeństwo państwa Piastów. Oznacza to, że już w IV–V w. n.e. zakończyły się zasadnicze procesy demograficzne kształtujące strukturę genetyczną populacji zamieszkującej obszar współczesnej Polski w X–XII w. n.e. Innymi słowy, rezultaty naszych badań wskazują, że do ukształtowania się struktury genetycznej mieszkańców państwa Piastów nie była konieczna żadna dodatkowa migracja mająca miejsce po V w. n.e. Przedstawione wyniki są zatem zgodne z hipotezą zakładającą genetyczną kontynuację w I tysiącleciu n.e. na obszarze środkowo-wschodniej Europy.

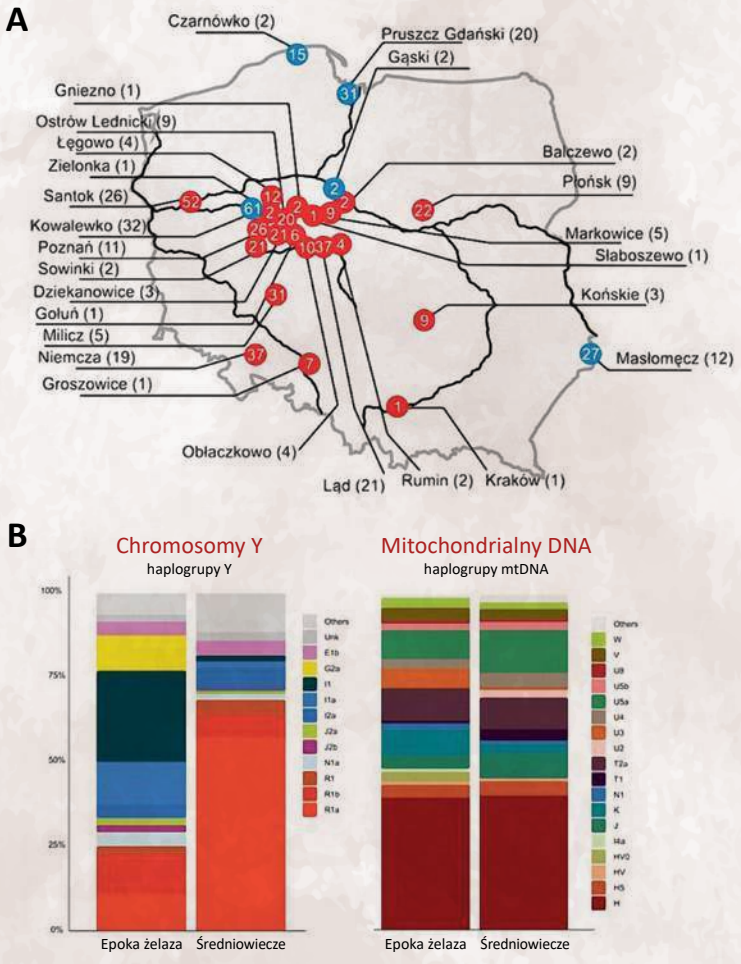

A. Mapa stanowisk, z których pozyskany został materiał kostny do badań genetycznych. Na niebiesko zaznaczono stanowiska z okresu epoki żelaza, na czerwono zaś z okresu średniowiecza

B. Analiza markerów jednorodzicielskich – chromosomu Y i mitochondrialnego DNA w populacjach z epoki żelaza i średniowiecza. Poszczególne linie (haplogrupy Y i haplogrupy mtDNA) zaznaczono odrębnymi kolorami. Wykresy pokazują, że w grupach imigrantów, którzy w pierwszych wiekach n.e. przemieszczali się przez obszar współczesnej Polski, dominowały inne linie męskie niż w populacji z okresu średniowiecza, natomiast praktycznie niezmienna w całym I tysiącleciu była częstość występowania poszczególnych linii żeńskich

Wnioski

Podsumowując, można zatem stwierdzić, że w całym I tysiącleciu n.e., tj. od czasów rzymskich aż do momentu powstania państwa Piastów, północny komponent genetyczny był bardzo silnie obecny w populacjach zamieszkujących obszar współczesnej Polski. Dotyczy to także lokalnej populacji, która przez całe I tysiąclecie n.e. kultywowała kremację jako podstawowy obrządek pogrzebowy. W przypadku lokalnych kobiet nie doszło do żadnych istotnych zmian genetycznych w tym czasie, nie przybyły one z imigrantami, były zawsze pochodzenia lokalnego. W przypadku lokalnych mężczyzn sytuacja wydaje się być nieco bardziej skomplikowana. Ogólnie ich genomy niewiele różniły się od genomów przybyszów z północy, wyjątek stanowił chromosom Y, który posiadają wyłącznie mężczyźni i zawsze dziedziczą go od ojca. Oznacza to, że linie męskie przybyszów z północy były inne niż ludności lokalnej. Na podstawie zebranych danych można zatem wnosić, iż populacje wiązane z kulturą wielbarską tworzyli imigranci z północy oraz kobiety lokalne. Ze względu na obowiązujący wówczas niezwykle silny patriarchalny system społeczny populacje te były zamknięte na lokalnych mężczyzn.

Nic zatem dziwnego, że w przypadku badanych mężczyzn z okresu rzymskiego (imigranci z północy) dominują typowe północne haplogrupy chromosomu Y (I, I1). Należy tu jednak zauważyć, iż wraz z upływem czasu i rozprzestrzenianiem się kultury wielbarskiej na terenie współczesnej Polski obok północnych haplogrup chromosomu Y zaczynają pojawiać się haplogrupy R1a, pochodzące zapewne od lokalnych mężczyzn i dominujące w populacji społeczeństwa państwa Piastów. Obserwacja ta dowodzi, iż wspomniane wcześniej zamknięcie populacji kultury wielbarskiej na lokalnych mężczyzn nie zawsze było skuteczne. W ten oto sposób typowo

eprasa.pl d17c3c1536

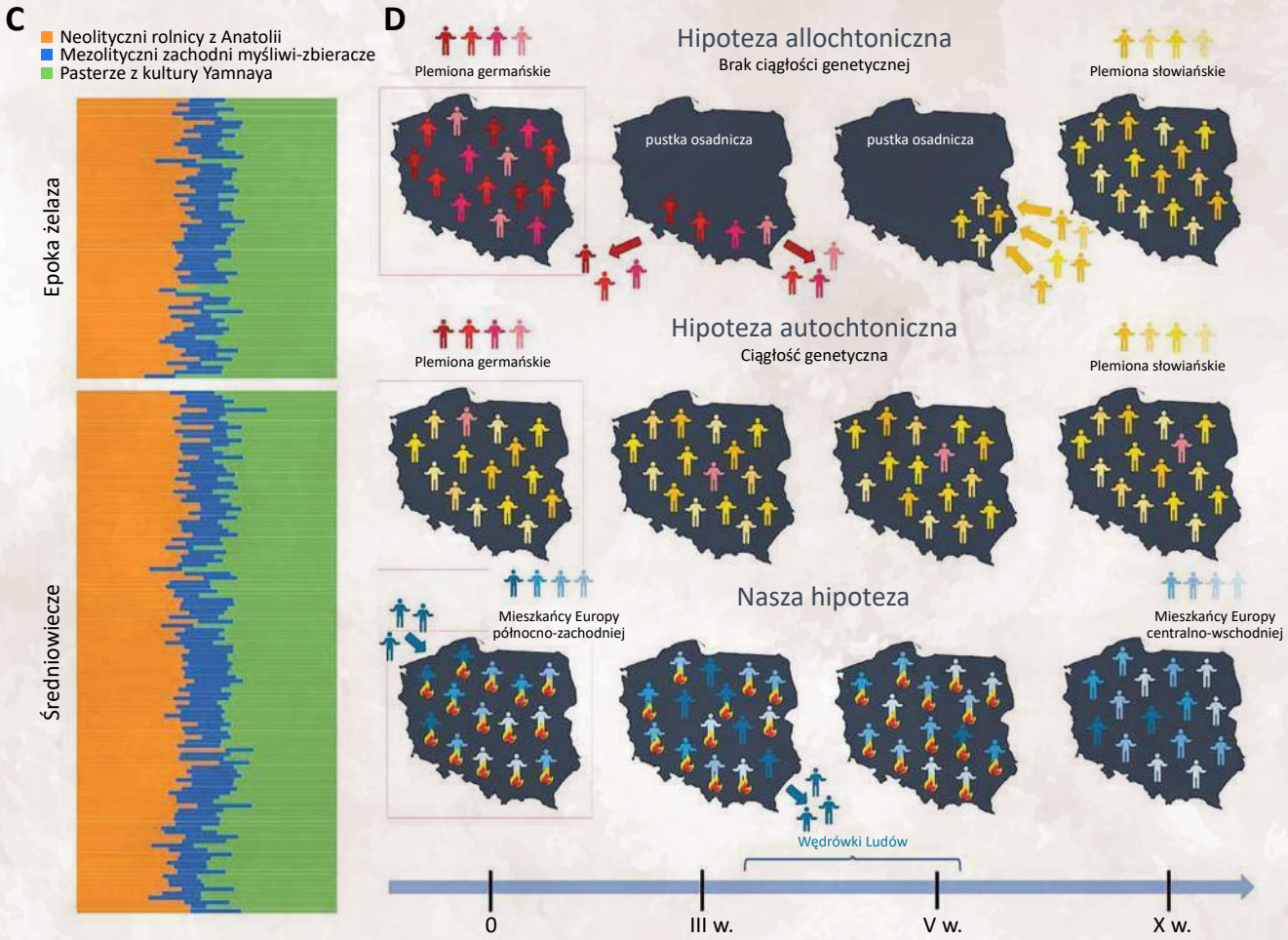

C. Udział trzech podstawowych komponentów tworzących genomy Europejczyków w strukturze genetycznej populacji z epoki żelaza i średniowiecza. Mezolitycznych zachodnich łowców-zbieraczy zaznaczono na niebiesko, neolitycznych rolników na pomarańczowo, a pasterzy z kultury Yamnaya na zielono. Wykres ukazuje wyraźnie brak różnic w częstościach występowania tych trzech komponentów na przestrzeni całego I tysiąclecia n.e.

D. Hipotezy omawiane w publikacji: i) hipoteza allochtoniczna, postulująca przybycie Słowian na tereny współczesnej Polski dopiero w VI w. n.e., ii) hipoteza autochtoniczna, zakładająca, że Słowianie zamieszkiwali na tych terenach przynajmniej od epoki żelaza, iii) hipoteza wyłaniająca się z naszych badań, wskazująca na ciągłość genetyczną populacji zamieszkujących tereny dzisiejszej Polski przynajmniej od epoki żelaza, z zaznaczeniem jednak silnego udziału północnego komponentu genetycznego zarówno w populacji z okresu żelaza, jak i średniowiecza. Symbole ognia wskazują, że kremacja była powszechnie stosowanym obrządkiem pogrzebowym wśród ludności lokalnej, nie dotyczyło to jednak imigrantów należących do kultury wielbarskiej

północne chromosomy Y, a więc komponent genetyczny wyraźnie różniący imigrantów od ludności lokalnej zaczęły być stopniowo zastępowane przez lokalne chromosomy Y.

Nie budzi zdziwienia, że od momentu, gdy imigranci z północy opuścili obszar współczesnej Polski (w IV–V w. n.e.), proces ekspansji północnych haplogrup chromosomu Y (I, I1) na tym terenie został zakończony. Haplogrupy te były nadal obecne w populacji tworzącej państwo Piastów, jednak nie należały do dominujących. Z oczywistych względów pozycję dominującą mogły utrzymać jedynie w obrębie grup tworzonych przez imigrantów. Niestety z powodu panującego obrządku pogrzebowego (kremacja) nie sposób jednoznacznie dowieść, jaka haplogrupa chromosomu Y dominowała wśród ludności lokalnej w pierwszych wiekach n.e. Pojawianie się w obrębie przedstawicieli kultury wielbarskiej haplogrup R1a, a więc haplogrup chromosomu Y typowych dla późniejszych populacji uznawanych powszechnie za słowiańskie, pozwala jednak przypuszczać, że także w przypadku chromosomu Y mamy do czynienia z kontynuacją genetyczną – haplogrupa R1a dominowała w populacji lokalnej zarówno na początku, jak i na końcu I tysiąclecia n.e. Innymi słowy, oznacza to, że lokalni mężczyźni żyjący w pierwszych wiekach naszej ery na terenach współczesnej Polski byli przodkami osób, które w X–XI w. n.e. tworzyły społeczeństwo państwa Piastów.

Nie oznacza to jednak, że w pierwszych wiekach naszej ery na terenach współczesnej Polski żyli Słowianie. Termin „Słowianie" określa bowiem pewną kulturę, która – jak można sądzić na podstawie znalezisk archeologicznych – rozwinęła się dopiero ok. VI w. n.e.

eprasa.pl d17c3c1536

BITWA POD CEDYNIĄ

ROK 972, BITWA POD CEDYNIĄ, WOJSKA MIESZKA I POKONAŁY ODDZIAŁY MARGRABIEGO HODONA. NIBY WSZYSTKO JASNE, ALE JAK WYGLĄDAŁA SYTUACJA POLITYCZNA W OWYM CZASIE? KTO TO BYŁ HODO I JAKIE STOSUNKI ŁĄCZYŁY MIESZKA Z CESARZEM OTTONEM I? GDZIE W KOŃCU LEŻAŁA CEDYNIA? NIE NA WSZYSTKIE Z TYCH PYTAŃ UMIEM ODPOWIEDZIEĆ, LECZ POSTARAM SIĘ WYJAŚNIĆ TO, CO POTRAFIĘ

Michał Bylina, „Mieszko I na wzgórzach Cedyni"

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

MAREK BARAŃSKI

W latach 60. X w. granice państwa Mieszka I, nazwanego później Polską, zetknęły się z granicami Czech i Niemiec, a więc państw chrześcijańskich. Przed władcą gnieźnieńskim stanęła konieczność nawiązania stosunków politycznych. Już wcześniej musiał on toczyć walki z sąsiadami. W połowie X w. były to wojny z graniczącymi od północnego zachodu Wieletami, sprzymierzeńcami Czechów. Dlatego pierwszym celem Mieszka I było rozbicie tego sojuszu i nawiązanie współpracy z Bolesławem, władcą Czech. Jednocześnie przez to, że w 963 r. margrabia Gero podporządkował królowi niemieckiemu Ottonowi I Łużyczan, ustanawiając w ten sposób granicę z państwem Mieszka I, konieczne stało się też ułożenie stosunków z Niemcami. Stosunki te byłyby znacznie łatwiejsze, gdyby Mieszko I został chrześcijaninem. Przyjęcie chrztu pozwoliłoby mu wejść do grona europejskiej elity, a z państwa zdjąć odium pogaństwa.

Ok. 965 r. Mieszko I zawarł z księciem Czech Bolesławem porozumienie wzmocnione małżeństwem z córką Bolesława, Dobrawą. Sojusz ten pozwolił na pokonanie Wieletów dowodzonych przez niemieckiego banitę Wichmana. Mniej więcej w tym samym czasie władca Polan zawarł sojusz z cesarzem Ottonem I, który był zarazem niemieckim królem. Mieszko I jako słabszy zobowiązał się do płacenia trybutu z części swego terytorium do uznania cesarskiego zwierzchnictwa nad sobą i zapewne do przyjęcia chrztu. W zamian cesarz uznał go za swego przyjaciela.

W tych pierwszych latach stosunki Mieszka I z cesarzem układały się bardzo dobrze. Niemiecki kronikarz Thietmar z uznaniem pisze o polskim władcy – z jego kroniki wiemy też, że ten niejednokrotnie spotykał się i rozmawiał z margrabią Marchii Łużyckiej, Hodonem. Jednakże w 972 r.

eprasa.pl d17c3c1536

te pokojowe kontakty się skończyły. Z nieznanych powodów Hodo najechał na władztwo gnieźnieńskiego księcia. Możemy przypuszczać, że chciał on powstrzymać ekspansję Mieszka I na ziemie Wieletów.

Niemieckie wojska doszły do miejscowości Cedynia, gdzie nastąpiło starcie. Pierwszego dnia rycerze Hodona zmusili polskiego władcę do odwrotu, nie był to jednak jeszcze koniec walk. Następnego dnia bowiem Czcibor, brat Mieszka I, rozgromił wrogie wojsko, a z pogromu uszedł tylko Hodo i graf Zygfryd.

W tym czasie cesarz Otton I przebywał we Włoszech. Gdy doszła do niego wieść o tych wydarzeniach, znalazł się w kłopocie. Wojska niemieckie zostały pokonane przez wojowników Mieszka I, który – jak pisze Thietmar – był przyjacielem cesarza i regularnie płacił trybut. Ale przecież Hodo należał do ścisłego otoczenia cesarza, był wychowawcą następcy tronu. Dlatego Otton I nakazał obu wrogom zachować spokój i stawić się w następnym roku do Kwedlinburga przed jego oblicze.

Zjazd w Kwedlinburgu odbył się w kwietniu 973 r. Przybyli nań liczni książęta z Niemiec, a także posłowie z Bizancjum, Benewentu, Węgier, Bułgarii, Danii i posłowie Słowian Połabskich. Przybył też Mieszko I i Hodo. Cesarski wyrok nie był dla Mieszka I niekorzystny – polski władca nic nie stracił, musiał tylko oddać cesarzowi swego syna Bolesława jako zakładnika. Tak zakończył się pierwszy konflikt wojsk polskich z wojskami niemieckimi. Nie zakłócił on dobrych stosunków Mieszka I z cesarzem Ottonem I.

Wydawałoby się, że wszystko zostało wyjaśnione. Jednak nadal możemy się tylko domyślać, po co Hodo wyruszył przeciw Mieszkowi I. Zapewne chodziło o konflikt interesów nad dolną Odrą, jednak jest to tylko przypuszczenie. Nie mamy też pewności, gdzie bitwa się odbyła. Powszechnie przyjmuje się, że zmagania rozegrały się na polach wsi Cedynia – została zapisana przez Thietmara jako Cidini, jednak jest ona oddalona od Marchii Łużyckiej i nie leży na trasie wiodącej w kierunku ziem wieleckich, o które miała toczyć się walka. Nie leży też na drodze do centrum państwa Mieszka I, gdyby Hodo chciał zadać polskiemu władcy decydujący cios. Więc może to nie Cedynia? Zauważono też, że Thietmar pisał o bitwie pod Cidini i że ostateczne zwycięstwo odniósł Cedibor, brat Mieszka I. A skoro Cedibor to Czcibor, to może Cedina to Trzcina? Może jednak zwycięska dla Mieszka I bitwa rozegrała się gdzie indziej? Jedyne, co wiadomo na pewno, to to, że zwyciężył Mieszko I. Nie wiadomo jednak, jak długo syn polskiego władcy pozostawał jako zakładnik na dworze cesarza. Młody Bolesław na cesarskim dworze nauczył się mówić po niemiecku. Zaprzyjaźnił się też ze swoimi rówieśnikami oddanymi na dwór królewski przez ich arystokratycznych rodziców. Wszystko to bardzo mu się przydało, gdy zasiadł na tronie Polski. Ostatecznie bowiem uznanie przez Mieszka I, a potem przez Bolesława Chrobrego Ottona III za cesarza pozwoliło władcom Polski uzyskać rangę jednych z najważniejszych władców tej części Europy.

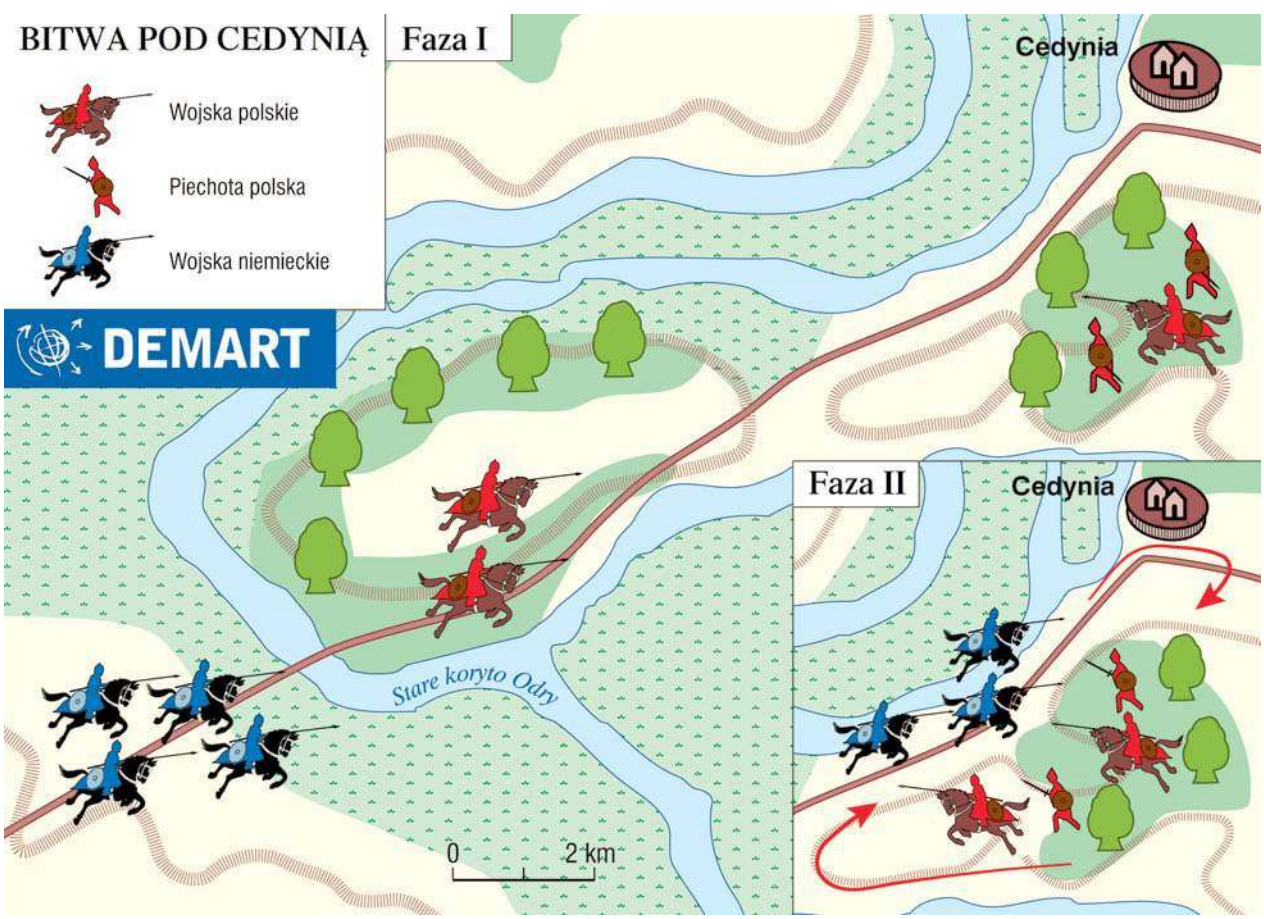

eprasa.pl d17c3c1536

KSIĘŻNICZKI JAROSŁAWSKIE KONTYNUOWAŁY, KAŻDA NA SWÓJ SPOSÓB, PRZYWÓDCZE POSŁANNICTWO RUSKIEGO RODU OSTROGSKICH. NAJCIEKAWSZĄ Z NICH JAWI SIĘ JEDNAK KATARZYNA ZAMOYSKA

HENRYK LITWIN

KOBIETA WIELU TALENTÓW

W 1619 r. zmarł Janusz Paweł, spadkobierca kniazia Aleksandra Ostrogskiego, wojewody wołyńskiego. Wielki ród Ostrogskich, reprezentowany już tylko przez nieposiadającego męskich potomków kasztelana krakowskiego Janusza (zmarł w 1620 r.) był na wymarciu. Poza jego córką dziedziczkami majątków rodowych, a także historycznych tradycji familii, były już tylko córki Aleksandra, wojewody wołyńskiego, Zofia, Katarzyna i Anna Alojza.

Za sprawą odstępstwa od wiary?

Panny Ostrogskie zostały wychowane pod bacznym okiem matki, Anny z Kostków. Ojca mogła pamiętać tylko najstarsza z rodzeństwa Zofia, osierocona w wieku ośmiu lat, ale jego wpływ na ukształtowanie się córek musiał być nieznaczny. Po śmierci Aleksandra w 1603 r. wdowa po nim przejęła ster rządów w księstwie jarosławskim oraz faktycznie pełnię władzy i opieki nad dziećmi. Córki wychowała na katoliczki. Synów Ostrogskiego – Konstantego i Janusza – tradycja rodowa zobowiązywała do wierności prawosławiu, ale matka doprowadziła także ich do katolickiej konwersji. Kiedy obaj zmarli młodo i obaj w wieku 21 lat, której to liczbie przypisywano w tych czasach magiczno-symboliczne właściwości, rozeszła się po „krajach ruskich" Rzeczypospolitej wieść o karze za odstępstwo od wiary przodków. Nie zmieniło to jednak dróg życiowych księżniczek jarosławskich, które po śmierci braci stały się jedynymi współdziedziczkami olbrzymich majątków po ojcu.

Trzy indywidualności

Zofia, urodzona w 1595 r., była już wówczas zamężna ze Stanisławem Lubomirskim, starostą spiskim, wtedy jeszcze magnatem „na dorobku", który cztery miesiące po ślubie przejął po zmarłym ojcu znaczne majątki i tytuł „hrabiego na Wiśniczu". Jednak dopiero część spadku po Ostrogskich, odziedziczona przez Zofię w 1619 r., uczyniła z Lubomirskich potężnych możnowładców i najbardziej wpływowy ród Małopolski. Udane małżeństwo Zofii i Stanisława trwało dziewięć lat i zakończyło się przedwczesną śmiercią Ostrogskiej. Najmłodsza z sióstr Anna

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d17c3c1536

Alojza we wrześniu 1620 r. wzięła ślub ze znacznie starszym od siebie Janem Karolem Chodkiewiczem, hetmanem wielkim litewskim. 10 miesięcy później była już wdową i pozostała w tym „zacnym stanie" przez kolejne 33 lata. Zmarła w 1654 r. jako ostatnia z rodu Ostrogskich, lecz wcześniej dała się poznać jako osoba o silnej indywidualności, realizująca swój program działania i nieulegająca zewnętrznym wpływom. Była wierną kontynuatorką swojej matki, Anny z Kostków, i niezłomną propagatorką katolicyzmu wbrew tradycji rodziny Ostrogskich. Zofia i Anna Alojza były wyrazistymi postaciami, ale najwięcej możemy powiedzieć o „środkowej" z sióstr – Katarzynie, bowiem zachowała się całkiem obszerna kolekcja jej korespondencji, częściowo własnoręcznie pisanej, która znajduje się w archiwum ordynacji Zamoyskich, dostępnym dzisiaj w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Zbiór ten uzupełniony listami różnych osób do Zofii, a także innymi dokumentami ordynackimi, daje podstawy do wnioskowania o edukacji, jaką odebrała księżniczka, charakterze więzi emocjonalnych łączących ją z mężem, a także działalności publicznej, którą prowadziła już w czasie trwania małżeństwa i szczególnie intensywnie w okresie wdowieństwa. Katarzyna Ostrogska urodziła się w 1600 r. Wcześnie osierocona przez ojca (1603) wychowywała się pod czujnym okiem matki Anny z Kostków. Po przedwczesnej śmierci braci stała się w 1619 r. współdziedziczką wielkiego majątku, a co za tym idzie jedną z najlepszych „partii" w Rzeczypospolitej.

A jednak z miłości

Jej małżeństwo z jeszcze bardziej majętnym dziedzicem fortuny „Wielkiego Kanclerza" Jana Zamoyskiego, jego jedynym synem Tomaszem, było realizacją rodowego przymierza. Okazało się jednak związkiem szczęśliwym, nacechowanym wzajemnym afektem. Nie pozwalają o tym wątpić listy do aktywnego politycznie i militarnie męża, którego nieobecności w domu były częste i długie. W jednym z nich Katarzyna, parafrazując zresztą „Pieśń nad pieśniami", w następujący sposób opisywała swoją tęsknotę za małżonkiem: „Ja biegała i szukała tego, którego miłuje dusza moja, i nie znalazłam, i tak długo szukać będę, aż znajdę tego, którego miłuję". Innym razem, narzekając na długie rozstanie, upraszała Tomasza o wiadomość o sobie: „[...] ale cóż czynić przyjdzie, choć tak niestrawną potrawę w melankolii-ci strawić, a czekać tak pożądanej godziny, że Wasza Miłość mój mości Pan, spomnisz o mnie, słudze swej i pożądaną wiadomością o zdrowiu swem, zechcesz mię ucieszyć". Nie zachowały się niestety listy Tomasza do małżonki, ale możemy być pewni, że były często pisane i niepozbawione emocjonalnych zwrotów. Odnotowuje to Katarzyna: „Dziękuję Waszej Mości, że mi oświadczasz Waszmość mój mości pan miłość swoję przez tak częste dowiadowanie się o zdrowiu mojem, czem mnie Waść mój mości Pan czynisz do usługowania swego sposobniejszą".

ZAKRES JEJ AKTYWNOŚCI BYŁ IMPONUJĄCY I ŻAŁOWAĆ TRZEBA, ŻE ZMARŁA PRZEDWCZEŚNIE W 1642 r., W WIEKU 42 LAT, A ZARZĄD NAD ORDYNACJĄ ZAMOYSKICH PRZEJĄŁ JEJ NIEDORASTAJĄCY DO POZIOMU RODZICÓW SYN JAN

W zastępstwie męża

Zapewnienia o małżeńskim afekcie były w listach Katarzyny częste i emocjonalne, ale lwią część korespondencji z Tomaszem lojalna żona poświęcała sprawom gospodarstwa i polityki. W czasie nieobecności ordynata pełniła funkcję pośrednika w jego kontaktach z klientami i lokalnymi oficjalistami. Często odwoływała się do kobiecej skromności – „Wiem, żem się urodziła do igły, nie do szabli" – ale były to raczej figury retoryczne niż szczere deklaracje, bowiem nie wahała się surowo oceniać męskich zaniedbań, jak wówczas gdy odnosiła się do organizacji obrony przed tatarskim najazdem 1629 r.: „Wszyscy mężczyźni jako żółwiowie w skorupach siedzieli po wsiach, żaden się nie śmiał zza muru wychylić. [...] Ja bym się nie frymarczyła swoim animuszem i sercem na ich błazeńskie serce. Szkoda, że się szlachtą porodzili". Katarzyna potrafiła także wziąć na siebie rolę promotorki interesów rodzinnych na dworze królewskim, nawiązując stosunki z królową Konstancją i podtrzymując korespondencją z wpływową na dworze Zygmunta III ochmistrzynią, Urszulą Meierin.

Ciekawe wnioski przynosi analiza ortografii i gramatyki polskojęzycznych listów Katarzyny. Wskazuje ona, że córka Anny z Kostków była najprawdopodobniej uczennicą jarosławskich benedyktynek, realizujących zadania edukacyjne sformułowane we wspomnianej w jednym z wcześniejszych szkiców reformie Magdaleny Mortęskiej. Można przyjąć, że późniejsza ordynatka zamoyska, podobnie jak jej siostry, była beneficjentką programu oświatowego opracowanego przez Matkę Magdalenę i wspieranego przez Annę z Kostków Ostrogską.

Wdowa – menedżer

Okresem szczególnie imponującej aktywności Katarzyny było wdowieństwo. Tomasz Zamoyski zmarł w 1639 r. Jego jedyny syn Jan, znany później jako „Sobiepan", miał wówczas 12 lat, więc zarząd ordynacji i ogromnych majątków oraz królewszczyzn dzierżawionych przez zmarłego męża, odpowiedzialność za wychowanie dzieci oraz koordynację działań potężnego stronnictwa Zamoyskich wzięła na siebie Katarzyna. Testament Tomasza wyznaczał rzecz jasna licznych i prominentnych opiekunów (mężczyzn), »

eprasa.pl d17c3c1536

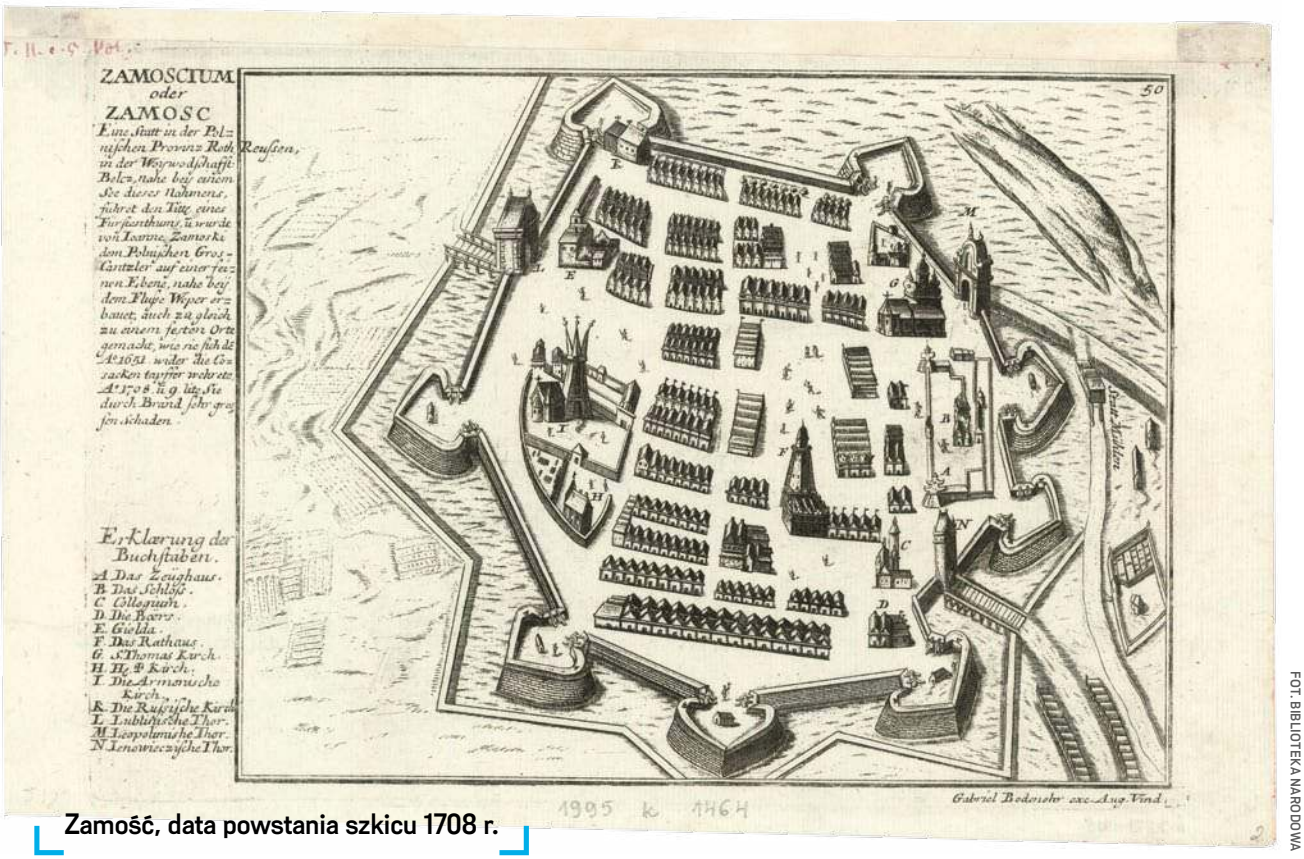

Zamość, data powstania szkicu 1708 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

» ale korespondencja z okresu wdowieństwa (1638–1642) świadczy, że to właśnie księżniczka jarosławska przejęła w tym czasie rolę kierującego ordynacją Zamoyskich. Trzeba przy tym zwrócić uwagę na fakt, że wielkie majątki Zamoyskich były nie tylko potężnym przedsiębiorstwem, które wymagało sprawnego zarządzania, lecz także częścią systemu obronnego Rzeczypospolitej. Dotyczyło to szczególnie dóbr na Bracławszczyźnie, w znacznej części składających się z dziedzictwa Ostrogskich. Były one, a zwłaszcza kresowa twierdza w Raszkowie, ważną składową systemu obronnego wobec nieustannego zagrożenia turecko-tatarskiego. Jak pisał w 1634 r. do Tomasza Zamoyskiego hetman Stanisław Koniecpolski: „[...] a to się w Raszkowie Waszmości Pana nie kochają Turcy, ale ponoć i moim Czaczalniku Tatarowie, bo im jest wielką do zdobyczy przeszkodą". Centrum dowodzenia raszkowskim systemem obronnym znajdowało się w Zamościu i po śmierci Tomasza to właśnie Katarzyna była głównym adresatem raportów z kresowych domen i ona zapewniała trwałość zarządzania tymi działaniami oraz finansowania wysiłków obronnych. Ponadto przejęła funkcję mecenasa i dobrodzieja Akademii Zamoyskiej, a także twórców wspieranych wcześniej przez męża. Ufundowała seminarium duchowne w Zamościu. Troskliwie opiekowała się miastami w dobrach Zamoyskich. Zapisała się w historii jako kodyfikator praw miejskich dla Białej (dzisiejszy Janów Lubelski) i Goraja. Była protektorem i opiekunem Szymona Starowolskiego, wybitnego publicysty i encyklopedysty staropolskiego. Zakres jej aktywności był zaiste imponujący i żałować trzeba, że zmarła przedwcześnie w 1642 r., w wieku 42 lat, a zarząd nad ordynacją Zamoyskich przejął jej niedorastający do poziomu rodziców syn Jan.

Żywotność ruskich korzeni

Szczątki Katarzyny z Ostrogskich Zamoyskiej spoczywają w kolegiacie w Zamościu. W 1989 r. przeprowadzono tam prace badawcze. W ich trakcie stwierdzono, że wdowa po Tomaszu Zamoyskim została złożona do trumny zgodnie z tradycją prawosławną bez butów, a w rękach trzymała krzyż prawosławny. Te znaleziska można uznać za sensacyjne. Katarzyna, wychowana przez matkę w katolicyzmie, fundatorka wielu „rzymskich" kościołów i klasztorów, w swoich ostatnich rozporządzeniach odwołała się do tradycji ojca Aleksandra i dziadka Konstantyna, „obrońców prawosławia". Wskazuje to na żywotność ruskich „korzeni" rodowych i szacunek dla wieloreligijnego dziedzictwa Rzeczypospolitej, jaki drzemał w wychowance jarosławskich benedyktynek.

Wszystkie księżniczki jarosławskie były znaczącymi indywidualnościami w dziejach dawnej Rzeczypospolitej. Kontynuowały, każda na swój sposób, przywódcze posłannictwo ruskiego rodu Ostrogskich. Wszystkie pozostawiły po sobie pamięć „męskiego animuszu". Były indywidualistkami, które realizowały własne plany. Zofia zmarła młodo jako wzorowa i charyzmatyczna matka rodziny. Katarzyna stawiła czoło wdowiemu wyzwaniu przywódczyni potężnego stronnictwa Zamoyskich. Anna Alojza nie wahała się wyznaczać nowych kierunków przemian życia religijnego społeczności ruskiej Rzeczypospolitej. Być może nie osiągnęły swoich celów, ale były prominentnymi bohaterkami życia politycznego, gospodarczego i religijnego dawnej Rzeczypospolitej.

eprasa.pl d17c3c1536

OD BOGDANOWICZA DO „USKOKA”

JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

POWSTAŃCÓW STYCZNIOWYCH I POWSTAŃCÓW PODZIEMIA ANTYKOMUNISTYCZNEGO ZŁĄCZYŁA WSPÓLNA HISTORIA

Widok siwowłosych, przygarbionych wiekiem postaci w granatowych uniformach przemawiał do mnie silniej niż wykłady historyczne w szkole” – notował żołnierz podziemia antykomunistycznego kpt. Zdzisław Broński „Uskok” w swoim „Pamiętniku”, pisanym w partyzantce od 1941 do 1949 r. Opisał w nim też zdarzenie, które miało miejsce właśnie podczas powstania styczniowego w 1863 r.

Oni mieli tyranów Moskali, a my mamy tyranów bolszewików

Kpt. Zdzisław Broński w marcu 1945 r. zanotował w „Pamiętniku”: „Gdy kalendarz wskazuje połowę marca, gdy na dworze jest noc, a wiatr niesie zimne fale spadającego dżdżu, nie chce się wychodzić z ciepłej kwatery. Błota dużego jeszcze nie ma, ale po drogach i polach rozsiadło się mnóstwo kałuż wody zmieszanej ze śniegiem. Buty przepuszczają jak szmata i podróż w taki czas – to grypa murowana. Jednak trzeba dziś przerzucić się kilka kilometrów dalej. Paru chłopców (w lepszych butach) poszło za podwodami. Czekamy na ich powrót. Któryś z pozostałych ni stąd, ni zowąd zanucił:

Z pól do pól
Z jękiem kartaczy z świstem kul
Rozkaz do boju wciąż nas gna.
Powstańców dola, ha ha ha.
Powstańcy...

Tak, słyszałem, że była to piosenka powstańców z 1864 r.! I my, w osiemdziesiąt lat później, całkiem podobnie śpiewamy. Oni mieli tyranów Moskali, a my mamy tyranów bolszewików. Niewiele się zmieniło”.

Partyzant z sentymentem wspominał, pisząc dalsze wersy: „Pamiętam, »

FOT. IPN

Kpt. Zdzisław Broński „Uskok”

eprasa.pl d17c3c1536

» z jaką czcią i zaciekawieniem patrzyłem na spotykanych przed wojną weteranów Powstania Styczniowego. Widok siwowłosych, przygarbionych wiekiem postaci w granatowych uniformach przemawiał do mnie silniej niż wykłady historyczne w szkole. Albo to opowiadanie z tamtych czasów, które słyszałem od swego ojca, ojciec słyszał to znów od swego ojca, a mego dziadka. W tych terenach też powstańcy walczyli. Ukrywali się po lasach, nocą przychodzili do wsi po żywność. Po walkach widywano rannych i spotykano świeże mogiły".

Śmierć powstańca

Kazimierz Bogdanowicz w styczniu 1863 r. sformował 500-osobowy oddział powstańczy. Jednak 26 lutego 1863 r. w okolicach Zezulina w powiecie lubartowskim jego oddział został rozbity przez Moskali, a dowódca dostał się do niewoli i 6 marca 1863 r. w Lublinie został rozstrzelany. „Uskok" po latach w swoim „Pamiętniku" przywołał pamięć tego bohaterskiego powstańca: „Był jeden powstaniec, który nazywał się Bogdanowicz. Miał dwadzieścia parę lat i pochodził z tych stron, z Nadrybia. Pewnego razu oddział Bogdanowicza miał potyczkę z Moskalami, w której B[ogdanowicz] został ranny. Ranny powstaniec począł konno uciekać, a Moskale ruszyli za nim w pościg. Koń Bogdanowicza, wierne i szlachetne zwierzę, uniosło swego pana dość daleko od pogoni w stronę wsi Zezulin. B[ogdanowicz], osłabiony, postanowił zatrzymać się i opatrzyć rany. Bał się szukać pomocy u ludzi, zsiadł z konia, puścił go wolno, a sam ukrył się opodal w zaroślach leśnych. I wtedy to biedny powstaniec zapłacił drogo za

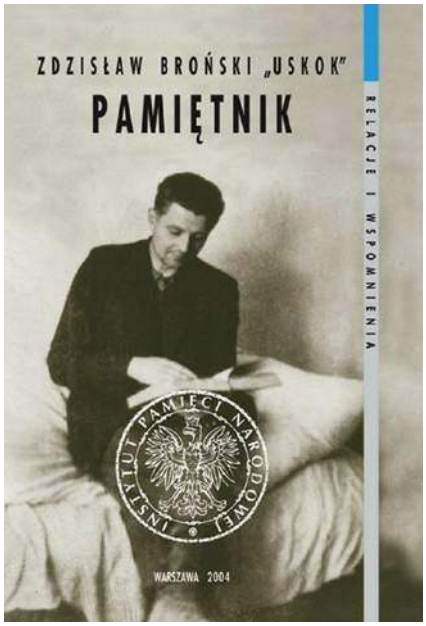

przywiązanie, jakie mu okazywał jego koń. Koń nigdy swego pana nie odstępował i teraz zatrzymał się w pobliżu. Szlachetne stworzenie swoją bezmyślnością zwierzęcą zgubiło pana. Zauważyli konia ścigający Moskale i wkrótce znaleźli powstańca. Bogdanowicz nie chciał się przyznać przed siepaczami, kim jest. Czy i jak mogło mu to pomóc w uratowaniu się – nie wiadomo. Moskale przywieźli go jednak do Zezulina, spędzili chłopów i nakazali im rozpoznawać powstańca. I znów znaleźli się tacy, którzy swoją bezmyślnością – ale już ludzką – zgubili ostatecznie biedaka. Może dużo przyczynił się do tego strach przed nahajkami, ale to za słabe usprawiedliwienie. Bogdanowicza powieszono w pobliskim lesie... W kilka dni później do Zezulina wpadli powstańcy, wyłapali winnych chłopów i nakazali, by każdy z nich natychmiast ukręcił sobie sznurek. Wiadomo, taki z pętlicą... Zrobił się wielki lament. Znalazł się ksiądz, jakieś delegacje, interwencje, prośby, zaklęcia. Ostatecznie darowano winnym życie, udzielono im tylko odpowiednich »napomnień«. Być może, że nauczka – jaką wówczas otrzymał Zezulin – »w las nie poszła« i dziś jest to miejscowość na ogół dobra. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że komuniści prześladują Zezulin jako »faszystowski«, a nam nietrudno znaleźć tam ludzi uczciwych i oddanych".

„PO DZIEŃ DZISIEJSZY NIE WIEM, CZY MI SIĘ WTEDY WYDAŁO, CZY TEŻ RZECZYWIŚCIE PO SERIACH KTOŚ KRZYKNĄŁ, I TO PARU GŁOSAMI NARAZ: »ZA POWSTAŃCA BOGDANOWICZA«" – PISAŁ „USKOK"

„Za powstańca Bogdanowicza"

Kpt. Broński po przypomnieniu historii dzielnego powstańca, opisał w „Pamiętniku" kulisy zatrzymania dwóch bolszewickich politruków: „Opowiedziałem tę historię słuchaczom, którzy znajdowali się na kwaterze, a gdy skończyłem, zjawili się chłopcy z podwodami i z meldunkiem, że we wsi znajdują się dwaj bolszewicy. Pojawili się tutaj już wieczorem i trzymali się w domu niejakiego Wójcika. Dom W[ójcika] miał opinię nieszczególną już od dawna. Wysłałem natychmiast patrol, który przyłapał »sojuszników«. Następnie zrobiliśmy dochodzenie na miejscu, w domu W[ójcika], a siebie podaliśmy jako patrol polskich władz bezpieczeństwa. Bolszewicy okazali się politrukami z sowieckiej formacji lotniczej, znajdującej się w tym terenie. [...] Prócz dokumentów mieli trochę różnych, mało ważnych papierów. Jeden z naszych znał język rosyjski i wszystko odczytywał, aż wreszcie trafił na ręczne zapiski, których odczytać nie umiał; było to pismo szyfrowane, co i bolszewicy przyznali. Nacisnęliśmy ich trochę mocniej, by podali klucz tego szyfru. Nie podali jednak, a nam trudno było znęcać się nad nimi. Nie umieliśmy tego robić tak, jak NKWD robi to z naszymi ludźmi. Co z nimi zrobić? A więc: politruk w wojsku komunistycznym nie po to idzie na front, by walczyć z wrogiem, ale po to, by stać na straży interesów partii, jego zadanie polega na dopilnowaniu, by krwią żołnierza frontowego zdobyte zwycięstwa stały się wyłącznie zwycięstwami idei komunistycznej. Żołnierza należy tak otumanić, by stał się bezwolnym narzędziem w osiąganiu tego celu – to jest też zadaniem politruka-propa-

eprasa.pl d17c3c1536

gatora. [...] Cóż więc zrobić z takimi? Najwłaściwszą rzecz: »uziemić«. Tak postanowiliśmy. Wójcika pozostawiliśmy na razie w spokoju i tak właśnie było najlepiej, bo choć komuniści nie doszli, co się stało z owymi politrukami i nikogo nie szarpano, to jednak dochodzenia były. W[ójcik] domyślił się prawdy i od tej pory zaniechał współpracy z »demokracją« [...]. Bolszewicy jechali pod eskortą na drugiej furmance. Siedzieli posępni, milczący. Że nie mieli powodów do radości w tym wypadku, to prawda, ale mnie się wydaje, że taki komunista chyba w ogóle nie może być wesołym, wylewnym, dowcipnym. On zawsze na kogoś czyha i kogoś się boi. Myśli jego z zasady są ponure. Mijamy zabudowanie przy drodze. Ktoś zapytuje, jaka to miejscowość.

– Zezulin – odpowiadam.

– Ach! To tutaj, ten powstaniec...

– Tak! Tutaj.

– Panie poruczniku, powinniśmy tych drabów [załatwić] tam, gdzie Moskale powiesili Bogdanowicza. Będzie to odwet – pada z paru ust propozycja.

– Ze względu na spokój Zezulina powiesić ich tutaj nie możemy, ale możemy ich »ulokować« w inny sposób. Pod ziemią, tak by ich nie odnaleziono – odpowiedziałem.

Po chwili zatrzymaliśmy się przy leśnych zaroślach. Chłopcy bez rozkazów krzątali się szybko i z ochotą. Znalazł się szpadel. Przygotowano dół. Ustawiono »sojuszników«. Ogłoszono im wyrok. »Znaju, szto nie winowat« odpowiedzieli po swojemu i chcieli mówić coś dalej, ale rozległa się komenda »Pal« i zlewające się ze sobą dwie długie serie zagłuszyły wszystko. Po dzień dzisiejszy nie wiem, czy mi się wtedy wydało, czy też rzeczywiście po seriach ktoś krzyknął, i to paru głosami naraz: »Za powstańca Bogdanowicza«".

Epilog

Warto wspomnieć, że postawa 26-letniego Kazimierza Bogdanowicza herbu Łada podczas powstania styczniowego zapisała się szerzej na kartach historii. Przed śmiercią napisał w liście: „Żegnam wszystkich, którzy mi zaufali. Niech mi darują, jeżeli ich zaprowadziłem w drogę, która sprzeciwiała się ich myślom. Żegnam Was, kochajcie milion razy mocniej naszą Ojczyznę Polskę, niżeli ja ją kochałem... Żegnam Was. Wasz syn, brat, sługa Kazimierz".

Ku jego czci miejscowa ludność ułożyła nawet pieśń, akcentując jego rozmowę przed egzekucją z rosyjskim gen. Aleksandrem Chruszczewem (naczelnikiem wojennym okręgu lubelskiego), który zatwierdzał powstańcze wyroki śmierci. Bogdanowicz ostentacyjnie odrzucił zaproponowaną mu przez Chruszczewa upokarzającą prośbę do cara o łaskę.

Już ojczyzna wolność traci,
Prawdziwego bohatera.
Może który z naszych braci
Nie wie, jak Polak umiera.

Bogdanowicz się nazywał,
Liczył lat dwadzieścia parę.
W młodym wieku okazywał,
Jak ojczyznę czcić i wiarę.

Tam w Lubelskiem przebywał,
Na młodzieży licznym czele.
Tam Moskali on zdobywał,
Bijąc mężnie, siekając śmiele.

A gdy został już pojmany,
Smutna wieść wszędzie rozbrzmiewa.
Bogdanowicz nasz schwytany
I stawiony przed Chruszczewa.

Gdy Chruszczew wyrok przeczytał:
– Wiesz, jaka cię czeka kara?
A potem go się zapytał:
– Czy się zdasz na łaskę cara?

Polak się do walki rodzi,
Wroga o życie nie prosi.
Wtedy, gdy na świat przychodzi,
Ojczyźnie sławę przynosi.

FOT. IPN

Kazimierz Bogdanowicz

Ciało Bogdanowicza po ekshumacji z miejsca egzekucji za koszarami świętokrzyskimi spoczywa od 1916 r. w zbiorowej mogile powstańczej na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. Kazimierz wspólnie ze swoim bratem Janem – żołnierzem polskiego legionu powstania narodowego na Węgrzech i zesłańcem za niepodległościową działalność w 1862 r. – zostali patronami Szkoły Podstawowej w Nadrybiu, gdzie mieścił się rodzinny majątek Bogdanowiczów.

Legendarny partyzant Lubelszczyzny kpt. Zdzisław Broński „Uskok" w 1947 r. objął komendę nad wszystkimi grupami zbrojnymi operującymi na terenie byłego Inspektoratu Zrzeszenia WiN Lublin. Był doświadczonym konspiratorem i powszechnie szanowanym żołnierzem. Tropiony przez bezpiekę ukrywał się w zamaskowanym bunkrze pod stodołą we wsi Dąbrówka koło Łęcznej. 21 maja 1949 r. zdradzony przez swojego zastępcę ppor. Zygmunta Liberę „Babinicza" i osaczony przez 150-osobową grupę operacyjną złożoną z ubeków, milicjantów i żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego nie chciał się poddać i popełnił samobójstwo, detonując granat. Jego rozszarpane ciało zabrała bezpieka w nieznane do dziś miejsce. W czerwcu 2018 r. w czasie prac prowadzonych w Dąbrówce przez Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN w okolicach bunkra odnaleziono fragmenty jego szczątków. W październiku 2018 r. w pałacu prezydenckim wręczono identyfikację rodzinie „Uskoka".

eprasa.pl d17c3c1536

Aniela Godecka, 1882 r.

Robotnica Boża

SIOSTRA ANIELA RÓŻA GODECKA

W SUWERENNYM PAŃSTWIE JAKO ABSOLWENTKA RENOMOWANEJ UCZELNI, ZNAJĄCA BIEGLE CZTERY JĘZYKI, MIAŁABY PRZED SOBĄ ŚWIETNĄ KARIERĘ W ZAWODZIE NAUCZYCIELKI. JEDNAK POD ZABORAMI JAKO POLKA-KATOLICZKA NIE MOGŁA LICZYĆ NA RZĄDOWE POSADY. POZOSTAWAŁA JEJ PRACA W PRYWATNYCH DOMACH

KAROLINA AGATA BIELAWSKA

Aniela Justyna Kostka-Godecka h. Dąbrowa, bo o niej tu mowa, urodziła się 13 września 1861 r. w Korczewie nad Wołgą, na terenie Cesarstwa Rosyjskiego w polskiej i katolickiej rodzinie Jana i Natalii Bachtysto. Była nauczycielką, wykształconą w Instytucie Mikołajewskim w Moskwie. Matka odumarła ją w dzieciństwie. Na ukształtowanie jej charakteru i dwojga jej rodzeństwa ogromny wpływ miał ojciec, Jan Godecki. Był niekwestionowanym autorytetem i nauczycielem patriotyzmu. Nieustannie mobilizował córkę do pracy nad sobą. Pisał do niej listy pełne umoralniającej zachęty w różnych językach, by przy okazji ciągle ćwiczyła posługiwanie się nimi. Jako lekarz powiatowy często poświęcał swój prywatny czas na pracę wśród polskiej ludności, zdarzało się, że wykorzystywał własne środki i dom, by pomagać najbardziej potrzebującym pacjentom. Efekty tej nauki widać wyraźnie w dalszym życiu Anieli, w podejmowanych decyzjach i wyborach przez umniejszanie siebie. Śmierć ojca w 1883 r. była dla Anieli ogromnym ciosem. Jego słowa „Ty będziesz musiała zjawić się w społeczeństwie i jemu służyć, jemu przynosić swoimi trudami korzyść" (List Jana Godeckiego z dn. 1 IX 1876 r.) wytyczyły kierunek jej dalszego działania.

Rodzice s. Anieli – Jan Godecki i Natalia z d. Bachtysto

W domu cioci Stefki

W 1885 r. wyjechała do Wilna, aby podjąć nową pracę. Nie mogła wtedy jeszcze wiedzieć, że ta decyzja zaważy na jej późniejszym życiu. Wraz z koleżanką Marią Hannak zamieszkała w domu u państwa Piłsudskich na Bakszcie w centrum miasta. W Wilnie mieszkali wówczas krewni Anieli: stryj ks. Hugo Godecki oraz kuzynki. Mimo że brakowało jej początkowo pieniędzy na utrzymanie, to nie chciała nikogo obciążać swoimi kłopotami. Pieniędzy starczało jej na opał i zapłatę za mieszkanie oraz małe posiłki. Dopiero po pewnym czasie zdołała odłożyć pewną sumę, a i tak nadal prowadziła bardzo skromny tryb życia. Coraz częściej stawiała sobie pytania o sens i cel życia oraz wiarę w Boga. Dość chwiejnie trzymała się katolicyzmu wyniesionego z rodzinnego domu. Zaczęła też uczęszczać na spotkania młodzieży w domu Stefanii Lipman. Dyskutowano tam o przeczytanych książkach sprowadzanych z Warszawy, artykułach z „Przeglądu Tygo-

FOT. ARCHIWUM GENERALNEGO ZGROMADZENIA MAŁYCH SIÓSTR NIEPOKALANEGO SERCA MARYI W CZĘSTOCHOWIE

eprasa.pl d17c3c1536

dniowego", który Aniela zaczęła nawet prenumerować. W czasie przerwy od zajęć na uczelni w Charkowie dom „cioci Stefki" odwiedzali także Bronisław i Józef Piłsudscy. Godecka w swoich wspomnieniach („Autobiografia", red. B. Czemko, wyd. 2017) zapamiętała braci Piłsudskich dość pozytywnie. Czasem spierała się ze słynnym Ziukiem co do różnych ważnych kwestii zajmujących umysły młodych dorosłych szukających odpowiedzi na egzystencjalne pytania. W „Autobiografii" przeczytać można o pewnej ich utarczce słownej dotyczącej teorii ewolucji. Józef Piłsudski nie mógł jej po tym nie zapamiętać. Widywała się z nimi jeszcze zresztą do września 1886 r. – Józef przebywał wtedy na wakacjach w Wilnie po ukończonym pierwszym roku medycyny.

Im jednak dłużej przyszła Sługa Boża przysłuchiwała się tezom głoszonym u Stefanii Lipman, tym bardziej nie zgadzała się z ideami tam głoszonymi. Coraz częściej wracała do katolicyzmu. Dodatkowo wyniesione z domu rodzinnego pozytywistyczne postawy w spotkaniu z kiełkującym socjalizmem u wileńskiej młodzieży i w zetknięciu ze zmieniającym się światem miały zostać poddane refleksji. Na skutek tego Aniela wybrała inną drogę realizacji swojego zamysłu kształtującego się w okresie wileńskim.

Skrytki

To właśnie w Wilnie zafascynowały ją ukryte (właściwie konspiracyjne) zgromadzenia zakonne, zakładane z inspiracji o. Honorata Koźmińskiego, kapucyna z Zakroczymia. Aniela poznała najpierw siostry sercanki (Zgromadzenie Córek Najczystszego Serca Maryi) skupiające nauczycielki i wychowawczynie, które organizowały szkoły oraz żłobki pod kierunkiem Pauli Maleckiej, współzałożycielki zgromadzenia. Aniela postanowiła przystąpić do tego instytutu, który odpowiadał jej życiowej pasji. Zgromadzenie oparte było na założeniach reguły życia III zakonu franciszkańskiego dla świeckich. Organizacja taka wynikała z oryginalnego pomysłu o. Honorata, który wykorzystał lukę w prawie po reformie życia zakonnego, którą zaborca rosyjski przeprowadził po powstaniu styczniowym jako formę represji za współudział polskiego duchowieństwa. Dokonano wówczas kasaty klasztorów, a o. Honorat przebywał w areszcie domowym – najpierw w Zakroczymiu, potem w Nowym Mieście nad Pilicą. Jedyną dozwoloną formą jego kontaktu z wiernymi była spowiedź w konfesjonale. Wsłuchiwał się tam w prawdziwe troski i potrzeby społeczeństwa, poznawał także ludzi chcących poświęcić się służbie Bogu. W obliczu braku możliwości przyjmowania kandydatów do zakonów postanowił organizować instytuty dla kobiet i mężczyzn, którym polecał pracę wśród wskazanych grup zawodowych czy społecznych.

Trudne środowiska

Tak 27-letnia Aniela poprzez sercanki trafiła w czerwcu 1888 r. do Zakroczymia, aby odbyć tam pod kierunkiem o. Honorata rekolekcje i spowiedź. Po sprawdzeniu jej duchowych predyspozycji do kierowania nowym dziełem zakonnik wyznaczył jej nowe zadanie: miała zająć się pracą wśród robotnic fabrycznych. W jego ocenie były one szczególnie narażone na działanie negatywnych skutków zarówno rewolucji przemysłowej, jak i wzmożonego na ziemiach dawnej Kongresówki procesu industrializacji oraz mechanizacji produkcji. Wyjątkowo szybko rozwijał się tu przemysł włókienniczy, wełniany, ale i cukrowniczy – w dziedzinach tych zatrudnienie znajdowały w dużej mierze właśnie kobiety. Wynikało to ze zmieniającej się sytuacji społecznej – młode kobiety musiały w większym stopniu zająć się swoim utrzymaniem, ale też finansową pomocą rodzinie. Zjawiska takie jak ubożenie rodów, faktyczny niedostatek mężczyzn po powstaniu styczniowym w wyniku zgonów, aresztowań i zsyłek, w końcu migracja ludności ze wsi do miast i powstanie nowej grupy społecznej to tylko najważniejsze przyczyny, które doprowadzały setki kobiet do decyzji o podjęciu pracy w fabrykach. Jednocześnie były one gorzej wynagradzane za tę samą pracę co mężczyźni. Wydłużenie czasu pracy, złe warunki mieszkaniowe, niezdrowe i niebezpieczne warunki pracy w fabrykach, narażenie na bezrobocie. Nieuchronnym skutkiem był wyraźny wzrost patologii społecznych. W przypadku kobiet była to także ciężka sytuacja okołoporodowa, brak możliwości podejmowania pracy w połogu, trudności w opiece nad najmłodszymi dziećmi i w końcu narażenie na prostytucję kobiet bezrobotnych. Kobiety starsze, schorowane skazane były na powolną agonię w straszliwej nędzy, bowiem przez rodzinę uznawane były za dodatkowy ciężar i pozostawiane bez wsparcia. Spotykało się to z brakiem zainteresowania i zaangażowania władz zaborczych w tworzenie systemu pomocy społecznej oraz publicznej służby zdrowia. Dlatego tym bardziej zdumiewa fakt, że o. Koźmiński, będąc decyzją władz odseparowany od ludzi, zdołał odpowiedzieć na najbardziej palące potrzeby społeczne swoich »

Siostry Honoratki z Soczewki. Przed 1908 r.

FOT. ARCHIWUM GENERALNE ZGROMADZENIA MAŁYCH SIÓSTR NIEPOKALANEGO SERCA MARYI

eprasa.pl d17c3c1536

Kondukt pogrzebowy Matki Anieli Róży Godeckiej, 1937 r.

czasów. Przypisuje się mu założenie 26 zgromadzeń czynnych, zaangażowanych w pracę socjalną. Dla przykładu pasterzanki (zgromadzenie założone w 1895 r.) pracowały wśród kobiet zagrożonych prostytucją. Robotnice fabryczne, narażone na moralny upadek oraz jako szczególna grupa zawodowa, zostały objęte opieką nowego instytutu.

Wśród robotnic Bożych

Aniela początkowo buntowała się przed przyjęciem tego zadania. Zdawało jej się, że odnalazła już swoje miejsce u sercanek-nauczycielek. Jednak po głębokim przemyśleniu sprawy odpowiedziała w liście do o. Honorata datowanym na 13 września 1888 r., że przyjmuje nowe zadanie. Od razu zajęła się planowaniem swojej pracy. Dzięki pomocy matki Elżbiety Stummer, współpracownicy o. Honorata, nawiązała kontakty z kobietami, które chciały poświęcić się takiej samej sprawie. 4 października 1888 r. zapoczątkowano Zgromadzenie Małych Sióstr Niepokalanego Serca Maryi – Aniela przyjęła imię Maria Franciszka od Niepokalanego Poczęcia NMP. W 1895 r. o. Honorat zmienił jej imię na Maria Róża – stąd znana jest jako Aniela Róża Godecka (imię Maria przyjmuje tradycyjnie każda siostra w zgromadzeniach honorackich podczas składania ślubów zakonnych). 7 października zostały przyjęte pierwsze kandydatki do zgromadzenia sióstr honoratek, które nazywane były czasem siostrami mniejszymi lub siostrami fabrycznymi. W Łodzi mówiono „Godecczanki" – miasto owo miało być „stolicą" zgromadzenia z powodu liczby fabryk i zatrudnionych w nich skrytek. Aniela mówiła na swoje siostry „robotnice Boże". Do pracy w fabrykach posyłała je w stroju świeckim. Część sióstr życia wspólnego wywodziło się ze środowisk robotniczych, dzięki czemu miały one wyjątkową możliwość wpływania na środowisko swoim przykładem i prowadzenia duszpasterstwa kobiecego, tj. prowadzonego przez kobiety dla kobiet.

Wieści o działalności sióstr bardzo szybko dochodziły do innych ośrodków przemysłowych. Do Anieli zaczęły licznie przybywać kobiety, które szukały rady i wsparcia. Godecka poznawała i hierarchizowała potrzeby, a następnie kreatywnie na nie odpowiadała – wymyślała plan, jak skutecznie pomagać w poszczególnych obszarach. Na początku największym zmartwieniem była kwestia mieszkań – młode dziewczęta mieszkały w wieloosobowych, koedukacyjnych, niedogrzanych mieszkaniach na poddaszach kamienic. Narażone były nie tylko na złe warunki sanitarne, lecz także na zaczepki mężczyzn. Przez co z kolei niedosypiały, zmuszone czuwać nocami. Aniela zbierała więc grupę 10–12 kobiet i pomagała wynająć mieszkanie tylko dla nich. Początkowo spotykała się z niechęcią i podejrzliwością właścicieli, ale przykładne prowadzenie się dziewcząt, a przede wszystkim ich wypłacalność szybko wystawiły im najlepsze świadectwo. Godecka organizowała domowe życie kobiet – proponowała wyznaczenie jednej spośród nich na gospodynię i kucharkę, zazwyczaj taką, której wyjątkowo szkodziła praca w fabryce. Utrzymywały ją ze wspólnych środków finansowych, korzystając z jej pracy w domu.

Kolejną bolączką było powszechne rolowanie długów. Z braku wystarczającego wynagrodzenia robotnice zadłużały się, przez co szybko wpadały w jeszcze większe problemy. Jako radę na to Aniela wymyśliła domowe kasy oszczędnościowe i zapomogowe – robotnice wpłacały do wybranej spośród siebie kasjerki po kilka, kilkanaście kopiejek, które zaoszczędziły tygodniowo. Z tych pieniędzy mogły w przyszłości skorzystać lub pożyczyć potrzebującej koleżance. Na podobnej zasadzie stworzyła Aniela fundusz dla starszych, spracowanych robotnic. Godecka uczyła gotowania różnych dań z tych samych czterech, pięciu produktów, dbając o ich zdrowie, by pośrednio zapobiegać zachorowaniu na gruźlicę i inne choroby zakaźne. Dla chorych robotnic i tych, które uległy wypadkowi, tworzyła przytułki, gdzie w przyjaznych warunkach przechodziły rekonwalescencję. Był to przecież świat bez zasiłków i bez prawa ochrony pracy. Ponadto wraz z rozwojem zgromadzenia siostry tworzyły domy dziecka, ochronki dla dzieci i bursy. Powstawały też kuchnie dla ubogich z myślą o środowisku fabrycznym. Dla kobiet, które nie znajdowały zatrudnienia w fabrykach, Godecka polecała organizować pracownie rękodzielnicze, gdzie wykonywały sztuczne kwiaty, gorsety, pończochy, suknie, czy pracownie haftu kościelnego i szwalnie. Tworzyła ponadto kursy i szkolenia dla kobiet. Od samego początku miała być to też moralna oraz duchowa opieka nad robotnicami i ich rodzinami. Aniela wiedziała, że zadbanie o sprawy materialne nie wystarczy – planowała więc wspólne spędzanie wolnego czasu, naukę katechizmu, wsparcie w życiu codziennym. Przesłanie Anieli Godeckiej do kobiet pracy jest jak widać, uniwersalne. Stworzyła też wyjątkową teologię pracy: aktywność zawodowa jako wartość sama w sobie, nie tylko źródło utrzymania i przyczyna trudności. Warto zauważyć, że myśl ta krystalizowała się jeszcze przed ogłoszeniem przez Leona XIII encykliki „Rerum novarum" (1891).

Aniela Róża Godecka zmarła 13 października 1937 r. w opinii świętości. Prezydent Ignacy Mościcki nadał jej pośmiertnie Złoty Krzyż Zasługi za działalność na polu pracy społecznej (15 października 1937 r.). Proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1994 r., obecnie przysługuje jej tytuł Czcigodnej Służebnicy Bożej.

FOT. ARCHIWUM GENERALNEGO ZGROMADZENIA MAŁYCH SIÓSTR NIEPOKALANEGO SERCA MARYI W CZĘSTOCHOWIE

eprasa.pl d17c3c1536

FOT. MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH W OSTROŁĘCE

ROBERT RADZIK

NARODOWCY NA PÓŁNOCNYM MAZOWSZU

NARODOWE ZJEDNOCZENIE WOJSKOWE BYŁO JEDNĄ Z TRZECH OGÓLNOPOLSKICH ORGANIZACJI KONSPIRACYJNYCH, UTWORZONYCH PO 1944 r. W OBLICZU SOWIECKIEJ OKUPACJI I ZALEŻNEJ OD NIEJ WŁADZY KOMUNISTYCZNEJ

Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NZW) zostało zorganizowane w pierwszych miesiącach 1945 r. z połączenia Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) oraz Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) wchodzących w skład Armii Krajowej. W szeregach NZW znalazła się część struktur i ludzi z organizacji poakowskich. Utworzenie NZW zainicjowali politycy Stronnictwa Narodowego późną jesienią 1944 r. W listopadzie 1944 r. w Grodzisku doszło do konspiracyjnego spotkania Prezydium Zarządu Głównego SN z oficerami ze sztabów NOW-AK i NSZ-AK. W wyniku narady podjęto decyzję o utworzeniu nowej organizacji konspiracyjnej przeciwko sowieckiej okupacji. Odzyskanie suwerenności uważano w dowództwie NZW za cel najważniejszy, o czym świadczyć może fragment rozkazu Komendanta Głównego NZW ppłk. Tadeusza Danilewicza „Domana" (a także „Kuby", „Kossaka") z 1 września 1945 r.: „[...]

1. Walczymy o pełne wyzwolenie Polski spod okupacji i wpływów sowieckich zarówno bezpośrednich, jak i za pośrednictwem swoich agentów (grupa Bieruta).
2. Prowadzimy walkę o całość ziem wschodnich w granicach 1939 r.
3. Z walki o Wielką Polskę nie zrezygnujemy pod wpływem terroru Rosji Sowieckiej i jej agentur".

Naród, czyli lud niezłomny

Szczególnie rozbudowane struktury organizacyjne oraz zaplecze NZW posiadało na Białostocczyźnie oraz Mazowszu Północnym. Do końca lat 40. działalność konspiracyjna oraz walka zbrojna na tych terenach prowadzone były w sposób zorganizowany, chociaż na zdecydowanie mniejszą skalę aniżeli w latach 1945–1947. Ostatnie komendy powiatowe i patrole zbrojne na Mazowszu Północnym zostały unicestwione przez UB i KBW w latach 1952–1954.

Na mapie powojennego oporu przeciwko władzy narzuconej przemocą przez Związek Sowiecki Mazowsze Północne – obok Białostocczyzny i Podlasia – zajmuje wyjątkowe miejsce ze względu na liczebność i skalę owego oporu. Podkreślić należy przyczyny i regionalne uwarunkowania powojennej konspiracji, o których – zdaniem autora – zadecydowały:

- Skład społeczny powiatów północnego Mazowsza, gdzie »

eprasa.pl d17c3c1536

przeważała ludność rolnicza. Znaczący odsetek owej ludności stanowili potomkowie szlachty zaściankowej, których pamięcią wspólną był udział ich przodków w wojnach I Rzeczypospolitej, ale także w epoce powstań narodowych XIX w. oraz wojnie z bolszewicką Rosją w 1920 r. Część powiatu ostrołęckiego oraz kolneńskiego zamieszkana była przez Kurpiów, ludność pochodzenia nieszlacheckiego, ale wyróżniającą się swoim umiłowaniem wolności i udziałem w walkach z najeźdźcami.

- Wspólną wartością ludności powiatów północnego Mazowsza obok patriotyzmu i pielęgnowanej tradycji walk o niepodległość było przywiązanie do wiary katolickiej oraz własności.
- Znaczące wpływy w tym regionie przed wybuchem II wojny światowej posiadało Stronnictwo Narodowe.

W marcu 1945 r. w Warszawie odbyło się spotkanie szefa sztabu Okręgu II NSZ (Mazowsze Północne) mjr. Stanisława Borodzicza „Wary" z komendantem głównym NZW płk. Tadeuszem Danilewiczem „Kossakiem". W wyniku podjętych ustaleń Okręg II NSZ został podporządkowany KG NZW, przy zachowaniu dotychczasowej nazwy. Okręg II NSZ, zorganizowany w czasie okupacji niemieckiej, był obok Armii Krajowej czołową siłą podziemia niepodległościowego na północnym Mazowszu. Liczył ok. 5 tys. zaprzysiężonych żołnierzy, zorganizowanych w następujących Komendach Powiatowych: ciechanowskiej, płońskiej, pułtuskiej, makowskiej, przasnyskiej, mławskiej i ostrołęckiej. Wiosną 1945 r. odtworzono struktury powiatowe, organizując jednocześnie oddziały bojowe, które przeprowadziły szereg akcji wymierzonych w komunistyczny aparat represji, tworzącą się administrację lokalną oraz agenturę „resortu". W połowie sierpnia – zgodnie z rozkazami z Komendy Głównej NZW – rozwiązano oddziały bojowe Okręgu II NSZ, zalecając żołnierzom i oficerom legalizację bez ujawniania przynależności organizacyjnej.

Trzeba walczyć dalej

Inicjatywa odtworzenia Okręgu wyszła ze struktur konspiracji podziemia narodowego powiatu ostrołęckiego. W części północnej powiatu ostrołęckiego istniał tzw. obwód kurpiowski NSZ. Dowodził nim oficer Komendy Powiatu NSZ „XIII/9" (łomżyńskie) ppor./por. Zbigniew Kulesza „Młot". Prawdopodobnie w połowie 1946 r. „Młot" został komendantem Okręgu o kryptonimie „XVI", „Mazowsze" (północne Mazowsze). W sierpniu 1946 r. zorganizował obsadę Komendy Okręgowej oraz Komendy Powiatowe w ostrołęckim, makowskim, przasnyskim i ciechanowskim.

Strukturę terenową konspiracyjnych Komend Powiatowych zorganizowano w sposób wojskowy, podobnie jak miało to miejsce w czasie okupacji niemieckiej. Najliczebniejsze i najlepiej zorganizowane było NZW w powiecie ostrołęckim. W trzech batalionach terenowych było zaprzysiężonych ok. 1,5 tys. żołnierzy. Nie mniej licznym i dobrze zorganizowanym był powiat makowski, składający się również z trzech batalionów terenowych i z 1 tys. konspiratorów. W powiecie ciechanowskim istniał prawdopodobnie tylko jeden batalion. Nie do końca znana jest struktura organizacji w powiecie przasnyskim, brakuje na ten temat materiałów archiwalnych NZW.

Jednym z głównych działań NZW była walka zbrojna, którą prowadziły oddziały i patrole Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS). Oddziały PAS walczyły z grupami operacyjnymi NKWD-UB, oddziałami KBW i MO. Dokonywały akcji rozbrojeń posterunków MO i UB, likwidacji agentów UB i zdrajców, akcji zaopatrzeniowych, dostarczając organizacji niezbędnych funduszy i produktów. Ważną rolą żołnierzy PAS była także ochrona ludności przed grupami bandyckimi i likwidacja pospolitej przestępczości. Można śmiało zaryzykować tezę, że do amnestii 1947 r. NZW kontrolowało znaczącą część powiatów północnego Mazowsza, czego dowodem może być Kurpiowszczyzna, która w tamtych latach nosiła nieformalną nazwę „Wolnej Republiki Kurpiowskiej". Oddziały NZW operowały nie tylko na terenie Mazowsza Północnego, lecz także na terytorium ówczesnego województwa olsztyńskiego. W drugiej połowie 1946 r. do NZW zaczęły przechodzić grupy konspiratorów z b. AK, którzy od 1945 r. należeli do regionalnej organizacji o nazwie „Ruch Oporu Armii Krajowej" (ROAK) – głównie w powiecie przasnyskim i częściowo w makowskim. Zdecydowaną większość organizacji stanowiło zaplecze organizacyjne, popularnie nazywane „siatką". Konspiratorzy należący do siatki pełnili funkcje wywiadowców, łączników, zajmowali się propagandą i w końcu – co najważniejsze – stanowili zaplecze dla walczących w oddziałach partyzanckich, dostarczając żywności, odzieży, lekarstw. Organizowali kwatery dla żołnierzy z oddziałów i skutecznie ukrywali ściganych, chorych i rannych. Bez opisanego powyżej zaplecza i bez licznych współpracowników niemożliwe byłoby trwanie struktur konspiracyjnych oraz oddziałów partyzanckich do pierwszej połowy lat 50. Dysproporcja sił pomiędzy podziemiem niepodległościowym na Mazowszu północnym a formacjami represyjnymi państwa komunistycznego była miażdżąca. Funkcjonariusze UB doskonale znali nastroje ówczesnych społeczności północnego Mazowsza. Szef PUBP w Ostrołęce, por. Stefan Koc, tak meldował w raporcie z 18 września 1946 r. do zwierzchników: „[...] Po analizie materiałów doszliśmy do wniosku, iż ażeby oczyścić teren należałoby aresztować około 40% ludności, z niektórych gmin, jak Łyse, Turośl, Zbójna, Kadzidło, Myszyniec [...]".

Należna pamięć

W okresie PRL na temat powojennego podziemia niepodległościowego na Mazowszu Północnym nie prowadzono żadnych poważnych badań historycznych. Żołnierze NZW i współpracownicy organizacji, którzy przeżyli represje komunistyczne, więzienia i obozy, byli „milczącym pokoleniem", które na ogół nie przekazywało relacji i wspomnień nawet najbliższym. Intencją autora oraz wydawcy albumu jest przybliżenie czytelnikom postaci i wydarzeń, które przez ponad pół wieku były skazane na zapomnienie lub przedstawiane w fałszywy sposób. Pamięci i prawdy bowiem nie można zabić.

Robert Radzik, „Walczyć jak nasi przodkowie. NZW na Mazowszu Północnym 1945–1954 w fotografiach i dokumentach", wyd. Miles, 2023

eprasa.pl d17c3c1536

W carskiej Rosji brutalne traktowanie Żydów miało charakter systemowy (na zdjęciu poniżej ofiary pogromu w Kiszyniowie 19-20 kwietnia 1903 r.). Stąd tak liczny akces młodych Żydów do ruchu bolszewickiego (na zdjęciu obok Lenin przemawiający w maju 1920 r. w Moskwie) i jego konsekwentne wspieranie

FOT. DOMENA PUBLICZNA X 2

ŻYDZI W RUCHU KOMUNISTYCZNYM

POMIĘDZY MITYCZNĄ „ŻYDOKOMUNĄ" I HISTORYCZNYM „FATALNYM ZAUROCZENIEM"

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Uniwersytet Łódzki

Zjawisko nadreprezentacji Żydów w ruchu komunistycznym to historyczny fakt. Żydowskie korzenie mieli prominentni działacze komunistyczni, jak np. przywódcy bolszewików: Lew Trocki, Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew, Gienrich Jagoda, Jakow Swierdłow, Maksim Litwinow, Łazar Kaganowicz czy Karol Radek; liderzy komunistów węgierskich i rumuńskich: Bela Kun, Matias Rakosi i Ana Pauker; wreszcie przywódcy rewolt w Bawarii i Berlinie w 1918 r.: Kurt Eisner i Róża Luksemburg. W Rosji w początkach XX w., gdy na 100 mieszkańców kraju przypadało 5 Żydów, na kongresach partyjnych bolszewików stanowili oni już ponad 20 proc. delegatów. W Polsce międzywojennej do Komunistycznej Partii Polski w 1933 r. należało 8 tys. osób, z czego 80 proc. stanowili Polacy, a ok. 20 proc. Żydzi. We władzach KPP (w Komitetach Centralnych KPP, Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i Komunistycznej Partii »

eprasa.pl d17c3c1536

>> Zachodniej Ukrainy) zasiadało łącznie 40 proc. Żydów, 30 proc. Polaków i 30 proc. Ukraińców i Białorusinów. W okręgowym aktywie KPP w 1935 r. na 50 działaczy było 30 Żydów i 20 Polaków. W Warszawie w 1937 r. 65 proc. członków KPP stanowili Żydzi. Przedwojenny Związek Młodzieży Komunistycznej Polski w 40 proc. składał się z osób pochodzenia żydowskiego. Z kolei z raportu z 1936 r., sporządzonego przez władze KPP, wynikało, że w jej aktywie centralnym było 55 proc. Żydów, w aparacie wydawniczym – już 75 proc., a w tzw. aparacie technicznym – 100 proc. (przypomnijmy, iż Żydzi w Polsce międzywojennej stanowili ok. 9 proc. społeczeństwa).

Równocześnie wszelkie badania wykazują, iż wśród europejskiej żydowskiej diaspory – a mowa przecież o całej tęczy ideologii i światopoglądów: od religijnych ortodoksów, poprzez syjonistów, socjalistów, liberałów i radykałów wszelkiej maści, wreszcie Żydów zasymilowanych – komuniści zawsze stanowili znikomy procent (w II Rzeczypospolitej na ok. 3 mln polskich Żydów komunistów była przysłowiowa garstka) i traktowani byli przez swych rodaków – od prawicy do lewicy – z niechęcią czy wręcz odrazą.

Dlaczego?

Czynniki decydujące o poparciu idei komunistycznej przez część europejskich Żydów były złożone. Jego przyczynami były zatem: chęć „wyjścia z getta", radykalnego zerwania z postawą „odrębności" i „samowykluczenia" ze społeczności „gojów" oraz dążenie do odrzucenia żydowskiej obyczajowości, tradycji, prawa i religii, które część Żydów (zwłaszcza młodych) interpretowała jako czynniki krępujące indywidualność, oczywiste anachronizmy i przeszkody na drodze do modernizacji obyczajowości i codziennego życia społeczności żydowskich.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Destabilizacja społeczna Rosji poprzedziła wybuch rewolucji bolszewickiej. Na zdjęciu tłumienie przez wojsko demonstracji ulicznej na Newskim Prospekcie w Piotrogrodzie w lipcu 1917 r.

PRZEZ OSTATNIE 200 LAT ISTNIENIA CARSKIEJ ROSJI ZŁE TRAKTOWANIE ŻYDÓW MIAŁO CHARAKTER SYSTEMOWY

Motywacją zerwania z „żydowskością" na rzecz komunistycznej przyszłości było także traktowanie tego nowego „eksodusu" jako sposobu na przezwyciężenie życia w biedzie „dobrowolnego getta", które było przecież udziałem szerokich mas Żydów w pierwszej połowie XX w. – biegunowa struktura żydowskiej diaspory w Polsce, Europie, (ale także na świecie, np. w Stanach Zjednoczonych), czyli występowanie obok elity finansowej, rzesz ubogich Żydów, była faktem. Wspomniane „wyjście z getta" zauroczeni komunizmem Żydzi (wciąż traktujący siebie w kategoriach „narodu wybranego") interpretowali zresztą nie w kategoriach tylko osobistej decyzji, lecz także jako wstęp do „wyprowadzenia z domu niewoli" przez awangardę nowego świata społecznej sprawiedliwości, czyli przez nich – „proletariuszy wszystkich krajów". Wreszcie nie bez znaczenia dla akcesu części Żydów do rodzącego się na przełomie wieków ruchu bolszewickiego oraz popierania przez nią później idei komunizmu i państwa sowieckiego był imperatyw negatywnego określenia się wobec największych wrogów, jacy wystąpili przeciwko Żydom w minionym stuleciu: rosyjskiego caratu, a później niemieckiego narodowego socjalizmu.

Przypomnijmy: przez ostatnie 200 lat istnienia carskiej Rosji złe traktowanie Żydów miało charakter systemowy. Ograniczono im możliwość zamieszkania tzw. strefy osiedlenia (zachodnich guberni), krępowano możliwość nauki w szkołach i zakazywano noszenia tradycyjnych strojów. Do tego dochodziły pogromy, które przybrały na sile w XX w. Ich wynikiem była masowa emigracja Żydów z Rosji

Grigorij Zinowiew

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d17c3c1536

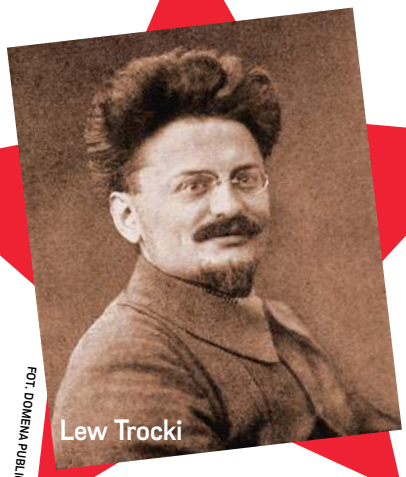
Lew Trocki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lew Kamieniew

FOT. NATIONAL LIBRARY OF NORWAY

Maksim Litwinow

FOT. DOMENA PUBLICZNA

– w latach 80. XIX w. co roku państwo to opuszczało ok. 50 tys. Żydów, a w „pogromowych" latach 1905–1906 – ponad 200 tys. Innym rozwiązaniem – obok ucieczki z tego nowego „domu niewoli" – był akces młodych Żydów do ruchu bolszewickiego, zaś po jego ostatecznym zwycięstwie konsekwentne wspieranie „Ojczyzny Światowego Proletariatu". Dodatkowy impuls do przyjęcia postawy poparcia komunizmu i sowieckiego państwa przyniosły narodziny niemieckiego narodowego socjalizmu i realizowana przezeń polityka prześladowania żydowskiej społeczności w III Rzeszy – w okresie II wojny światowej zamieniona na strategię „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej", czyli fizycznej eksterminacji europejskich Żydów. Dla radykalnie nastawionych społecznie (i nie tylko takich) Żydów w Polsce, Europie i na świecie to Związek Sowiecki i firmowany przez to państwo komunizm stały się naturalnymi sojusznikami, mogącymi nie tylko doprowadzić do triumfu nad nazizmem i antysemityzmem, lecz także ocalenia Żydów, mordowanych w gettach i obozach zagłady.

O atrakcyjności komunizmu dla żydowskich radykałów stanowił również internacjonalizm marksizmu. „Pierwsze państwo robotników i chłopów" miało przecież realizować aspiracje nie jednej nacji, ale wszystkich mieszkańców dawnego imperium carskiego. Wypisało też na swoich sztandarach hasła eksportu internacjonalnej rewolucji i wyzwolenia z kapitalistycznego ucisku całej ludzkości. Komunizm wydawał się być przy tym pozbawiony choćby cienia antysemityzmu i w ogóle wszelkiej dyskryminacji rasowej. Dla radykalnych Żydów, zrywających z „żydowskością", a postrzeganych przez „gojów" jako „żydokomuna", był zatem kuszącą propozycją ideową. Komunistyczny internacjonalizm pozwalał młodym Żydom równocześnie znieść dwa kręgi separujące ich od świata nieżydowskiego – wewnętrzny, wyznaczony przez ich przodków (pragnących ocalić „naród wybrany" przed odejściem od Boga i jego praw) i zewnętrzny, nakreślony przez „obcych" (spychający Żydów do getta). Żydzi-komuniści pozbywali się przy tym rozterek, które targały żydowską diasporą – pozostać wśród „obcych" czy wracać do „Ziemi Obiecanej"? Budować państwo czy czekać na Mesjasza? Asymilować się czy pozostać wiernymi tradycji? Odrzucenie religii – nie wyznania mojżeszowego, lecz wszystkich religii; odrzucenie znaczenia przynależności narodowej, a nie tylko poczucia bycia Żydem; zniszczenie wyzysku (nie tylko żydowskiej lichwy, lecz także całego porządku opartego na „mamonie") – to obiecywał komunizm. I dawał jeszcze jego żydowskim entuzjastom poczucie bycia przewodnikami ludzkości w dziele tak uniwersalnym jak wcześniej „osobny" i zamknięty wydawał się żydowskim radykałom świat ich przodków. To właśnie dlatego tak wielkim ciosem dla Żydów-komunistów (i powodem zrywania przez nich z marksistowską przeszłością) było pojawienie się zjawiska, którego zaistnienia nigdy nie dopuszczali w najczarniejszych scenariuszach – antysemityzmu w ruchu komunistycznym.

Kurt Eisner

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Badawcza ciekawość versus polityczna poprawność

Fakt (nie mit!) nadreprezentacji Żydów w środowiskach komunistycznych Europy był jedną z istotnych przyczyn kształtowania się czarnej legendy „żydokomuny" w Europie i na świecie w pierwszej połowie XX w. – niezależnie od uprzedzeń rasowych i antysemickich oraz ideologicznych manipulacji. Przeświadczenie żywione przez część socjologów i historyków o braku jakiegokolwiek wpływu nieproporcjonalnie dużej – w stosunku do odsetka Żydów, zamieszkujących na Starym Kontynencie – reprezentacji narodowości żydowskiej w ruchu komunistycznym na kształtowanie się mitu „żydokomuny" i poprzestanie na tezie o irracjonalności stereotypów Żyda-komunisty (bolszewika) z pewnością wyjaławia debatę o korzeniach antysemityzmu. A debata taka – konfrontująca historyczną rzeczywistość z naukowymi interpretacjami, nie zaś mit z... kolejnym mitem – byłaby interesująca i poznawczo istotna.

eprasa.pl d17c3c1536

OD WZORCOWEJ BACÓWKI DO KULTOWEGO SCHRONISKA

„OBIEKT OD CHWILI JEGO POWSTANIA BYŁ CZYMŚ NIETYPOWYM, A JEGO DZIEJE ROZWOJU NA PRZESTRZENI WIELU LAT BYŁY BARDZO ZMIENNE" – TAK BRZMI PIERWSZE ZDANIE KRÓTKIEJ HISTORII SCHRONISKA POD DURBASZKĄ W MAŁYCH PIENINACH

MICHAŁ KOMUDA

Choć trudno sobie to dziś wyobrazić, ten jeden z najważniejszych punktów turystycznych na mapie Małych Pienin rozpoczął swoją historię jako nieudany, PRL-owski eksperyment. Po II wojnie światowej komunistyczne władze dokonały wysiedlenia mieszkańców czterech rusnackich wsi leżących u podnóża Pienin i Beskidu Sądeckiego: Białej Wody, Czarnej Wody, Jaworek oraz Szlachtowej. Opustoszały w ten sposób teren stał się naturalnym miejscem dla sezonowego wypasu owiec. Utworzono na nim tzw. Rezerwat Wypasowy, na który w 1948 r. dotarł pierwszy wielki redyk z przepełnionego Podhala. Wraz z napływem w rejon Małych Pienin wielotysięcznych stad owiec, wśród PRL-owskich władz zrodził się pomysł „udoskonalenia" tradycyjnych metod pracujących tam pasterzy. W tym celu na tamtejszych stokach górskich rozpoczęto budowę systemu nowoczesnych, wzorcowych bacówek wraz z towarzyszącą im w dolinie potoku Biała Woda mleczarnią. W przeciągu kilku lat wzniesiono cztery, wzorowane na szwajcarskich rozwiązaniach, duże drewniane obiekty. Zostały one wyposażone m.in. w pomieszczenia mieszkalne, narzędzia serowarskie, zaplecze sanitarne oraz przestrzeń dla zwierząt.

FOT. ZE ZBIORÓW ANDRZEJA SZARECKIEGO

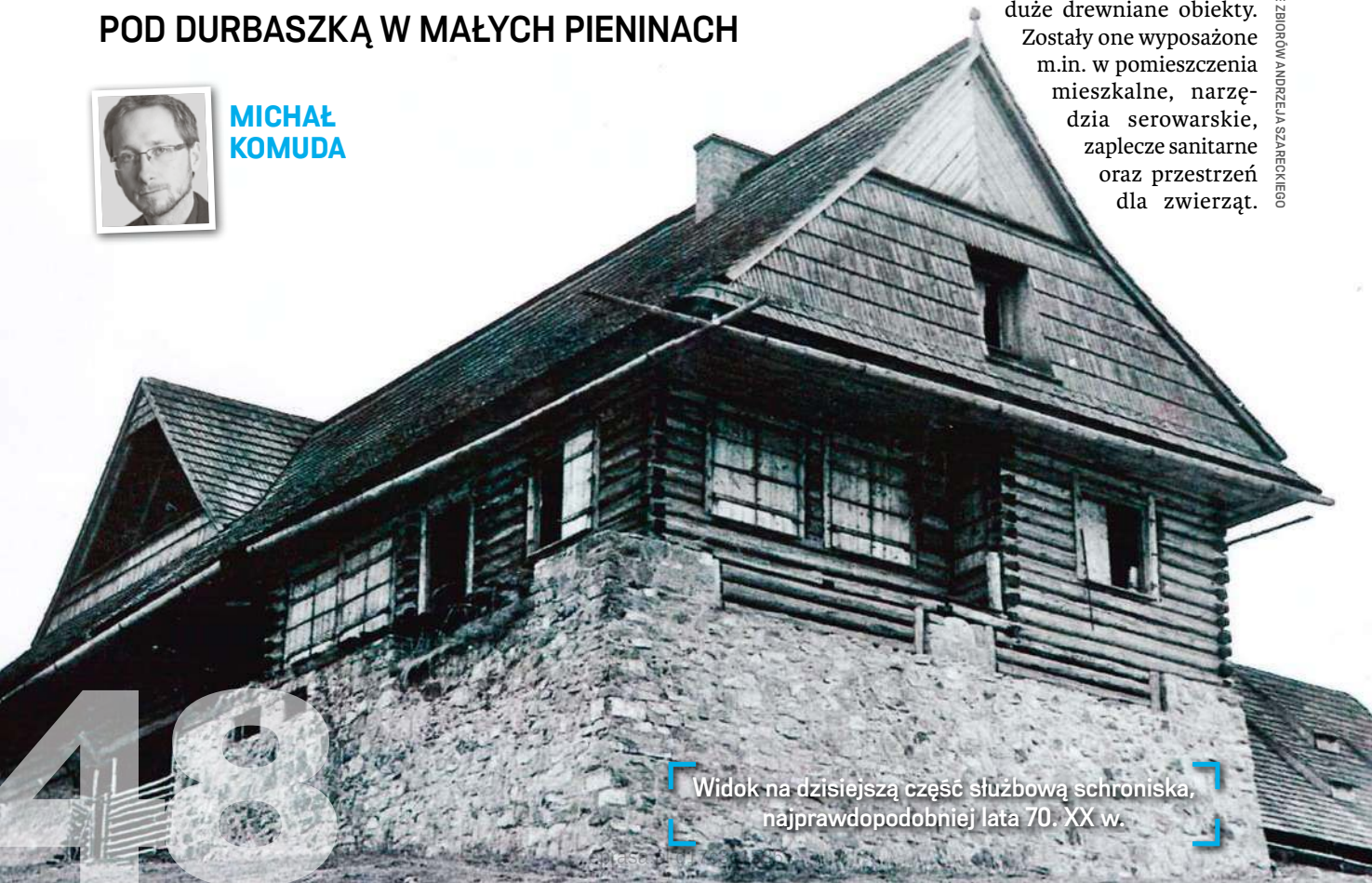

Widok na dzisiejszą część służbową schroniska, najprawdopodobniej lata 70. XX w.

Schronisko pod Durbaszką, stan obecny

FOT. MICHAŁ KOMUDA

Ich obszerne wnętrza miały zastąpić użytkowane od wieków przez pasterzy bacówki i szałasy. To nowatorskie, ale niestety nie do końca praktyczne rozwiązanie, a także towarzyszący mu duch kolektywizacji nie znalazły uznania wśród baców i juhasów, którzy pozostali wierni metodom wypracowanym przez ich ojców i dziadów. Nowe inwestycje szybko zostały porzucone przez pasterzy i opustoszałe niszczały. Dwie z nich ostatecznie spłonęły. Tylko dla jednego ze wspomnianych budynków, stojącej na wysokości 850 m n.p.m., na stokach Durbaszki, bacówki nr 1, los okazał się łaskawy.

Czas pionierów

Po upływie 20 lat od ich wzniesienia porzuconymi obiektami pasterskimi zainteresowali się uczestniczący w obozie wędrownym krakowscy harcerze Hufca Zwierzyniec ze szczepu „Żbicza Gromada". Latem 1972 r. ich instruktorzy dokonali oględzin pienińskich wzorcowych bacówek. W sporządzonym wówczas raporcie główny inicjator akcji phm. Tomasz Zorski odnotował: „Są to duże obiekty, które poza miejscem na przetrzymywanie owiec, posiadają kilka pomieszczeń mieszkalnych. Wydaje się, że nie były one od początku (tj. od wybudowania) użytkowane, a pozostawione bez opieki użytkownika powoli niszczeją. Obecny stan pozwala jeszcze na częściowe ich przystosowanie i zagospodarowanie do celów harcerskich". Wraz z tymi działaniami rozpoczęto rozmowy z władzami Hufca, a następnie z właścicielem obiektów, Związkiem Hodowców Owiec, oraz decydentami powiatowymi w celu uzyskania zgody na przejęcie jednej z dawnych wzorcowych bacówek.

Ostatecznie, po wymianie wielu pism, wiosną 1973 r. zapadła decyzja. Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Targu przekazało do użytkowania przez harcerzy, będącą w najlepszym stanie, bacówkę nr 1 wraz z przylegającym do niej terenem. Budynek ten składał się z dwóch części: mieszkalnej z niedoszłą serowarnią i wędzarnią oraz znacznie większej gospodarczej ze stajnią i tzw. strągą, do której miano pierwotnie zaganiać owce. Pierwsze działania mające na celu zaadaptowanie pozyskanego obiektu ruszyły jeszcze latem tego samego roku. Prace remontowe prowadzili w trakcie letnich i jesiennych wyjazdów sami harcerze w ramach Harcerskiej Akcji Schronisko. Dzięki zadbaniu wówczas o poprawę stanu m.in. okien i pieców, już na początku 1974 r., czyli dokładnie 50 lat temu, w bacówce odbyło się pierwsze harcerskie zimowisko. Oczywiście w tym niepozbawionym uroku czasie wodę donoszono wiadrami, a piece opalano głównie własnoręcznie narąbanym drewnem. W jednym ze wspomnień odnoszących się do tego okresu napisano: „Wszystko wnoszone na plecach z Jaworek – materiały budowlane, żywność, sprzęt itd. – ale jakiś magnes nakazywał ustawiać tak czas w Krakowie, aby każdą wolną chwilę spędzać w naszej chacie".

Ku profesjonalnemu schronisku

W kolejnych latach bardziej zaawansowane prace wymagały zaangażowania praktykantów z krakowskiego Technikum Budowlanego, czy też Akademii Górniczo-Hutniczej. Dzięki temu w 1976 r. niedawny pustostan miał już doprowadzoną wodę, centralne ogrzewanie i posiadał system odprowadzania ścieków. W latach 70. zdołano zaadaptować północno-wschodnie skrzydło bacówki, w którym aktualnie znajduje się część służbowa. Z czasem lampy gazowe na butlach turystycznych wyparła energia z wojskowego agregatu, a ten w końcu stał się zbędny dzięki doprowadzeniu prądu. Przy budynku wyrósł również wyciąg narciarski. Co dziś już trudno sobie wyobrazić, obiekt przez wiele lat nie posiadał stałych gospodarzy i personelu. Jednak nieustanne dostosowywanie do użytku kolejnych pomieszczeń dawnej bacówki, podnoszenie ich standardu oraz docelowe wyposażenie budynków w oczyszczalnię ścieków pozwoliło na ich całoroczne funkcjonowanie. W latach 80. prowadzono przebudowę skrzydła południowo-zachodniego z tzw. strągą na przestrzeń noclegową dla gości. W tym okresie pierwszym na stałe zamieszkującym obiekt gospodarzem został Jan Marchaj. To on zapewniał ośrodkowi niepowtarzalną górską atmosferę. W 1983 r. schronisko zyskało swojego patrona. Został nim, zmarły rok wcześniej, wieloletni instruktor, miłośnik gór, hm. Władysław Piliński „Pucek", który był wielkim orędownikiem stworzenia i przekazania tego miejsca harcerzom. Rada Hufca w uzasadnieniu tej decyzji napisała: „Sprawie bacówki – schroniska poświęcił ostatnie 10 lat swego życia. Uczestniczył w wielu wyjazdach i pracach na rzecz odbudowy i rozbudowy schroniska. [...] Jeszcze w ostatnich miesiącach życia, schorowany »

eprasa.pl d17c3c1536

» uczestniczył w wyjeździe przygotowującym praktyki młodzieży przy pracach budowlanych w bacówce".

Górski Ośrodek Szkolno-Wypoczynkowy

Kolejnym kierownikiem obiektu został Marek Dębicki. Następnie na stanowisku tym zastąpił go, pracujący do dziś, nieoceniony Grzegorz Szewczyk. Nieustannie modernizowany obiekt, jako filia Młodzieżowego Domu Kultury „Domu Harcerza" w Krakowie pełni obecnie funkcję Górskiego Ośrodka Szkolno-Wypoczynkowego i jest własnością Miasta Krakowa. Choć stanowi obowiązkowy punkt odpoczynku na szlaku turystów przemierzających Pieniny, oferując im przepiękną panoramę Beskidu Sądeckiego, od pozostałych schronisk górskich wciąż odróżnia go harcerski rodowód. Fakt ten chyba najmocniej zauważalny jest w niespotykanym już praktycznie w górach braku stricte komercyjnego podejścia do gości.

Widok na dzisiejszą część noclegową dla gości, najprawdopodobniej lata 70. XX w.

Durbaszkę zawsze mam w sercu

MICHAŁ KOMUDA ROZMAWIA Z PAWŁEM ZORSKIM, WSPÓŁINICJATOREM POWSTANIA SCHRONISKA POD DURBASZKĄ

W tym roku obchodzimy 50-lecie pierwszego zimowego obozu harcerskiego, który został zorganizowany w dawnej bacówce nr 1 pod Durbaszką. W jaki sposób udało się do tego doprowadzić?

Paweł Zorski: Najistotniejsze było przygotowanie budynku do zimy. Prace rozpoczęliśmy latem 1973 r. od zera. Budynek od lat pozostawał zamknięty i nigdy wcześniej nie był przystosowany do użytkowania zimą. Dodatkowo trzeba było go zaadaptować do pobytu młodzieży szkolnej, więc mieliśmy bardzo dużo pracy. Poczynając od posprzątania po użytkowaniu przez pasterzy, poprzez wstawienie szyb w okna i ocieplenie ścian, kończąc na postawieniu nowych pieców. Trzeba było również zbudować piętrowe prycze do spania. Wszystkie te prace wykonywaliśmy naszymi, młodzieży siłami. Żeby zdążyć przed zimą, po zakończeniu wakacji, przyjeżdżaliśmy z Krakowa pod Durbaszkę co weekend, co na szczęście było możliwe dzięki zaufaniu i wsparciu rodziców. Drugim najważniejszym celem było udowodnienie władzom Hufca Zwierzyniec, że w adaptowanym budynku da się mieszkać. To zimowisko miało być tego ostatecznym sprawdzeniem.

Co w tych spartańskich warunkach, podczas zimowiska dokuczało najbardziej?

Ogólnie było super. Jednak pewien problem stanowiło utrzymanie odpowiedniej temperatury w budynku. Brakowało zapasów węgla, który trzeba było wwozić z dołu, a nie było wówczas drogi dojazdowej. Oczywiście również wodę przynosiliśmy z ujęcia znajdującego się na zewnątrz.

W jaki sposób tamtej zimy oraz podczas późniejszych obozów dostarczano dla ich uczestników żywność?

Jedzenie najczęściej wnosiła na swoich plecach starsza młodzież. Zwłaszcza zimą, gdy nie było innego sposobu. Ścigano się przy tym, kto najszybciej wejdzie w śniegu na górę. Głodu nie było.

Czy 50 lat temu przewidywaliście, że bacówka stanie się dużym, komfortowym schroniskiem?

To było nasze marzenie. Zakładaliśmy, że powstanie tam obiekt, w którym da się funkcjonować. Nie wiedzieliśmy tylko, jak do tego doprowadzić. Trafiliśmy jednak na sprzyjające warunki i pomocnych ludzi. Mieliśmy też wsparcie ze strony Hufca, który prowadził kmdt Zbigniew Sabiński. To dzięki jego energii, kontaktom, a także ochronie, mogliśmy budować to miejsce i normalnie funkcjonować. Bo bacówka miała być nie tylko budynkiem, lecz także miejscem, w którym harcerze mogli spędzać czas bez PRL-owskiej indoktrynacji.

Ile lat pan i pana starszy brat Tomasz Zorski poświęciliście idei stworzenia schroniska?

Najbardziej intensywny wkład przypadał na lata 70., do początku lat 80. Wówczas nasza grupa ze „Żbiczej Gromady" była odpowiedzialna za ten obiekt, bo on nie miał jeszcze stałej obsady. Mój brat stał na czele koordynującej wszystko Harcerskiej Akcji Schronisko. To jednak z naszej strony nie było jakieś poświęcenie, to była wielka przyjemność i fajna przygoda.

Czym dziś, po upływie pół wieku, jest dla pana ośrodek pod Durbaszką?

Durbaszkę zawsze mam w sercu i co jakiś czas staram się tam jeździć. Zresztą w późniejszym okresie dzięki mojemu, a także innych byłych harcerzy zaangażowaniu w Radę Miasta Krakowa staraliśmy się zabezpieczać środki na utrzymanie, remonty i modernizację tego ośrodka. To miejsce to trochę moje życie. To jest piękne wspomnienie ze świetnym efektem.

FOT. ZE ZBIORÓW ANDRZEJA SZARECKIEGO

eprasa.pl d17c3c1536

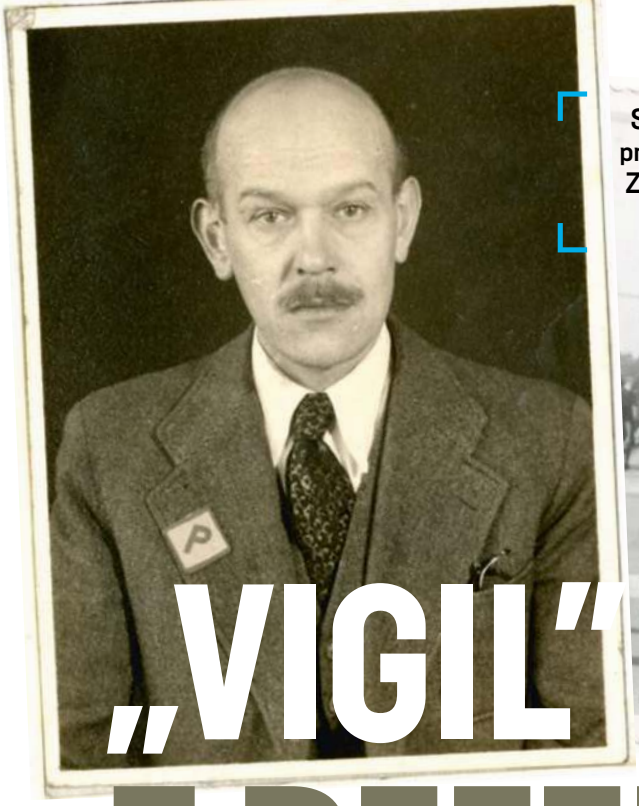

Stanisław Leszczyński ps. Vigil (drugi od lewej) jako pracownik EKD na dworcu w Podkowie Leśnej, 1943 r. Z lewej strony Leszczyński na zdjęciu z czasów pracy przymusowej w Niemczech, 1945 r.

„VIGIL" Z REFERATU 998

MARIUSZ OLCZAK

„VIGIL" TO JEDEN Z NAJZDOLNIEJSZYCH, NAJLEPIEJ WYKSZTAŁCONYCH, NAJEFEKTYWNIEJSZYCH, ALE JEDNOCZEŚNIE STOSUNKOWO MAŁO OBECNIE ZNANY I DOCENIANY OFICER KONTRWYWIADU ARMII KRAJOWEJ

Stanisław Bronisław Leszczyński urodził się w Piotrkowie Trybunalskim 3 września 1900 r. Jego rodzicami byli pomocnik maszynisty kolejowego Konstanty Leszczyński i Romualda de Laurans du Bousquet. W 1918 r. ukończył polską szkołę realną w Charkowie, dokąd przeniósł się wraz z rodziną. Krótko potem w październiku 1918 r. po powrocie na ziemie polskie rozpoczął naukę w gimnazjum Kulwiecia w Warszawie, a po jego ukończeniu dostał się na Wydział Prawa świeżo powołanego do życia Uniwersytetu w Poznaniu. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej jako załogant pociągu pancernego nr 22 „Groźny". Po zakończeniu wojny rozpoczął w stolicy studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie studiów pracował dorywczo w Prokuraturze Wojskowej i na kolei. Studia zakończył w 1927 r. z tytułem magistra praw i nauk politycznych, a następnie powołany został do wojska. Po ukończeniu Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty w Gródku Jagiellońskim rozpoczął pracę jako aplikant w Sądzie Okręgowym w Warszawie – został asesorem tego sądu. W 1931 r. objął stanowisko sędziego grodzkiego w Kamieniu koło Kowla, a w 1934 r. Sądu Grodzkiego w Częstochowie. W 1936 r. w stopniu podporucznika rezerwy skończył sześciotygodniowy kurs dowódców kompanii w Zambrowie. W 1937 r. został awansowany do Sądu Okręgowego w Łodzi na stanowisko sędziego śledczego, gdzie pracował do wybuchu wojny. Kampanię 1939 r. odbył w stopniu porucznika, a po kapitulacji powrócił do Warszawy i rozpoczął pracę w sieci Elektrycznych Kolei Dojazdowych, kończąc kurs konduktorski w styczniu 1940 r.

Konspiracja

Pierwszą strukturą konspiracyjną, do której trafił, byli „Muszkieterowie". Dokumenty pracownika kolejowego, jak i sam styl pracy kolejarskiej idealnie nadawał się do wykorzystania w pracy konspiracyjnej. Wszelkie funkcje zawodowe związane z komunikacją zapewniały tzw. mocne papiery, jak i dostęp do szeregu udogodnień związanych z przemieszczaniem się po Warszawie i okolicach. W przypadku Leszczyńskiego dochodziły do tego znajomości zawodowe nie tylko natury osobistej, lecz także pochodzące od ojca kolejarza. Pamiętajmy, że status zawodu w tamtym okresie był nieco inny od tego z okresu powojennego i ze współczesności. W konspiracji Leszczyński posługiwał się konspiracyjnymi nazwiskami: Tadeusz Szymański, Tadeusz Zawadzki, »

eprasa.pl d17c3c1536

Robert Sukierzyński, a także pseudonimami „Robert", „Sędzia", „Vigil" i kryptonimami numerycznymi „A-7", „L-11", „L-9", „998/V".

Na początku 1942 r. Leszczyński przeszedł z „Muszkieterów" do kontrwywiadu KG ZWZ-AK, gdzie objął funkcję oficera dochodzeniowego. Wśród szeregu prowadzonych spraw na pewno najważniejszą było śledztwo w sprawie aresztowania Komendanta Głównego KG AK Stefana Roweckiego „Grota". Nie było to jednak śledztwo w ścisłym rozumieniu tego słowa, gdyż nie prowadził on przesłuchań, osobistych wywiadów w terenie, lecz gromadził i analizował informacje, jakie spływały na temat aresztowania „Grota" z wszystkich komórek kontrwywiadu. Swoją pracę zakończył w październiku 1943 r., przedstawiając dwa dokumenty: „Sprawozdanie z przebiegu aresztowania »GROTA«" i „Opracowanie materiału w sprawie aresztowania »GROTA«", oba sygnowane kryptonimem „A-7". Jak sam zaznaczył na końcu, był to „uporządkowany, lecz surowy materiał informacyjny, zawarty w posiadanych przeze mnie aktach sprawy". W drugim dokumencie Leszczyński zawarł analizę i swoje spostrzeżenia śledcze, w których – mimo że ostatecznie nie zamknął śledztwa – pokazał swoje zdolności prokuratorskie. To właśnie one zdecydowały, że wkrótce dowództwo Oddziału II KG AK powierzyło mu kierowanie referatem 998 Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu KG AK odpowiedzialnym za bezpieczeństwo centralne. Zaczęła mu podlegać „Kratka", komórka więzienna zapewniająca i odpowiedzialna za łączność z aresztowanymi, grupa inwigilacyjno-ewakuacyjna, komórka referentów bezpieczeństwa i śledczych, która miała służyć do nadzorowania i udzielania pomocy w najtrudniejszych sprawach, komórka alarmowa. Do referatu 998 miały trafiać wszelkie informacje odnośnie do wsyp, afer, aresztowanych, inwigilowanych, a także doniesienia o rewizjach, śledztwach, kontaktach z aparatem represji, wreszcie grypsy.

Szef referatu 998

Szef Sztabu KG AK Tadeusz Pełczyński „Grzegorz" 20 kwietnia 1944 r. wystosował do oddziałów KG AK specjalny rozkaz nakazujący właśnie centralizowanie tych informacji w jednostce 998. Miała ona odgrywać rolę koordynującą działania podejmowane przez kontrwywiad KG AK. Była to więc wielka odpowiedzialność, jaka spadła na barki Leszczyńskiego. W tym też momencie skrzyżowały się jego drogi i Kazimierza Leskiego, właśnie od którego miał odebrać cały aparat osobowy i organizacyjny referatu 998. Procedura przekazywania spraw i lokali przeciągała się przez kilka miesięcy na skutek uników Leskiego. Problemem dla Leszczyńskiego była również autonomia podlegającej mu „Kratki" i rezygnacja złożona przez jej szefa Jana Redzeja „Klemensa". 2 marca 1944 r. Leszczyński przygotował sprawozdanie dotyczące spalenia łączności w 998 i samego procesu przejęcia „Kratki". Wiosną 1944 r. obciążony pracą i obowiązkami zdecydował się na złożenie rezygnacji z szefa referatu 998, co jednak nie spotkało się z aprobatą dowództwa Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG AK. Bernard Zakrzewski „Oskar" w piśmie z 1 kwietnia 1944 r. napisał: „Nie jesteśmy w stanie zastąpić Pana osobą o równie wysokich kwalifikacjach zawodowych oraz o równie wysokim poświęceniu i wkładzie pracy". Jednocześnie Zakrzewski obiecał mu wsparcie i pomoc w prowadzeniu referatu. Zwiększono kompetencje referatu wspomnianym przed chwilą rozkazem Pełczyńskiego. „Vigil" był doceniany przez przełożonych. We wniosku odznaczeniowym na Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami Bernard Zakrzewski „Oskar" napisał o nim: „Wybitny fachowiec w swojej specjalności, pracowity wyjątkowo, poświęcający pełne 100% swego czasu pracy, b[ardzo] wysoki poziom moralny, charakter prawy, lojalny i zdyscyplinowany. W bardzo trudnych warunkach przejął ciężki dla kierowania duży aparat 998, reguluje z taktem wszystkie zadrażnienia na czułym punkcie kontaktu innych oddziałów ze służby bezpieczeństwa".

W momencie wybuchu powstania warszawskiego Leszczyński przebywał w mieszkaniu konspiracyjnym

„WYBITNY FACHOWIEC W SWOJEJ SPECJALNOŚCI, PRACOWITY WYJĄTKOWO, WYSOKI POZIOM MORALNY, CHARAKTER PRAWY, LOJALNY I ZDYSCYPLINOWANY"

ZDJĘCIA: ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl d17c3c1536

przy ul. Mochnackiego 17 w dzielnicy Ochota. Teren ten objęła Reduta Wawelska, w której broniła się część oddziałów IV Obwodu Ochota. „Vigil" pełnił funkcję zastępcy komendanta punktu oporu przy ul. Mianowskiego 15. Walka w reducie nie trwała długo. Dnia 7 sierpnia 1944 r. lekko ranny Leszczyński pod nazwiskiem Tadeusz Szymański został stamtąd ewakuowany przez Niemców wraz z ludnością cywilną na tzw. Zieleniak i dalej przez Pruszków wywieziony do pracy przymusowej na rzecz niemieckiego przemysłu.

Fotografia wykonana po aresztowaniu przez UB, 1949 r.

Powojenne losy

Do Warszawy Leszczyński wrócił w czerwcu 1945 r. Zgłosił się do pracy w sądownictwie, którą rozpoczął w lipcu 1945 r. jako wiceprokurator Ekspozytury Specjalnego Sądu Karnego w Warszawie, dalej przeszedł na stanowisko wiceprokuratora Sądu Apelacyjnego, ale ostatecznie na własną prośbę został zatrudniony w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Zamieszkał przy ul. Marszałkowskiej 4/5 jako sublokator u swojej kuzynki dentystki Zofii Kruszewskiej. W październiku 1947 r. przeniósł się do wyremontowanego przez siebie mieszkania przy ul. Mochnackiego 17/18. Był inwigilowany przez cały czas przez agenturę UB. Ulokowano przy nim agenta UB o pseudonimie „Jerzy 12", który donosił bardzo szczegółowo m.in. o stylu życia, osobach odwiedzających go w mieszkaniu przy ul. Mochnackiego, dochodach, zwyczajach. Musiała to być osoba z najbliższego otoczenia w miejscu zamieszkania. Informowała UB m.in. tak: „Pali papierosy, lubi czarną kawę, wódkę, obecnie mniej pije". Inna informatorka UB o kryptonimie „13 Maria" donosiła 23 sierpnia 1947 r.: „Sędzia Leszczyński pracując za okupacji w konspiracji, miał spryt do chowania materiałów u niego z czasów okupacji. Podczas rewizji należałoby dobrze szukać w biurku, szufladach, stołach, nogach u stołów itp.". Ta sama informatorka donosiła, że to właśnie Leszczyński organizował świadków, agitowanie publiczności na sali sądowej i manifestacje podczas procesu Marii Bortnowskiej.

31 marca 1948 r. Leszczyńskiego zwolniono z pracy w sądzie, przenosząc go w stan spoczynku, a od 15 czerwca 1948 r. został zatrudniony w Dyrekcji Naczelnej Państwowej Centrali Handlowej (PCH) na stanowisku kierownika Sekcji Dyrekcji Ekonomicznej. Zbyt długo jednak nie pracował. 24 stycznia 1949 r. został aresztowany – był podejrzany o działalność szpiegowską i wywiadowczą. W momencie rewizji w jego mieszkaniu zabezpieczono 35 teczek komórki więziennej KG AK i 8 segregatorów z wycinkami prasowymi z okresu po powstaniu, a także ulotki antykomunistyczne oraz 2 fałszywe dowody osobiste na jego nazwisko. Kilka dni później funkcjonariusze MBP zawieźli go do mieszkania, nakazali wskazanie oraz otwarcie umieszczonej w kuchni obok pieca skrytki, z której usunięto archiwum. Miało ono zawierać m.in. instrukcję wywiadowczą, wiadomości polityczne, rozpracowania struktur MBP, wiersze szkalujące komunistyczną rzeczywistość, materiały antykomunistyczne oraz prasę konspiracyjną. Co ciekawe, podczas dalszych przesłuchań Leszczyńskiego MBP miało problemy z odnalezieniem tych wyjętych ze skrytki materiałów i okazaniem ich w trakcie śledztwa. Inna skrytka referatu 998 znajdowała się przy ul. Mianowskiego w mieszkaniu Marii Prusieckiej. Dokumenty z niej także zostały wyciągnięte.

17 sierpnia 1951 r. wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie Leszczyński został skazany na karę 12 lat pozbawienia wolności, 3 lata ograniczenia praw publicznych i konfiskatę całego mienia. Przetrzymywany był przez dwa lata w więzieniu przy ul. Rakowieckiej, a następnie w zakładzie karnym we Wronkach. Został zwolniony z więzienia 6 maja 1956 r. Z kolei 16 stycznia 1957 r. Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie uchyliło „z braku cech przestępstwa" wyrok skazujący Leszczyńskiego. Sam „Vigil" po zwolnieniu stał na stanowisku, że żadna suma pieniężna nie była w stanie wynagrodzić poniesionego przez niego cierpienia i krzywdy moralnej, postanowił o oczekiwaniu symbolicznego 1 zł jako zadośćuczynienia.

W 1957 r. po opuszczeniu więzienia stan zdrowia Leszczyńskiego nie był dobry. Został uznany za inwalidę II stopnia. Przez trzy miesiące przebywał w sanatorium przeciwgruźliczym pod Gostyninem. Miał problemy z utrzymaniem się, przez co musiał pożyczać pieniądze od znajomych. Bezskutecznie szukał pracy. Dopiero po kilku miesiącach otrzymał pracę w Sądzie Najwyższym, nie na stanowisku sędziego, ale jako członek Biura Orzecznictwa. Nie mógł bowiem po wyjściu z więzienia zostać czynnym sędzią. Leszczyński zmarł 9 czerwca 1974 r., przeżywszy 74 lata.

Historia referatu 998 i działalności samego Stanisława Leszczyńskiego czeka na dalsze szczegółowe badania i rozwinięcie tego, co napisał Józef Garliński, a następnie rozwinęli Andrzej K. Kunert i Władysław Bułhak. W publikacjach wydanych ostatnio staraniem AAN i ABW udało się znacznie poszerzyć wiedzę o referatach 999 i 997 Wydziału Bezpieczeństwa oraz Kontrwywiadu Oddziału II KG AK i o kierujących nimi prof. Stanisławie Ostoi-Chrostowskim i Kazimierzu Leskim. W planie są kolejne monografie, w tym poświęcona referatowi 998.

eprasa.pl d17c3c1536

LIZBOŃSKI ŁĄCZNIK

PAWEŁ SKUBISZ

IPN w Warszawie

PRZEMIANY DEMOKRATYCZNE Z 1989 r. DOPROWADZIŁY W KRAJACH EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ DO LIKWIDACJI KOMUNISTYCZNYCH POLICJI POLITYCZNYCH. ZOSTAŁY ONE ZASTĄPIONE NOWYMI SŁUŻBAMI SPECJALNYMI, CHOCIAŻ W WIĘKSZOŚCI WYPADKÓW NIE OZNACZAŁO TO WCALE DIAMETRALNEJ WYMIANY KADROWEJ

W Polsce szyld nowego Urzędu Ochrony Państwa zawisł na budynku bezpieki przy ul. Rakowieckiej dopiero w maju 1990 r. Funkcjonariusze nowej służby zrekrutowani zostali niemal w całości z byłych przedstawicieli Służby Bezpieczeństwa, którą likwidowano jeszcze do końca lipca tegoż roku.

Ostatni zostali Polacy?

W Europie Środkowo-Wschodniej rozpoczął się proces nawiązywania relacji z zachodnimi służbami wywiadowczymi. W awangardzie zmian znaleźli się Węgrzy, Czesi i Słowacy. Z Polski nie docierały jednak żadne sygnały politycznej gotowości do zbliżenia. Jedynie pod koniec 1989 r. do Pentagonu z oficjalną wizytą wybrał się gen. bryg. Roman Misztal kierujący wówczas Zarządem II Sztabu Generalnego LWP, czyli wywiadem wojskowym PRL. Spotkał się on ze swoim amerykańskim odpowiednikiem gen. por. Harrym E. Soysterem, szefem Agencji Wywiadu Wojskowego (ang. Defense Intelligence Agency, czyli DIA) oraz szefami innych wojskowych struktur wywiadowczych USA. Był to jednak tylko „mniejszy brat" SB, która przyciągała główną uwagę Amerykanów.

W zachowanych dokumentach MSW wyraźnie można dostrzec, że inicjatywa leżała po stronie Amerykanów. W lutym 1990 r. przedstawiciele Departamentu Stanu USA półoficjalnie sygnalizowali możliwość zmniejszenia reżimu kontrwywiadowczego wobec pracowników polskich placówek dyplomatycznych w tym kraju, poza tym warunkowe utworzenie konsulatu RP na terenie Kalifornii, a nawet zniesienie międzynarodowego embarga na eksport do Polski urządzeń i technologii o charakterze strategicznym. Ceną za takie ustępstwa miałoby być ograniczenie współpracy wywiadowczej pomiędzy Polską a ZSRS, a także zaprzestanie polskiej aktywności szpiegowskiej w USA. Kilku przedstawicieli administracji amerykańskiej sformułowało takie stanowisko w obecności pracowników Departamentu I MSW działających pod przykryciem dyplomatycznym w Waszyngtonie. O przypadku nie mogło więc być mowy. Za pośrednictwem szefa Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW gen. Zdzisława Sarewicza przekazano informacje do najważniejszych polityków czasu transformacji – Wojciecha Jaruzelskiego, Czesława Kiszczaka, Floriana Siwickiego, Tadeusza Mazowieckiego, Leszka Balcerowicza, Bronisława Geremka czy Krzysztofa Skubiszewskiego.

Amerykańska oferta spotkania

Przełom nastąpił, kiedy 1 marca 1990 r. do recepcji ambasady RP w Lizbonie zgłosił się Amerykanin o polskich korzeniach John Edward Palevich i poprosił o spotkanie z radcą ambasady Ryszardem Tomaszewskim. Dla jasności wyjaśnić przy tym trzeba, że zażądał spotkania z szefem tutejszej ekspozytury w randze pułkownika SB, pracującym na niejawnym etacie Departamentu I MSW pod dyplomatycznym przykryciem i posługującym się pseudonimem Altan. Palevich wylegitymował się paszportem dyplomatycznym i poprosił o rozmowę na osobności. W pokoju obok recepcji przedstawił się jako oficer CIA. Sytuacja w pokoju stężała momentalnie i obaj mężczyźni znaleźli się w ekstremalnie stresującej sytuacji. Wyglądało, jakby Palevich próbował zwerbować Tomaszewskiego. Niezręczną ciszę i napięcie przerwał oficer CIA. Poprosił, aby przekazać do Warszawy wiadomość, że Agencja oczekuje nawiązania kontaktu roboczego z Departamentem I MSW w „zakresie współpracy nad utrzymaniem równowagi w Europie w kontekście zmian zachodzących w krajach należących do Układu Warszawskiego oraz zbliżającego się zjednoczenia Niemiec". Adresatem komunikatu był imiennie wskazany minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak, szef Służby Wywiadu i Kontrwywiadu Zdzisław Sarewicz oraz dyrektor Departamentu I MSW Henryk Jasik.

Informacja z Portugali wywołała niemałe zamieszanie w kraju. Już trzy godziny później Tomaszewski przedstawił szyfrogramem przebieg spotkania i oczekiwania Amerykanów, sugerując przy tym prowokację CIA. Raport w tej sprawie sporządzony przez dyrektora Departamentu I MSW Henryka Jasika trafił błyskawicznie na biurko ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka. Ten po rozmowie z szefem Służby Wywiadu i Kontrwywiadu Zdzisławem Sarewiczem zlecił przygotowanie „koncepcji uzasadniającej celowość podjęcia kontaktu". Ostatecznie Kiszczak zaaprobował spotkanie w Lizbonie i przeniesienie rozmów do Szwajcarii lub Austrii, gdzie SB czuła się swobodniej i miała większe możliwości operacyjnego zabezpieczenia rozmów. W notatce służbowej dokonał jednak istotnej zmiany. Tam, gdzie była mowa

FOT. FBI.GOV, IPN, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d17c3c1536

o telefonicznej akceptacji ze strony „Warszawy", odręcznie wpisał swoje nazwisko. Był to czytelny sygnał dla podległych funkcjonariuszy, że mają zakomunikować Amerykanom, iż personalnie za decyzją stoi ich szef.

Już 5 marca 1990 r. Ryszard Tomaszewski otrzymał polecenie nawiązania kontaktu telefonicznego z CIA w celu zorganizowania spotkania roboczego w Lizbonie. Oczywiście za pośrednictwem Palevicha, któremu nadano pseudonim Łącznik. W kilku rozmowach telefonicznych między Portugalią a USA oficerowie ustalili spotkanie na 2 maja 1990 r. w pięciogwiazdkowym hotelu Tivoli Lisboa. Kilka dni później poinformowano Tomaszewskiego o akceptacji operacji przez premiera Tadeusza Mazowieckiego, zaś sama SB rozpoczęła dokumentowanie jej przebiegu w ramach Teczki Sprawy Tematycznej o kryptonimie Dialog. Jednocześnie „Altanowi" nakazano w rozmowach z „Łącznikiem" sugerowanie, aby Amerykanie nie poruszali w oficjalnym spotkaniu Mazowieckiego z szefem CIA Williamem H. Websterem w Waszyngtonie (zaplanowanym na 26 marca 1990 r.) tematyki wywiadowczej lub tylko określili ogólne zasady współpracy służb specjalnych z Polski i USA. Minister spraw wewnętrznych chciał w ten sposób pozostawić ustalenie szczegółów współpracy w gestii funkcjonariuszy SB. Do samego końca próbował też kontrolować coraz bardziej dynamiczną sytuację. Jednocześnie była to odpowiedź na wcześniejsze pytania strony amerykańskiej o status lizbońskich rozmów i być może sondowanie, czy Kiszczak, wskazujący na siebie jako stronę w kontaktach z CIA, poinformował o nich kierownictwo polskiego rządu.

Czesław Kiszczak

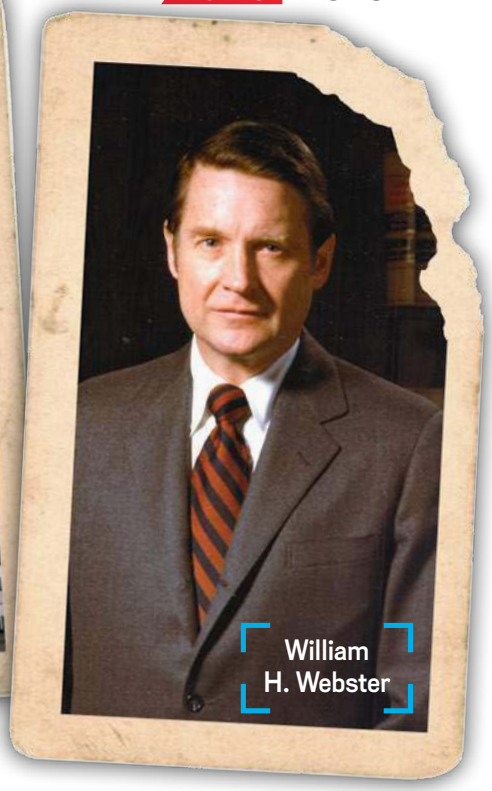
William H. Webster

Pierwszy oficjalny kontakt

Na spotkanie lizbońskie udało się z Polski dwóch doświadczonych funkcjonariuszy SB – płk Bronisław Zych, wicedyrektor Departamentu I MSW, oraz mjr Krzysztof Smoleński, zastępca naczelnika Wydziału II (amerykańskiego) Departamentu I MSW. Delegację polską uzupełniał Tomaszewski jako lokalny rezydent wywiadu. Amerykanów reprezentowali Paul Redmond, zastępca dyrektora Biura Operacyjnego ds. ZSRS i Europy Wschodniej, Frederick Turco, dyrektor Centrum Antyterrorystycznego, i oczywiście John Palevich, szef Wydziału Polskiego w CIA. Przedstawiciele służb spotkali się w lobby dużego apartamentu wynajętego przez Amerykanów i to oni zaproponowali przebieg obrad skoncentrowanych wokół trzech tematów: zagrożeń międzynarodowego terroryzmu, utworzenia w Warszawie biura Foreign Broadcast Information Service (FBIS) oraz uzgodnienia terminu, miejsca i formuły przyszłych kontaktów. Przekazali także cenne opracowania dotyczące zagrożeń terrorystycznych ze strony ugrupowań ekstremistycznych i krajów je wspierających, szczególnie Iranu, Iraku, Libii, Syrii i Libanu. Wszystko z racji realnych obaw o zamachy po deklaracji rządu polskiego z końca marca 1990 r. o pomocy w tranzycie lotniczym ludności żydowskiej emigrującej do Izraela ze Związku Sowieckiego, a przeprowadzonej później jako „Operacja Most". Nowa fala emigracji żydowskiej wywołała protesty ze strony ludności arabskiej. Doszło nawet do ataku z użyciem broni maszynowej na polskiego attaché handlowego z ambasady RP w Libanie. W Polsce materiały amerykańskie na temat terroryzmu uznano za bardzo cenne.

W sprawie utworzenia w Warszawie biura FBIS omówiono założenia tego przedsięwzięcia, będącego oficjalną i jawną strukturą CIA zbierającą oraz przetwarzającą informacje potrzebne dla amerykańskich decydentów, biznesu oraz osób prywatnych w zakresie bieżącej polityki, gospodarki, ale też kwestii przestępczości czy bezpieczeństwa. Wszystko w oparciu o otwarte źródła z telewizji, radia i prasy. Amerykanie złożyli nieformalną ofertę otwarcia takiego biura właśnie w Warszawie. Planowano zatrudnienie 35 osób personelu, w tym aż 30 Polaków. Oficjalna propozycja miała być złożona tylko w wypadku pomyślnego przebiegu rozmów poufnych. Funkcjonariusze SB uznali ją za bardzo atrakcyjną, uwzględniając fakt, że miało być to jedno z 30 takich biur na świecie. Tutaj, w Warszawie, specjalnie dedykowane dla Europy Środkowo-Wschodniej.

Raport ze spotkania w Lizbonie z adnotacjami Czesława Kiszczaka został przekazany 14 maja wiceministrowi Krzysztofowi Kozłowskiemu, szefowi nowo tworzonego Urzędu Ochrony Państwa. To jemu przypadło w udziale zorganizowanie kolejnego spotkania przedstawicieli polskich i amerykańskich służb specjalnych w lipcu 1990 r. Tym razem w Warszawie, co zaaprobował premier Tadeusz Mazowiecki i prezydent USA George Bush. Droga do współpracy wywiadowczej między krajami została otwarta.

eprasa.pl d17c3c1536

Bracia Bohusz-Siestrzeńcewiczowie z Niemenczynka

DZIŚ NIE MA JUŻ ŚLADU PO NIEWIELKIM DWORKU W PODWILEŃSKIM NIEMENCZYNKU, KTÓRY WRAZ Z ZIEMIĄ NALEŻAŁ JESZCZE W XIX w. DO RODZINY SIESTRZEŃCEWICZÓW HERBU SIESTRZENIEC

FOT. SHUTTERSTOCK

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Mieszkańcy tej wioski położonej za północnymi rogatkami Wilna (niedaleko znanego miasteczka Niemenczyn), liczącej obecnie niewiele ponad 60 mieszkańców, pamiętają tylko, iż gdzieś tu znajdują się groby trzech francuskich generałów i wielu żołnierzy armii cesarza Napoleona, zmarłych z wycieńczenia i mrozu w trakcie odwrotu spod Moskwy w 1812 r.

Genealodzy różnie wywodzą pochodzenie rodu Siestrzeńcewiczów herbu Siestrzeniec – odmiana herbu Strzała. Kasper Niesiecki, wspominając o Bohusz-Siestrzeńcewiczach, przytacza fragmenty tekstu drukowanego w 1560 r.: „Trzeci Jan Siestrzeniec herbu Strzała pułkownik chorągwi Nowogrodzkiej, mąż prawda dzielny i gromił silnie. Szlachcic on dawny, ale kniaź niepewny; cóż ci z tego, że ojciec jego był siostrzeńcem księcia Ślęzackiego”. Ten właśnie Jan Bohusz-Siestrzeniec, wywodzący się ze Śląska, pierwszy z rodu kupił wieś Obryn w nowogrodzkim i przeniósł się na Litwę. W tym też czasie król Zygmunt Stary, przebywając w Wilnie, wśród nagradzanych za wojenne zasługi „potwierdził tytuł kniazia Janowi Siestrzeńcowi, pozwolił herb odmienić, a od dawnego swego klejnotu Kotficz, przezwać Obryn Godziszkami”. Otóż tenże Jan Bohusz w młodości często powoływał się na babkę, która była

eprasa.pl d17c3c1536

siostrą księcia Konrada Śląskiego i stąd zyskał nazwę Siestrzeniec, z wiekami zmienioną na nazwisko Siestrzeńcewicz.

Arcybiskup mohylewski

Pierwszą ważną postacią z rodu Bohusz-Siestrzeńcewiczów, która budzi ciekawość do dziś, był Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz (1731–1826), późniejszy arcybiskup mohylewski. Urodzony we dworze w Zankach (powiat wołkowyski) na Litwie, wychowany w religii kalwińskiej przez ojca Jana Siestrzeńcewicza, starostę michniewskiego, i matkę Kornelię z Odyńców h. Odyniec, katoliczkę, uczył się w dysydenckiej szkole w Kiejdanach, służył w armii pruskiej, w końcu kształcił się na pastora. Po studiach na uniwersytecie we Frankfurcie ok. 1751 r. przeszedł na katolicyzm.

Ciekawe fakty z jego życia zawiera „Mowa nad grobem Jaśnie Wielmożnego Stanisława Siestrzeńcewicza-Bohusza, metropolity kościołów rzymsko-katolickich w Rossyi, arcybiskupa mohilewskiego etc. 15 decembra 1826 roku przez Stanisława Parczewskiego doktora teologii w kościele parafialnym nowoustawionym w Petersburgu na Kołomnie". Inne wydarzenie zapisał sam arcybiskup w swoim „Dzienniku". Przypominał tam o służbie w wojsku pruskim i ranie w prawą rękę, jaką odniósł w jednej z bitew, dalej dokładnie wymienił uniwersytety, na których studiował, wreszcie pisał o wydarzeniach skłaniających go do przejścia na katolicyzm. Ciekawy wszelkiej wiedzy – studiował filozofię, matematykę, prawo, języki obce i klasyczne, także medycynę – tak długo przedłużał nauki i studia, że jego zniecierpliwiony ojciec cofnął mu wypłaty. Stanisław w 1751 r. zorientował się, iż nie jest w stanie pokryć swoich zadłużeń we Frankfurcie i po cichu uciekł z tego miasta. Chciał do rodzinnego domu dotrzeć drogą morską i był już umówiony z kapitanem. Statek jednak odpłynął trochę wcześniej. Płynąc następnym, w Pilawie dowiedział się, iż ten poprzedni, którym miał podróżować, uległ katastrofie i wszyscy pasażerowie utonęli. Już na lądzie, w drodze do rodzinnego dworu, modląc się w jakimś kościółku za cudowne ocalenie, doznał przypływu wiary i zaczął zastanawiać się nad religią katolicką.

Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz (1731–1826)

Na Litwie

Po powrocie w rodzinne strony Siestrzeńcewicz zamieszkał w radziwiłłowskim majątku w Żyrmunach i pełnił funkcję sekretarza księcia Stanisława Radziwiłła oraz nauczyciela jego synów. Przeżywszy zawód miłosny, zastanawiał się nad swoim dalszym życiem. Wówczas od prałata, późniejszego biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego, częstego gościa Radziwiłłów, usłyszał propozycję przejścia w stan duchowny. W 1763 r. bp Massalski otrzymał od nuncjusza dyspensę kanoniczną, „potrzebną do święceń od tego, że Siestrzeńcewicz był urodzony przez ojca niekatolika i był wychowywany w herezji".

Po ukończeniu seminarium duchownego Stanisław Siestrzeńcewicz został 3 lipca 1763 r. wyświęcony na księdza. Życzliwość Radziwiłłów i bp. Massalskiego, a przede wszystkim własne niezwykłe zdolności pozwoliły mu na szybką karierę w stanie duchownym. Kazaniem ganiącym zamachowców, które wygłosił po nieudanym zamachu na króla Stanisława Augusta, zyskał wielką przychylność królewską. Po I rozbiorze Polski, kiedy o obsadzaniu kresowych diecezji zaczął decydować rząd rosyjski, zgłosił swoją kandydaturę na diecezjalnego pasterza. W 1773 r. nuncjusz Józef Garampi w imieniu papieża Piusa VI poinformował o przyznaniu ks. Siestrzeńcewiczowi godności biskupiej tytularnej i o jego naznaczeniu białoruskim biskupem sufraganem bp. wileńskiego. Jeszcze tego samego roku caryca Katarzyna II naznaczyła Stanisława Siestrzeńcewicza-Bohusza biskupem białoruskich kościołów katolickich ze stolicą w Mohylewie. Rzym, szukając kompromisu z władzą carską w Rosji, przeważnie jej ustępował i nie czynił trudności w zatwierdzeniu archidiecezji mohylewskiej z jej pasterzem abp. Siestrzeńcewiczem na czele, którego jednak prorosyjskie sympatie, mimo licznych talentów, w tym literackich, nie najlepiej zapisały się w dziejach Kościoła w Polsce.

„Na kresach", rysunek autorstwa Stanisława Bohusz-Siestrzeńcewicza, 1898 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Następne pokolenia

Urodzeni pod koniec XIX w. jeszcze w dworku w Niemenczynku bracia Bolesław, Stanisław i Stefan »

eprasa.pl d17c3c1536

Bohusz-Siestrzeńcewiczowie okazali się być dość ważnymi postaciami w życiu wojskowym i artystycznym Polski przełomu XIX i XX w. oraz czasu dwudziestolecia międzywojennego. Rodzicami braci byli: ziemianin Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz i jego małżonka Konstancja z Wolanów, oboje kalwini. Najstarszy z synów Bolesław (1868–1940), wyznania ewangelicko-reformowanego, ukończył Korpus Kadetów w Połocku, następnie wstąpił do Konstantynowskiej Szkoły Artylerii w Petersburgu. W czasie I wojny światowej w wojsku carskim dowodził jednostkami artylerii.

Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz (1869–1927)

W 1917 r. płk Bolesław Bohusz-Siestrzeńcewicz wstąpił do formującego się na ziemiach zaboru rosyjskiego I Korpusu Polskiego. W dowodzonym przez gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego Korpusie znaleźli się żołnierze narodowości polskiej służący w carskiej armii oraz walczący na frontach południowych i zachodnich, sam zaś Korpus zasłynął zwycięskimi walkami z wojskami bolszewickimi w okolicach Bobrujska. Bolesław Siestrzeńcewicz w I Korpusie dowodził pułkiem artylerii moździerzowej, następnie został komendantem Szkoły Oficerów Artylerii w Bobrujsku. Po likwidacji szkoły i demobilizacji Korpusu przedostał się do Polski, gdzie w listopadzie 1918 r. zaciągnął się w szeregi Wojska Polskiego.

Polskie Ministerstwo Spraw Wojskowych skierowało Bolesława Siestrzeńcewicza do Poznania, gdzie trwało powstanie wielkopolskie i gdzie rozkazem gen. Dowbor-Muśnickiego został dowódcą artylerii Armii Wielkopolskiej. W czerwcu 1919 r. Naczelna Rada Ludowa w Poznaniu mianowała go generałem brygady, awans zatwierdzony został przez MSW. Kierował później Zarządem Centralnych Zakładów Uzbrojenia w Poznaniu, pracował też w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Bolesław Bohusz-Siestrzeńcewicz, kawaler wielu orderów i odznaczeń, m.in. Złotego Krzyża Zasługi, zmarł 22 stycznia 1940 r. Pochowany został w Wilnie na cmentarzu ewangelickim.

Jeden malarz, drugi architekt

Dwaj młodsi bracia Bolesława, Stanisław (1869–1927) i Stefan (1872–1943), nie poszli wojskową drogą. Obaj ukończyli carską Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu, z tym że pierwszy z nich został znanym i wziętym malarzem, drugi natomiast architektem, który przebudował wiele znanych dworów na kresach północno-wschodnich. Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz studia artystyczne kontynuował w Paryżu w Académie Julian, później przez kilka lat pracował w Monachium. Tam poznał wybitnego polskiego malarza Józefa Brandta i został jego uczniem oraz współpracownikiem. Brandt był już wtedy właścicielem dworu w Orońsku, do którego na wakacje zapraszał przyjaciół malarzy. Tam Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz poznał córkę Józefa Brandta Marię Krystynę: „Oświadcza się, że w obecności świadków Bolesława Bohusz-Siestrzeńcewicza, Kapitana Sztabu Artylerii, Artura Hrabiego Potockiego, właściciela majątku i Adama Helbicza, właściciela majątku, pełnoletnich, zamieszkałych pierwszego w mieście Wilnie, drugiego w Austriackiej Galicji, trzeciego w majątku Konary Radomskiego powiatu, zawarto dziś religijny związek małżeński między Stanisławem Piotrem dwóch imion Bohusz-Siestrzeńcewiczem, kawalerem, malarzem, wyznania Ewangelicko-Reformowalnego, zamieszkałym w mieście Wilnie, urodzonym w majątku Niemenczynek Wileńskiego powiatu, dwadzieścia dziewięć lat mającym, a Marią Krystyną Brandt, panną przy rodzicach zamieszkałą i urodzoną w majątku Orońsko, córką Józefa i Heleny z Wojciechowskich małżonków Brandt" – taki dokument wystawiła w 1899 r. parafia Świętego Krzyża w Warszawie.

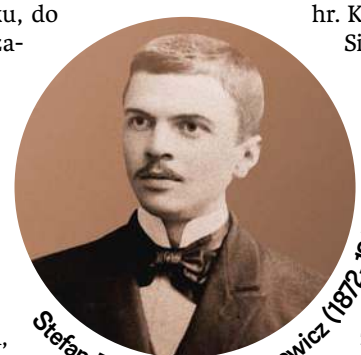
Stefan Bohusz-Siestrzeńcewicz (1872–1943)

Rodzajowe obrazy Stanisława Bohusz-Siestrzeńcewicza cieszyły się dużym zainteresowaniem zarówno w Paryżu, Monachium, jak i później w Wilnie i Warszawie. Artysta poznał nowe prądy sztuki europejskiej. Jednak w swoich scenach ukazujących podwileńskie jarmarki, targi końskie pozostał realistą z widocznymi wpływami dynamicznego malarstwa Józefa Brandta. Był też świetnym rysownikiem i portrecistą, przez jakiś czas uczył malarstwa na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Obrazy i rysunki Stanisława Bohusz-Siestrzeńcewicza można dziś podziwiać w wielu polskich muzeach (m.in. Muzeum Narodowym w Warszawie), natomiast ostatnia duża wystawa jego prac miała miejsce w Muzeum Okręgowym w Suwałkach w 2021 r.

Malarz współpracował też ze swoim bratem architektem przy przebudowach licznych dworów i pałaców na Litwie. Na zlecenie Zygmunta hr. Kossakowskiego bracia Siestrzeńcewiczowie zaprojektowali i przebudowali w 1907 r. pałac w Żejmach. Zbudowali m.in. od strony ogrodowej na wysokości pierwszego piętra rozległy taras oparty na półkoliście zamkniętych arkadach. Z tarasu wiodły obwiedzione tralkową balustradą schody, w górnej części jednobiegowe, w dolnej rozdzielające się na dwa półkoliste ramiona. Zmienili też układ wnętrz, a Stanisław przy okazji wykonał portrety właścicieli Żejm, niestety zaginęły one w czasie rabunku majątku przez bolszewicką armię w 1919 r. Architekt Stefan Bohusz-Siestrzeńcewicz był też projektantem znanego w Wilnie budynku Izby Przemysłowo-Handlowej przy ul. A. Mickiewicza, wzniesionego w 1932 r. Groby braci Bohusz-Siestrzeńcewiczów znajdowały się w Wilnie na cmentarzu ewangelicko-reformowalnym, który został zlikwidowany w 1956 r. i tylko nagrobek malarza Stanisława przeniesiony został na cmentarz Na Rossie.

FOT. WIKIPEDIA (2X)

eprasa.pl d17c3c1536

Z POSTACIĄ KS. STANISŁAWA TWORKOWSKIEGO ZETKNĄŁEM SIĘ PRZYPADKIEM PODCZAS DIGITALIZACJI JEGO SPUŚCIZNY, ZNAJDUJĄCEJ SIĘ W ZASOBIE ARCHIWUM ARCHIDIECEZJALNEGO WARSZAWSKIEGO, PRZEPROWADZANEJ PRZEZ INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ

(NIE)ZNANY KURP – KS. STANISŁAW TWORKOWSKI

WOJCIECH BIELSKI

Przeglądając pozostałe po nim materiały, zapragnąłem dowiedzieć się o nim czegoś więcej i ze zdumieniem odkryłem, że obecnie w pamięci zbiorowej pozostaje on niemal zupełnie zapomniany. Jest to o tyle zaskakujące, że opowieść o tej postaci snuć by można długo i ciekawie. Kapłan, wychowawca młodzieży z wielką pasją edukacyjną, harcerz, żołnierz, pisarz, obrońca życia, działacz Stronnictwa Narodowego, kawaler licznych odznaczeń, a wreszcie z serca Kurp – wszystkie te określenia przedstawiają zaledwie wierzchołek góry lodowej barwnego życia ks. Tworkowskiego. Tymczasem został on zapamiętany jedynie na swoich rodzinnych Kurpiach, gdzie oprócz wdzięcznych wspomnień upamiętnia go skwer w Kadzidle oraz malowniczo położony biały krzyż w okolicznych lasach.

Kurpiowskie korzenie

Chcąc opowiedzieć o ks. Tworkowskim, należałoby rozpocząć od jego domu rodzinnego. Stanisław urodził się 1 stycznia 1901 r. jako najstarsze dziecko w rodzinie Ignacego Teofila – zubożałego szlachcica pracującego jako leśniczy – oraz jego żony Anny, która pochodziła z rodziny wolnych chłopów kurpiowskich. Początki wychowania odebrał on w leśniczówce w Olszynach koło Kadzidła, gdzie zamieszkał z rodzicami w wieku trzech lat. To tam zaszczepiono mu głęboką religijność i przywiązanie do Kurpiowszczyzny.

Następnym etapem w życiu ks. Tworkowskiego było podjęcie nauki w ostrołęckim gimnazjum w 1913 r. Szkolne lata zostały szybko przerwane przez wybuch I wojny światowej, a w wyniku zarządzonej przez władze carskie ewakuacji ludności młody Stanisław został rozdzielony z rodziną. Podejmując pierwsze samodzielne kroki, zdecydował się wstąpić jako sanitariusz do 32. syberyjskiego pułku piechoty, lecz »

FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM ARCHIDIECEZJALNEGO WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl d17c3c1536

FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM ARCHIDIECEZJALNEGO WARSZAWSKIEGO

Alumni warszawskiego seminarium podczas służby sanitarnej w Armii Ochotniczej w sierpniu 1920 r.

» wkrótce ze względu na swój młody wiek został zdemobilizowany i znalazł się w Mohylewie, gdzie kontynuował naukę w gimnazjum polskim. Tam też wstąpił do – początkowo nielegalnie, a od 1917 r. już jawnie – działającego harcerstwa polskiego.

W następnym roku udał się do nieodległego Bobrujska, gdzie stacjonował I Korpus Polski. Wstąpiwszy do 4. pułku piechoty korpusu, oprócz żołnierskich zajęć, prowadził w przerwach między walkami działalność oświatową wśród służących z nim razem żołnierzy. W ten sposób ujawniło się po raz pierwszy jego zacięcie dydaktyczne. Wojenny szlak Stanisława szybko uległ przerwaniu z powodu rozformowania Korpusu. Udał się wówczas do Warszawy, gdzie szczęśliwie odnalazł rodzinę, a także uzyskał świadectwo dojrzałości. Następnie zdecydował się kontynuować naukę w Wyższym Seminarium Duchownym w Warszawie, lecz spokojna edukacja nie była mu pisana. W obliczu zbliżającej się armii bolszewickiej wraz z kolegami z seminarium zgłosił się do wojska, by w czasie Bitwy Warszawskiej służyć w Armii Ochotniczej jako sanitariusz. Po demobilizacji kontynuował kształcenie, które z sukcesem ukończył 23 maja 1926 r., przyjmując święcenia kapłańskie.

Katecheta narodowiec

Przyjąwszy święcenia, oprócz obowiązków kapłańskich, od 1927 r. pracował jako prefekt i nauczyciel religii zarówno w państwowych, jak i prywatnych szkołach Warszawy oraz Mazowsza. Jednocześnie, będąc negatywnie nastawionym do sanacji z powodu tragedii zamachu majowego, którego był świadkiem, związał się z obozem narodowym. Ks. Tworkowski działał w szeregach Stronnictwa Narodowego i Obozu Wielkiej Polski, a także publikował w pismach endeckich. Mając w pamięci swoją służbę w I Korpusie Polskim, był głęboko zaangażowany w życie Stowarzyszenia Dowborczyków. Zajmował się również działalnością wychowawczą, posługując jako kapelan w Stowarzyszeniu Katolickiej Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Młodzież i praca z nią była cennym elementem działalności ks. Tworkowskiego, lecz możliwość jej podejmowania ograniczona została w 1934 r., gdy w związku z powiązaniami endeckimi władze oświatowe zakazały mu nauczania w szkolnictwie państwowym. Wydarzenie to może być przykładem targających II Rzecząpospolitą wewnętrznych sporów, które już kilka lat później zostaną brutalnie przerwane przez wybuch II wojny światowej.

We wrześniu 1939 r., w obliczu nowego konfliktu, ks. Tworkowski ponownie przywdział mundur i wziął udział w obronie Warszawy, posługując jako kapelan oraz sanitariusz w Wojskowym Szpitalu Okręgowym przy ul. 6 sierpnia (obecnie Nowowiejska). Po upadku stolicy dostał się do niewoli, z której wypuszczono go pod warunkiem uzyskania słowa honoru, że stronić będzie od działalności politycznej. Pomimo obietnicy niedługo po wypuszczeniu na wolność zaangażował się w działalność konspiracyjną – był kapelanem VI obwodu Armii Krajowej, a także nauczał w tajnym szkolnictwie. Jawnie prowadził działalność edukacyjną, równolegle posługując jako duszpasterz w praskiej parafii św. Floriana oraz na Pawiaku (w którym był kapelanem również w trakcie dwudziestolecia). Zaangażowanie konspiracyjne księdza, w kontekście wspomnianej przysięgi, budzić może pewne zdziwienie, które warto tutaj rozwiać jego własnymi słowami: „Dla nas walka o niepodległość to nie była żadna polityka, myśmy nie walczyli z jakimiś faszystami czy innymi hitlerowcami, myśmy walczyli z Niemcami jako odwiecznym wrogiem Polski". W powstaniu warszawskim wziął udział jako kapelan zgrupowania „Północ" oraz pełniąc funkcję sanitariusza w szpitalach Śródmieścia i Powiśla.

Lata II wojny światowej, z których pozostawił tomik wspomnień „Ostatni zrzut", zakończył z kilkukrotnie nadanym Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, a także Krzyżem Wojennym Virtuti Militari V klasy.

Obrońca życia

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o słynnym okupacyjnym epizodzie ks. Tworkowskiego, któremu władze niemieckie zaproponowały reedycję jego przedwojennej pozycji „Polska bez Żydów". Propozycja ta spotkała się z odmową, oficjalnie umotywowaną wspomnianą przysięgą apolityczności, a realnie sprzeciwem duchownego wobec rasistowskiej propagandy i Holokaustu.

Lata Polski Ludowej rozpoczęły się dla ks. Tworkowskiego dość spokojnie – posługiwał on w parafii św. Jakuba w Warszawie, a następnie w parafii Matki Bożej Loretańskiej na Pradze. Jednocześnie zajmował się publicystyką, pisując do „Rycerza Niepokalanej", „Ateneum" i „Hejnału Mariackiego". Wydawał także „Kółko Różańcowe" – pismo dla młodzieży, które zanosił do szkół, gdzie nauczał

eprasa.pl d17c3c1536

religii. Możliwość nauki w szkole, będącej wieloletnią drogą ks. Tworkowskiego, zakończyła się w 1949 r., gdy usunięto go z funkcji prefekta szkół warszawskich, pozbawiono prawa do emerytury, a następnie objęto inwigilacją przez UB. Od pozbawienia świadczeń emerytalnych po latach bezskutecznie się odwoływał.

Kolejnym przełomowym momentem w życiu księdza był 1956 r., kojarzący się zazwyczaj z Poznańskim Czerwcem i zmianą na fotelu I sekretarza PZPR. Dla Stanisława Tworkowskiego związany był on z uchwaleniem ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży.

W reakcji na tę decyzję opublikował on pod ps. Stanisław Tworzymowski powieść „Kainka", w której wyraźnie sprzeciwiał się aborcji. Pozycja ta była pierwszą po 1956 r. książką wydaną w tzw. drugim obiegu, a reperkusje jej wydania na jednym z maszynopisów ksiądz komentował następująco: „Nagrodzone przez władze PRL w r. 1959 więzieniem mokotowskim, którym został zaszczycony autor". Faktycznie za wydanie pozycji został on początkowo aresztowany na dwa miesiące, a następnie skazany na sześć tygodni więzienia, po wyjściu z którego zamieszkał w parafii w Milanówku, gdzie miał zostać proboszczem. Nie doszło jednak do tego, gdyż pomimo uwięzienia ks. Tworkowski prezentował konsekwentnie antyaborcyjną postawę, za co objęto go zakazem pełnienia funkcji kościelnych. Zakaz ten ominięty został poprzez mianowanie księdza wikariuszem-ekonomem. Oficjalnie probostwo to objął dopiero w 1971 r. i posługiwał tam aż do przejścia na emeryturę w 1983 r. Podczas bytności w parafii w Milanówku ks. Tworkowski nie zarzucił działalności sprzeciwiającej się przerywaniu ciąży – aktywnie włączał w nią młodzież i wywarł znaczący wpływ na warszawską antyaborcyjną organizację Straż Pokoleń. Należy także wspomnieć, że w Milanówku nie zajmował się on jedynie obroną życia. Pamiętając o swoich korzeniach ideowych, brał udział w spotkaniach tzw. salonu przy ul. Pięknej, pod którą to nazwą krył się klub dyskusyjny w domu Napoleona Siemiaszki w Warszawie, kultywujący tradycje endeckie. Okres ten przyniósł księdzu wyraz uznania dla jego pracy kapłańskiej – w 1981 r. otrzymał tytuł honorowego kapelana papieża Jana Pawła II.

Powrót do korzeni

Warto zauważyć, że ks. Tworkowski (co, muszę przyznać, szczególnie cenię w jego postaci) nie zapomniał o Kurpiach – swojej „małej ojczyźnie". Wyjątkowe miejsce, które ten region zajmował w sercu duchownego, znajdowało wyraz w żywym zainteresowaniu życiem oraz kulturą regionu, czego liczne wyrazy odnaleźć można w spuściźnie księdza. Napotkać tam można również ślady tego, że był on przez Kurpiów szanowany i doceniany.

Stanisław nie poprzestał na samej wdzięcznej pamięci, lecz właśnie podczas pobytu w Milanówku podjął się aktywnego działania na rzecz wybudowania świątyni w Wachu. Zabiegi te podjął już w 1971 r., kiedy to pisał do Mikołaja Sasinowskiego, od niedawna biskupa łomżyńskiego, sygnalizując problem znacznej odległości, jaką mieli do kościoła w Kadzidle niektórzy mieszkańcy parafii. „Myślę od dawna – pisał – o pewnej sprawie. Mianowicie marzyłem kiedyś, żeby w moich stronach, we wsi Wachu lub w pobliżu pobudować choć maleńką kaplicę, aby ludzie mieli bliżej kościół". Dalej wspominając dziecinne podróże do świątyni: „Moi rodzice mieszkali wówczas pod Olszynami. Do Kadzidła był spory »zuchelek« drogi, coś około 14 kilometrów... To nie jest blisko". Opowiadał także o podjętej już, choć udaremnionej, próbie budowy świątyni w Wachu (eufemistycznie nazywanej „stodołą"). Choć taki sposób załatwienia sprawy zdawać się może zuchwały, to przyniósł on zamierzony efekt. Po długich przygotowaniach, o których informowany był ks. Tworkowski, budowa ruszyła w 1981 r. Wydarzenie to wiązało się z osobistym nieszczęściem duchownego, gdyż lecząc się ze skutków wypadku, nie był w stanie przybyć na uroczystość oczekiwaną, jak sam przyznawał, od 25 lat.

Po zakończeniu posługi w Milanówku ks. Tworkowski, jak wspominałem, przeszedł na emeryturę i zamieszkał, pełniąc posługę kapelana, w domu rekolekcyjnym (Instytucie Chrystusa Króla) w Kaniach Helenowskich pod Warszawą. Spokojny odpoczynek na starość nie był jednak zgodny z charakterem duchownego. Do końca życia prowadził on ożywioną korespondencję, spotkał się również z wartym wyszczególnienia wyrazem uznania za wielokrotną służbę wojskową, czyli awansem do stopnia pułkownika. Ponadto włączył się w działalność komitetu dążącego do odbudowy pomnika Dowborczyków, które to działanie uwieńczone zostało sukcesem, a zrekonstruowany monument obecnie podziwiać można przed b. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Stanisław Tworkowski zmarł 7 marca 1999 r. w Dąbrówce koło Kadzidła. Pochowany na kadzidlańskim cmentarzu pozostaje przykładem niespożytej i wszechstronnie ukierunkowanej energii, nieustępliwości połączonej z odwagą (również cywilną), a także cennej umiejętności przedłożenia powinności publicznej nad własną wygodę i plany. Ta różnorakość działań ks. Tworkowskiego czyni próbę krótkiego podsumowania jego życiorysu dość trudnym i wymagającym zadaniem. Jest to jednak w moich oczach dodatkową zaletą duchownego, bowiem w tak złożonej i barwnej postaci niemal każdy odnaleźć może coś interesującego, wartego głębszego zbadania, a być może nawet inspirującego. ■

Kościół we wsi Wach

FOT. ZBIORY AUTORA; MPW

„PIŁAT"

CZY GADOCHA „WYKIWAŁ" KOLEGÓW Z REPREZENTACJI?

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Biuro Badań Historycznych IPN

Cieniem na dokonaniach doskonałego skrzydłowego Roberta Gadochy kładą się oskarżenia formułowane od pewnego czasu pod jego adresem. Otóż podczas mistrzostw świata w RFN w 1974 r. miał on rzekomo przyjąć od Argentyńczyków przed meczem z Włochami 18 tys. dol. za zremisowanie lub wygranie tego meczu, ale się z kolegami nie podzielił...

Na początek przypomnijmy młodszym czytelnikom, kim był Robert Gadocha. „Piłat" – bo taki przydomek nadano mu na boisku – należy z pewnością do elitarnego grona najlepszych polskich piłkarzy. Urodził się w styczniu 1946 r. i był wychowankiem Garbarni Kraków, której barwy reprezentował od 1957 do 1965 r. Następnie zaledwie przez rok grał w innym tamtejszym klubie – Wawelu Kraków. Po czym na kolejnych osiem lat (1967–1975) trafił do stolicy, gdzie został zawodnikiem Legii Warszawa. Na początku 1975 r. – po długich bojach z Ludowym Wojskiem Polskim – udało mu się wyjechać (mimo że w myśl obowiązujących wówczas przepisów był na to jeszcze zbyt młody) do Francji, gdzie reprezentował barwy FC Nantes. To był tylko pierwszy przystanek w jego wojażach zagranicznych. W kolejnych latach występował również w amerykańskich zespołach zawodowych oraz polonijnych – Chicago Sting (1978), Hartford Hellios (1980–1982) oraz Sarasota Venice (1992–1995).

Grał oczywiście w barwach reprezentacji Polski, będąc zresztą przez lata jednym z filarów tzw. złotej jedenastki Kazimierza Górskiego. Rozegrał w niej łącznie 62 mecze, w których strzelił 16 bramek. Zadebiutował w 1967 r. w meczu eliminacyjnym do igrzysk olimpijskich w Meksyku przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Zdobył wraz z naszą drużyną narodową złoty medal olimpijski w Monachium w 1972 r. oraz zajął wraz z nią – co było zdecydowanie większym sukcesem, gdyż na olimpiadzie zawodowcy z państw tzw. demokracji ludowej grali z amatorami z państw kapitalistycznych – trzecie miejsce podczas mistrzostw świata rozgrywanych dwa lata później w RFN. W jego biogramie na stronie Polskiego Komitetu Olimpijskiego można dziś przeczytać: „Nie strzelał bramek (zdobywali je z jego podań najczęściej Lato i Szarmach), a mimo wszystko uznany został i wybrany najlepszym lewoskrzydłowym mistrzostw świata. Błyskotliwy, pomysłowy, szybki – przeprowadził kilka akcji, które do dziś można pokazywać w szkoleniowych filmach, walnie przyczyniając się do nowej jakości gry Polaków na tym

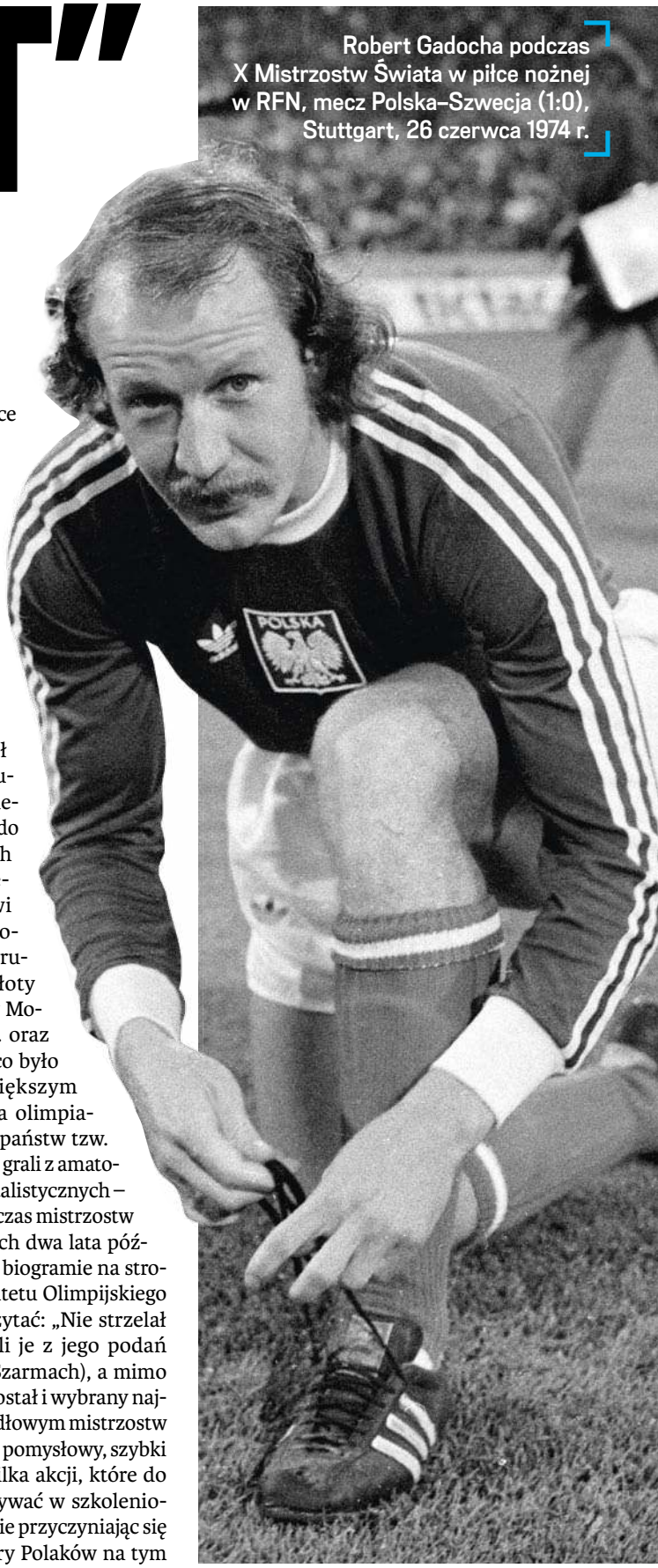

Robert Gadocha podczas X Mistrzostw Świata w piłce nożnej w RFN, mecz Polska–Szwecja (1:0), Stuttgart, 26 czerwca 1974 r.

eprasa.pl d17c3c1536

Mundialu". Sukcesy osiągał nie tylko w reprezentacji, lecz także w klubie – mistrzostwo Polski w 1969 i 1970 r., Puchar Polski w sezonie 1972/1973 z Legią Warszawa oraz mistrzostwo Francji w 1977 r. w brawach FC Nantes.

Największy sukces „Orłów Górskiego"

Za kadencji trenera Górskiego polska reprezentacja osiągnęła największe jak dotąd sukcesy. W październiku 1973 r. nasza drużyna narodowa awansowała na mistrzostwa świata. Odbywały się one w czerwcu i lipcu 1974 r. w RFN. Jak wspominał po latach Władysław Żmuda: „Jechaliśmy praktycznie jako »chłopcy do bicia«. Nikt nie wierzył, że Polska może wyjść z grupy. Ani styl, ani wyniki nie napawały optymizmem. Zewsząd słychać było: »Poważna impreza, ważne żebyście wstydu nie przynieśli«". I nie przynieśli. W pierwszym meczu pokonali Argentyńczyków 3:2, w drugim rozbili Haiti – strzelili 7 goli, nie tracąc żadnej bramki. Dzięki temu niezależnie od wyniku meczu z reprezentacją Italii awans mieli już w kieszeni. Nie odpuścili jednak tego meczu i wygrali 2:1. Następnie pokonali Szwecję w podobnym stosunku oraz Jugosławię (1:0). W półfinale – w słynnym „meczu na wodzie" – rozgrywanym w anormalnych warunkach, w kałużach stojących na boisku po gwałtownej ulewie – ulegli gospodarzom mistrzostw, drużynie Republiki Federalnej Niemiec (0:1). Na koniec – w „finale pocieszenia" – pokonali Brazylię 1:0. W efekcie zajęli trzecie miejsce. Na dodatek królem strzelców mundialu został Grzegorz Lato, który strzelił siedem bramek, a drugie miejsce (wraz ze słynnym Holendrem Johanem Neeskensem) zajął Andrzej Szarmach – obaj zaliczyli po pięć trafień. Nic zatem dziwnego, że po mistrzostwach polscy piłkarze byli owacyjnie witani w kraju – nie tylko przez kibiców, lecz także władze PRL na czele z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem, a ich wynik starano się wykorzystać propagandowo.

Oskarżony Gadocha

Przez dwie dekady sukces z niemieckiego czempionatu nie budził kontrowersji. Potem wybuchła afera. Pojawiły się oskarżenia, że jeden z polskich piłkarzy przed meczem z Włochami miał przyjąć od Argentyńczyków za korzystny dla nich wynik kilkanaście tysięcy dolarów, co było wówczas kwotą wręcz ogromną (Polacy za swój sukces otrzymali zdecydowanie mniej, np. Jan Tomaszewski nieco ponad 3,5 tys. dol.). Nie to było jednak najgorsze, lecz to, że miał się nie podzielić z kolegami z kadry tymi pieniędzmi. Sprawę ujawnił Grzegorz Lato, który tak relacjonował, jak się o tym dowiedział: „Po latach grałem w Meksyku w jednym klubie z Arturo Vázquezem Ayalą, prawoskrzydłowym reprezentacji argentyńskiej. Podczas kolacji, przy którejś lampce wina, gdy człowiek zaczyna już rozumieć po hiszpańsku, słyszę: »Wy jesteście w porządku, bo nie odpuściliście z Włochami. Złożyliśmy się na to po tysiąc dolarów, zawodnicy plus trener [...], w sumie dwadzieścia cztery tysiące, a dostaliście osiemnaście«". Argentyńczyk miał z tego wziąć 6 tys. I – jak dalej opisywał polski napastnik – wymienił nazwisko polskiego gracza, a także dalsze szczegóły: „Żona tego piłkarza siedziała na trybunie, pieniądze trzymała w torebce na kolanach, a przy niej dwóch Argentyńczyków i jeszcze taki pan Górecki, który mówił perfekcyjnie po hiszpańsku. Umowa wyglądała następująco: jeśli Polacy zremisują lub wygrają [...], to pieniądze ich, jeśli przegrają – dolary wracają do Argentyny".

Robert Gadocha, który miał otrzymać pieniądze, zaprzeczał: „Te pomówienia są oczywistą bzdurą" i dodawał, że on i jego koledzy owszem otrzymali od Argentyńczyków, ale „dwie skrzynki jabłek". Ale „mleko się rozlało" i część jego kolegów uwierzyło w relację niespecjalnie zresztą – jak widać – uczciwego argentyńskiego piłkarza. W tym gronie znalazł się m.in. Jan Tomaszewski, który stwierdził nawet: „Skandaliczna sprawa! Ja mu nie podam ręki do końca życia". Z kolei Antoni Szymanowski komentował krótko: „Robert okazał się trefnym facetem", zaś Żmuda: „Sam całą pulę zgarnął. Potwierdziło się, że to człowiek z Krakowa jest".

Kempes broni Gadochy

Czy oskarżenia pod adresem Roberta Gadochy są zasadne? Trudno powiedzieć. Jak słusznie zauważał Adam Musiał: „Nie można człowieka posądzać, jeśli mu się nie udowodniło winy". Henryk Wieczorek twierdził: „Robert nie był moim bliskim kolegą, ale znałem go na tyle, że myślę, że takiego świństwa by nie zrobił [...]. Ja go o to nie podejrzewam". Z kolei Mirosław Bulzacki komentował: „W ogóle sobie nie przypominam, żeby Gadocha od kogoś brał jakieś pieniądze. Znałem go dobrze i wiem, że do czegoś takiego nie byłby zdolny. Gdyby coś dostał, to by się podzielił". I dodawał rzecz niezwykle interesującą, w kontekście tej afery: „Po każdym meczu wypłacano nam premię za wygraną. Żona Gadochy jako jedyna od początku była na mistrzostwach, spała w innym hotelu i wpłacała pieniądze męża na swoje konto, bo tylko ona je miała". W obronie znakomitego skrzydłowego stanął również reprezentacyjny lekarz dr Janusz Garlicki.

Po latach znakomity argentyński piłkarz Mario Kempes, który również był uczestnikiem mistrzostw świata w RFN, w jednym z wywiadów stwierdził: „Wiem, że się tak mówiło. Wiem, że spina się to w jedną całość, bo Polska wygrała z Włochami, dzięki czemu awansowaliśmy do drugiej rundy" i dodawał – pytany przez Dariusza Dobka, czy jest w tym „ziarno prawdy" – „Nie. W żadnym wypadku. Polska wygrała z Włochami dzięki swemu serduchu, a nie pieniądzom od nas". A proszony o komentarz do relacji Ayali stwierdził: „Nie jestem w stanie nic ci powiedzieć na ten temat, jeśli taki pomysł »

ROBERT GADOCHA UZNANY ZOSTAŁ I WYBRANY NAJLEPSZYM LEWOSKRZYDŁOWYM MISTRZOSTW ŚWIATA W 1974 r.

FOT. EUGENIUSZ WARMINSKI/EAST NEWS

eprasa.pl d17c3c1536

» w ogóle padł, wszystko było poza mną. Nie sądzę zresztą, żebyśmy byli w stanie zebrać wtedy tyle pieniędzy".

Była żona oskarża

Po latach była żona Roberta Gadochy Irena twierdzi, że jej małżonek miał jednak przyjąć pieniądze od Argentyńczyków. Wersję Ayali potwierdza również Ignacy Boćwiński, który miał rzekomo być pośrednikiem w tej transakcji. Według niego polski piłkarz miał je następnie przekazać swojej małżonce. Problem w tym, że w wersji Ayali pośrednikiem był ktoś inny – Górecki. To nie wszystko, bowiem Boćwiński to człowiek, który z Gadochą nie rozstał się w najlepszych stosunkach – piłkarz miał mu nie zapłacić za pośrednictwo przy swoim transferze do Chicago Sting. Faktem jest natomiast, że obaj panowie byli związani w połowie lat 70. – Ignacy Boćwiński, który był dyrektorem przedstawicielstwa linii lotniczych Pan American w Warszawie, miał pośredniczyć w niedoszłym transferze Roberta Gadochy do Bayernu Monachium. Ich wersji stanowczo zaprzecza były znakomity skrzydłowy, który w jednym z wywiadów stwierdził: „Ja nie wiem, co ta dwójka wymyśliła. W każdym razie, kilka lat później, poprosiłem tę panią o rozwód i zaczęło się szantażowanie. Małżonka mówiła, że jeśli nie zrezygnuję z domu, to mi bardzo mocno narozrabia w życiu... No i narozrabiała. Ja po prostu byłem człowiekiem, na którym można było dużo zarobić. [...] kiedy tylko pojawiałem się w kraju, zawsze miałem jakieś problemy. Raz nawet odebrano mi paszport na pół roku! Musiałem regularnie zgłaszać się na milicję".

Wróćmy jeszcze na chwilę do byłej żony piłkarza – Ireny. Otóż według „R", „osoby zaufanej" Wojskowej Służby Wewnętrznej, miała ona być „bezwzględna jeśli chodzi o pieniądze". I dodawał: „Poprzednich swoich mężów wykorzystała maksymalnie, a obecnie chce to samo zrobić z Robertem". Twierdził również, że w małżeństwie Gadochów wystąpił kryzys „na tle materialnym i kontaktów rodzinnych". Według współpracownika WSW, który rozmawiał z ojcem piłkarza, jego rodzina miała być „bardzo wrogo nastawiona" do jego żony. Na stosunki między Robertem a Ireną Gadochami wpływ miały również perturbacje w związku ze staraniami o transfer zagraniczny i związane z tym przejściowe problemy finansowe. W ich efekcie zawodnik, który według informatora „do czasu ożenku zawsze dysponował pieniędzmi [...], obecnie często przed pierwszym stara się o pożyczki". Opinia ta pochodzi z 15 lipca 1974 r., a więc z okresu tuż po zakończeniu (osiem dni) tak udanego dla polskich piłkarzy mundialu...

PRZEZ DWIE DEKADY SUKCES Z NIEMIECKIEGO CZEMPIONATU NIE BUDZIŁ KONTROWERSJI. POTEM WYBUCHŁA AFERA

Dane WSW i SB podejrzeń nie potwierdzają

Paradoksalnie na korzyść Roberta Gadochy zdają się przemawiać również inne dane zebrane przez Wojskową Służbę Wewnętrzną. Wojskowa bezpieka interesowała się także finansami piłkarza Legii Warszawa oraz jego małżonki Ireny. I nie odnotowała u nich – sprawdzając ich konta w kraju – nagłego przypływu dużej w końcu gotówki...

Tak na marginesie – co warto przypomnieć – nasza reprezentacja była w RFN „operacyjnie zabezpieczana" przez Służbę Bezpieczeństwa. Opiekunem piłkarzy był Czesław Dzienio z Departamentu II MSW, czyli cywilnego kontrwywiadu. Poinformował on Wojskową Służbę Wewnętrzną, że zachowanie Gadochy podczas mundialu było poprawne, ale jedynie „do czasu przyjazdu żony". Potem piłkarz „bardzo często zaczął opuszczać hotel", z kolei jego małżonka w czasie, gdy on trenował, przesiadywała w barze hotelowym, „bardzo często z miejscowymi policjantami". Oboje zresztą mieli utrzymywać najwięcej kontaktów – zarówno telefonicznych, jak i osobistych – w polskiej ekipie. Za najciekawsze z nich esbek uznał te z „Żydem, doskonale mówiącym po polsku" – Plochem, który był jego zdaniem albo dawnym znajomym, albo wręcz krewnym Gadochów. Według funkcjonariusza miał on prawdopodobnie załatwiać „wszelkie życzenia Gadochy" i być przez całe mistrzostwa do dyspozycji jego oraz jego małżonki. Dzienio za inny interesujący kontakt piłkarza uznał Piotra Kałużę (vel Petera Kaluze), który oficjalnie był przedstawicielem firmy Adidas, a – zdaniem esbeka – faktycznie z ramienia służb specjalnych Republiki Federalnej Niemiec miał opiekować się polską ekipą. Wspomniany esbek również nie odnotował podejrzanych kontaktów Gadochów z Argentyńczykami czy nagłego przypływu gotówki w ich przypadku...

Kasę na pewno oferowali Włosi

Argentyńczycy nie byli jedynymi, którzy mieli oferować pieniądze za korzystny dla nich wynik meczu z Włochami. W relacjach polskich piłkarzy i działaczy z mistrzostw świata w RFN pojawia się również informacja o ofercie ze strony Italii, której było potrzebne zwycięstwo z Polską. Jak po latach relacjonował np. Władysław Żmuda: „Pamiętam, jak schodzimy na przerwę, a włoski wiceprezes Alody pokazuje całą walizkę dolarów. Ponoć było w niej 22 tys. dolarów. Wiem, że polscy i włoscy działacze bili się w przerwie. Była jakaś szarpanina przy szatni". Sprawę miał uciąć Kazimierz Deyna, który stwierdził: „My nie będziemy z wami rozmawiać". Tak na marginesie, to właśnie rzekomo z Deyną Włosi mieli negocjować przed rozpoczęciem spotkania... Czy tak rzeczywiście było, również nie wiemy. Jedno jest natomiast pewne, Polacy z Italią zagrali bez taryfy ulgowej. Wygrali i wyrzucili Włochów z turnieju. A dzięki ich sportowej postawie do dalszych gier przeszła Argentyna. Dzisiaj zaś o takiej sytuacji możemy jedynie niestety pomarzyć, ale to już zupełnie inna historia...

Przy pisaniu korzystano z książki Karoliny Apiecionek „Mundial '74. Dogrywka"

eprasa.pl d17c3c1536

Rok 1969 – następstwo po de Gaulle'u

PAWEŁ SKIBIŃSKI

W 1969 r. Francja wkraczała z bagażem dramatycznych doświadczeń z maja 1968 r., gdy wybuchły gwałtowne antysystemowe zamieszki studenckie, inspirowane przez ugrupowania skrajnie lewicowe i anarchistyczne. Wystąpienia te zostały zdławione przez represje policyjne, ale atmosfera społeczna wokół sprawującego wówczas funkcję prezydenta gen. Charles'a de Gaulle'a znacznie się pogorszyła.

W kwietniu 1969 r. gen. de Gaulle rozpisał referendum konstytucyjne, które miało doprowadzić do decentralizacji systemu administracyjnego Francji (poprzez wprowadzenie samorządowej administracji regionalnej), osłabić ustrojową pozycję senatu, ale przede wszystkim zmobilizować poparcie społeczne dla głowy państwa. Krok ten okazał się ryzykowny, bowiem de Gaulle twierdził, że nieuzyskanie większości w referendum zaowocuje jego rezygnacją.

Przeciwko reformie konstytucyjnej proponowanej przez de Gaulle'a opowiedziała się nie tylko cała lewica, lecz także część prawicy francuskiej. Otwarcie przeciwko niej opowiedział się m.in. Valéry Giscard d'Estaing. Ten przyszły prezydent Francji był wcześniej, w latach 1959–1966, ministrem finansów w kolejnych kilku gabinetach gaullistowskich. Od 1966 r. kierował jednak własną liberalną partią – Narodową Federacją Niezależnych Republikanów.

W chwili próby nie pomógł de Gaulle'owi także wieloletni premier, sprawujący tę funkcję od 1962 r., George Pompidou, który również zdystansował się od pomysłu referendum, zajmując wobec jego wyniku niejednoznaczną postawę.

Ostatecznie 52,4 proc. głosujących Francuzów odrzuciło projekt prezydencki, a de Gaulle zgodnie ze swymi zapowiedziami podał się następnego dnia do dymisji.

W tej sytuacji w zaplanowanych na czerwiec wyborach prezydenckich kandydatem gaullistów został właśnie premier Pompidou. Uzyskał on poważny sukces – zdobywając w I turze 44,5 proc. głosów. Korzystał przy tym m.in. z poparcia Giscarda d'Estainga.

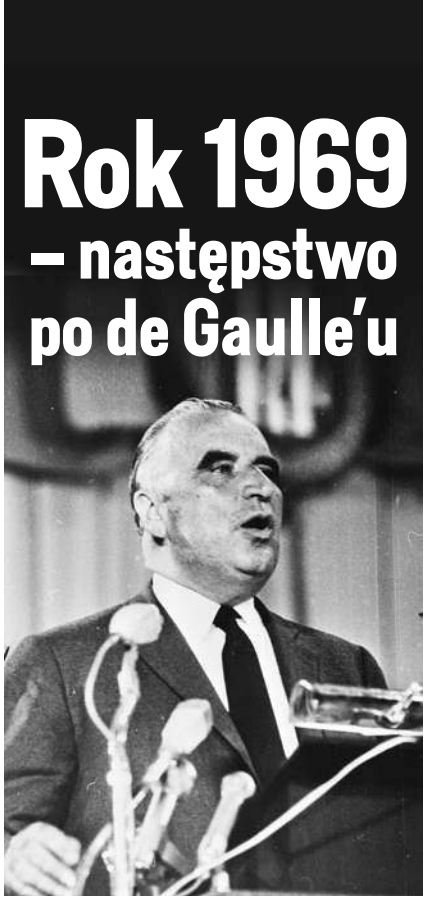

Georges Pompidou podczas publicznego zgromadzenia, 29 kwietnia 1969 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kontrkandydatem Pompidou w II turze wyborów został niespodziewanie reprezentant umiarkowanej centroprawicy – chrześcijański demokrata Alain Poher, który w I turze zdobył 23,3 proc. głosów.

Co ciekawe, w pokonanym polu pozostali wszyscy reprezentanci francuskiej lewicy, pewnej sukcesu po rewolucyjnym wzmożeniu 1968 r. oraz po porażce obozu rządzącego w kwietniowym referendum. W I turze wyborów prezydenckich najlepiej wypadł Jacques Duclos – członek kierownictwa Francuskiej Partii Komunistycznej. Ten promoskiewski komunista uzyskał poparcie 21,3 proc. głosujących. Znacznie słabiej wypadli reprezentujący socjalistów z Francuskiej Sekcji Międzynarodówki Socjalistycznej Gaston Defferre (5 proc. głosów) i Michel Rocard z bardziej radykalnej Zjednoczonej Partii Socjalistycznej, który zdobył 3,6 proc. poparcia. Stawkę kandydatów zamykał trockista – Alain Krivine z poparciem 1 proc. elektoratu. Mimo rewolucyjnego nastroju po 1968 r. poparcie dla całej lewicy nie przekroczyło więc 30 proc. społeczeństwa.

W II turze kandydat gaullistów zdecydowanie pokonał Pohera, zdobywając ponad 58 proc. poparcia. Kim był nowo wybrany w czerwcu 1969 r. prezydent Francji?

Georges Pompidou przez wiele lat był szefem gabinetu de Gaulle'a, a w chwili gdy ten pozostawał na marginesie francuskiej polityki, kierował francuskim bankiem Rotszyldów. Następnie – jak wspomnieliśmy – był przez siedem lat szefem rządu.

Pompidou jako prezydent będzie realizował skorygowaną politykę de Gaulle'a. Na wstępie postawi na zbliżenie Francji do Anglosasów. Wyrazi zgodę na wejście Wielkiej Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, co ostatecznie nastąpi w 1973 r. Ociepli też stosunki z administracją amerykańską kierowaną przez prezydenta Nixona.

Podejmie także szereg ważnych dla Francji decyzji infrastrukturalnych. Zainwestuje we francuski program cywilnej energetyki nuklearnej, co zaważy na samodzielności energetycznej tego państwa w następnych dekadach. Doprowadzi do powstania sieci superszybkiej kolei TGV, z której Francuzi będą dumni do dziś.

Jednak przez przeciętnego Polaka Pompidou kojarzony będzie przede wszystkim z francuskim centrum sztuki współczesnej, które powstanie w Paryżu i stanie się jedną z najbardziej prestiżowych galerii na świecie. Po śmierci Pompidou zostanie ono nazwane jego imieniem – Centre George Pompidou.

Prezydentura gaullisty zostanie przerwana śmiercią francuskiego polityka. Pompidou bowiem w 1974 r. zmarł dość niespodziewanie na chorobę nowotworową.

Jego wielki poprzednik Charles de Gaulle, który został zastąpiony przez patrona paryskiego centrum sztuki współczesnej, zmarł trzy lata wcześniej – w 1970 r., rok po złożeniu rezygnacji z funkcji prezydenta Republiki Francuskiej.

Następcą Pompidou zostanie Valéry Giscard d'Estaing, a na kolejnego prezydenta z obozu gaullistowskiego trzeba będzie poczekać ponad 20 lat od śmierci byłego sekretarza de Gaulle'a, do 1995 r., gdy na czele państwa stanie Jacques Chirac.

eprasa.pl d17c3c1536

STANISŁAWA POMIAN-SRZEDNICKIEGO

zręby polskiego sądownictwa

MAGDALENA MERTA

W PAMIĘCI SPOŁECZNEJ SKUPIONEJ NA GŁÓWNYCH ARCHITEKTACH POWERSALSKIEGO ŁADU ZACIERAJĄ SIĘ INNE WYBITNE JEDNOSTKI, CHOĆBY NAWET NASZA OJCZYZNA ZAWDZIĘCZAŁA IM NAPRAWDĘ WIELE. TRZEBA TAKIE POSTACI PRZYPOMINAĆ, POZNAWAĆ I ANALIZOWAĆ ICH DOKONANIA

Do takich jednostek należał z pewnością Stanisław Pomian-Srzednicki (1840–1925), pierwszy prezes Sądu Najwyższego, który poza ważkimi osiągnięciami wynikającymi z pełnionej przezeń funkcji zostawił rodakom fascynujące wspomnienia, ukazujące drogę, którą przebył, nim w 1917 r. Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego nominowała go do tej zaszczytnej roli. Zapiski Srzednickiego nie obejmują okresu wypełniania powierzonej mu misji, kończą się bowiem na 1913 r. Dalszą działalność tego wybitnego sędziego znamy już z innych źródeł – nad częścią z nich pieczę sprawuje fundacja jego imienia. Był jednym z wielu prawników, którzy odpowiedzieli na apel stworzonego w ramach Rady Tymczasowej Departamentu Sprawiedliwości, ale to on jako najbardziej z nich doświadczony przyjął na swoje barki ciężar tworzenia polskiego sądownictwa. Wchodził w skład Komisji Prawa Cywilnego (był cywilistą) oraz Komisji Hipotecznej, potem – równolegle do funkcji pierwszego prezesa Sądu Najwyższego – został członkiem Rady Departamentu Sprawiedliwości w Komisji Przejściowej i samej Tymczasowej Rady Stanu, która z czasem zmieniła nazwę po prostu na Radę Stanu. Mimo natłoku zadań wiążących się z tworzeniem struktur Sądu Najwyższego i administrowaniem tą instytucją, orzekał również w jej Izbie Cywilnej. Być może Srzednicki uznawał, że sędzia, który nie orzeka, w ogóle przestaje być sędzią, wymagał zatem od siebie tego dodatkowego trudu. Musiało być to jednak wyczerpujące, a on, urodzony w 1840 r., nie był już najmłodszy, bo w 1922 r. podjął decyzję o złożeniu swojej funkcji i odszedł na emeryturę. Wpierw jednak należycie wykonał misję stworzenia dla niepodległej już Polski dobrze zorganizowanego Sądu Najwyższego.

Z biografii

Droga Srzednickiego ku objęciu tak ważnego stanowiska państwowego nie była łatwa, bo już jako kilkulatek stracił oboje rodziców. Jego ojciec Wincenty, ziemianin, zmarł w 1846 r. na tyfus, cztery lata wcześniej pochowawszy żonę, Petronellę de domo Ostrzykowską. Osieroconego Stanisława i dwójkę jego rodzeństwa otoczyła opieką rodzina, a wujowie, najpierw ks. Bonifacy Ostrzykowski, proboszcz parafii w Brańszczyku, a potem Benedykt Ostrzykowski, dostrzegli nieprzeciętne zdolności chłopca, który po ukończeniu

eprasa.pl d17c3c1536

z doskonałymi wynikami szkoły powiatowej w Pułtusku z wyróżnieniem ukończył także Instytut Szlachecki w Warszawie. Następne lata poświęcił studiom prawniczym na Uniwersytecie Moskiewskim, po których na uniwersytecie w Petersburgu zdał egzamin z prawa, co otworzyło mu drogę do aplikacji. Odbywał ją najpierw w Pułtusku (w tamtejszym Sądzie Pokoju i Sądzie Policji Poprawczej), a potem w Sądzie Kryminalnym w Warszawie. Ukończywszy po dwóch latach aplikację, objął stanowisko pisarza, a następnie podsędka w Sądzie Pokoju w Krasnymstawie. Kolejnym miejscem pracy Srzednickiego był Sąd Kryminalny w Lublinie, gdzie najpierw był asesorem, a potem podprokuratorem, nim jako 34-latek został pisarzem Sądu Kryminalnego w Warszawie. Rozstał się z tą instytucją rok później, obejmując stanowisko referenta Wydziału Cywilnego Rządowej Komisji Sprawiedliwości, gdzie już po kolejnym roku mianowano go sędzią do specjalnych zadań. Stamtąd trafił jako sędzia do Sądu Okręgowego w Piotrkowie, by pięć lat później objąć funkcję jego wiceprezesa. Pełnił ją aż do 1914 r. i był jednym z zaledwie dwóch sędziów, którzy zdecydowali się nie opuszczać miasta, gdy w obliczu wojny carskie władze ewakuowały pracowników placówki. Poświęcił się wówczas zadaniu zabezpieczenia sądowych akt i pomieszczeń.

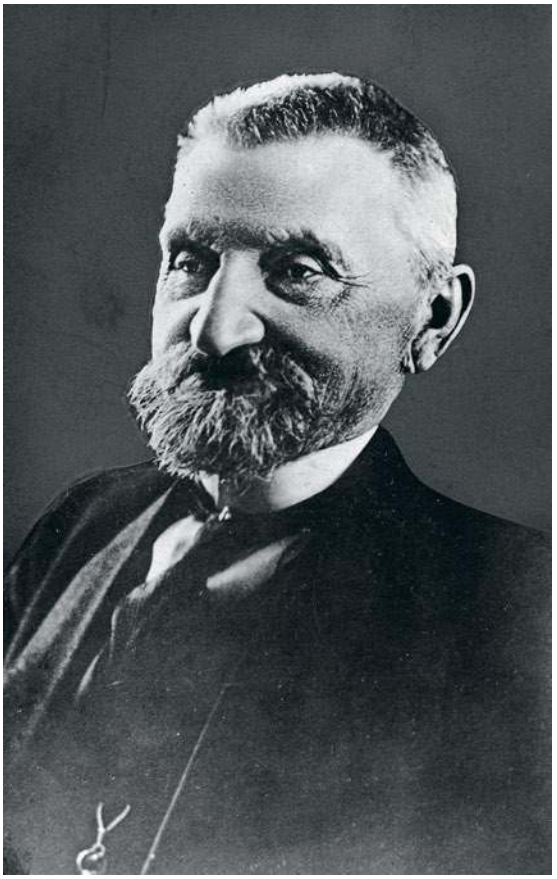

WPIERW NALEŻYCIE WYKONAŁ MISJĘ STWORZENIA DLA NIEPODLEGŁEJ JUŻ POLSKI DOBRZE ZORGANIZOWANEGO SĄDU NAJWYŻSZEGO

Dzieciństwo i młodość we wspomnieniach

Dzięki wspomnieniom Stanisława Srzednickiego poznajemy jego sieroce dzieciństwo i młodość, w tym epickie nieomal opisy przepięknej kurpiowskiej przyrody wokół rodzinnego Brańszczyka, oraz przenosiny do Chrzanowa, do majątku należącego do ordynacji hrabiego Wincentego Krasińskiego (ojca wieszcza) w Opinogórze. Pisze autor o niezadowoleniu owdowiałego ojca z opieki, jaką nad dziećmi sprawowała jego młodsza o 20 lat cioteczna siostra Paulina Cienkowska, co sprawiło, że otrząsnąwszy się z żałoby po ukochanej żonie, podjął on decyzję o powtórnym ożenku. Jego wybranką została inna cioteczna siostra, hrabianka Lucyna de Verny, nim jednak do mariażu doszło (wymagał on uzyskania kościelnej dyspensy), ojciec Stanisława zachorował i zmarł.

Z czułością wspomina Srzednicki swoją matkę, osobę nad wyraz dobrą i łagodną, której ducha – jak zaklinała się służba – widywano przy łóżeczku chłopca, utulającą go do snu śpiewaniem kołysanek. Z rozrzewnieniem wspomina też czułość, z jaką odnosiła się do niego młodziutka córka moskiewskiej praczki, z której usług podczas studiów korzystał. Przytacza nawet tekst rosyjskiej piosenki śpiewanej mu często przez 14-letnią Andzię, która wabiła go swymi wdziękami, ale nigdy nie dopuściła, by ich relacja przekroczyła granice przyzwoitości. Daje też autor wspomnień świadectwo ostrego (i krwawego) sprzeciwu, z jakim potomkowie wolnych kurpiowskich chłopów traktowali zapędy Prusaków próbujących zaprowadzić wśród nich swój ład. Znajdujemy w zapiskach Srzednickiego drobiazgowe opisy lat szkolnych, pełne zabawnych dykteryjek o pedagogach i rówieśnikach. Wśród nich zwraca uwagę historia wizyty w Instytucie Szlacheckim cara Aleksandra II, który zastawszy uczniów przy posiłku, skosztował – z talerza naszego autora i jego łyżką – podanej młodzieży zupy.

Oceny polityczne i społeczne

Nie kryje Srzednicki swego krytycznego stosunku do powstania styczniowego – i to pomimo że dożył czasów II Rzeczypospolitej, gdy zryw z 1863 r. przekuto w narodowy mit, a tych, co stanęli do walki, otoczono najwyższą czcią. W jego mniemaniu powstanie było „porywaniem się z gołymi rękami" przeciwko niebywałej potędze. Rozumiał jednak, że skoro doszło już do walki, „nie pozostało nic więcej, jak solidaryzować się z aktorami niefortunnego ruchu i ginąć razem z nimi", nawet jeśli na usta cisnęły się dramatyczne pytania: „Ile to będzie ofiar, a co będzie z krajem, narodowością?".

Jeszcze ciekawszy od opisu obserwowanych lokalnych walk powstańczych na Lubelszczyźnie jest obraz »

FOT. NAC, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d17c3c1536

>> okrutnych chłopskich obław na „panów" (rozpoznawanych po noszeniu surduta, w związku z czym w praktyce ich ofiarami padali wszyscy nieubierający się po chłopsku). Była to prowokacja dowódcy stacjonującego w Lublinie wojska, gen. Chruszczowa, który za każdego schwytanego i skatowanego Polaka płacił chłopom po rublu na głowę. Chwytano tedy przemierzających trakty podróżnych, napadano na kościoły i dwory, które rabowano i palono, oddając w niewolę ich mieszkańców. I nie było nawet jak powiadomić władz o tym bezprawiu, bo miasto otoczono kordonem, a droga listowna była niemożliwa, jako że pierwszymi ofiarami rozszalałych chłopów byli wójtowie gmin i wszystkie inne piśmienne osoby. Gdy zaś zabrakło w końcu owych rzeczywistych i domniemanych „panów", chciwe chłopstwo dostarczało do miasta pobitych do nieprzytomności i poranionych członków własnej warstwy, często nawet bliskich krewnych. Ukrócił to bezhołowie dopiero następca Chruszczowa gen. Konstanda, który zamiast nagrodzić przybyłych po raz kolejny do Lublina z pojmanymi ludźmi chłopów, kazał ich dotkliwie obić i wypędzić z miasta.

Świadectwo miłości

Równolegle do przebiegu studiów i kolejnych szczebli prawniczej kariery oraz politycznych wydarzeń, których był świadkiem, opisuje Srzednicki swoje życie prywatne, wśród nich niespełnioną miłość do Józefy i wymarzony ślub z Bronisławą Krassowską. Pisze o ukochanych córkach, urodzonej w 1874 r. Janinie i starszej od niej o cztery lata Marii, zwanej w domu Maniuchną, której przedwczesna śmierć w wieku niespełna 29 lat i osierocenie maleńkiej córeczki położyły się głębokim cieniem na życiu rodziny. I choć stara się autor o swoich emocjach pisać powściągliwie, nie udaje mu się ukryć gorących uczuć i wzruszeń, jakie niosło mu szczęśliwe rodzinne życie. W przejmujący sposób opisuje śmierć żony, z którą, jak napisał, „przepędził 43 lata". Wspomina, jak w ostatnich chwilach życia bardziej troszczyła się o niego niż o własne umieranie, lękając się, co będzie z nim po jej śmierci. Pisze o niej – i do niej – pełne miłości słowa, tak piękne, że warte przytoczenia: „[...] nieoceniona żona, najczulsza matka, pełna dystynkcji i wytwornych manier gospodyni domu, była dla mnie istnym Aniołem – opiekuńczym, dbającym o wszystkie moje potrzeby, wyręczającym mnie w całym gospodarstwie domowym, oddalającym ode mnie kłopoty i zmartwienia, dodającym mi energii, podtrzymującym opadające moje siły, krzepiącym mego ducha, wybaczającym mi moje słabostki [...]. Troskała się biedaczka zawsze o moje dobro, o moje potrzeby i umierając miała na myśli troskę tylko o mnie, »Tobie będzie źle beze mnie«, były to zdaje się ostatnie przez nią wypowiedziane wyrazy. Takie niezrównane przymioty mojej żony wpływały niezmiernie dodatnio na moje życie, na mój charakter i wszystko co mam, czym jestem tylko jej wpływowi na mnie zawdzięczam. [...] Druhu serdeczny! Miałaś rację, źle mi i bardzo źle bez ciebie [...], źle pod względem duchowym... pustka, pustka i pustka! Niech Ci lekką będzie na tyle ukochana przez Ciebie ziemia nasza, śpij w oczekiwaniu nas wszystkich, kiedy się znów razem i już na wieki znajdziemy!".

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Do tomów dołączono osobny, luksusowo wydany zeszyt materiałów źródłowych, w tym archiwalnych zdjęć, oraz polską flagę, dzieło firmy „Manufaktura Flag"

Przeszedłszy w stan spoczynku, osiadł Srzednicki w Piotrkowie Trybunalskim, nie przestając wszelako oddawać się pracy społecznej, czy to w roli honorowego prezesa Rady Towarzystwa Dobroczynności dla Chrześcijan, czy prezesa zarządu Piotrkowskiego Stowarzyszenia Prawników. Przyjął również honorowe członkostwo Stowarzyszenia Samopomocy Rzemieślników i Handlujących oraz Towarzystwa Robotników Chrześcijańskich.

W 2019 r. rodzinny Brańszczyk uhonorował Srzednickiego pomnikiem, a rok później w pobliżu siedziby Sądu Najwyższego stanęło popiersie pierwszego prezesa tej instytucji. Swoistym pomnikiem jest też trzytomowe wydanie „Moich wspomnień" Srzednickiego, złożone w całość w skromnym, choć eleganckim pudełku, będące zasługą praprawnuczki autora Agnieszki Battelli i założonej przez nią fundacji. Przyczyniło się do tego dzieła również Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim. Do tomów dołączono osobny, luksusowo wydany zeszyt materiałów źródłowych, w tym archiwalnych zdjęć. Znalazła się tam również broszurka fundacji oraz, co szczególnie urocze, polska flaga, dzieło firmy „Manufaktura Flag". Właśnie: dzieło, a nie produkt, bo jak dumnie ogłasza w tomiku z dokumentami jej producent – „Flaga to nie produkt. Nasze flagi to symbol". Ojczysty sztandar w tym miejscu to pomysł znakomity, bo Stanisław Pomian-Srzednicki to również symbol – symbol niepodległej, odradzającej się Polski.

eprasa.pl d17c3c1536

KOZACKI DOKTORAT

BYĆ MOŻE ZA SPRAWĄ WYDANEGO PRZEZ ZONA ZERO, CHOĆ NIEOBRONIONEGO, DOKTORATU JACKA KOMUDY PRZYMIOTNIK „KOZACKI" WSZEDŁ DO GRONA MODNYCH OKREŚLEŃ WE WSPÓŁCZESNEJ POLSZCZYŹNIE. TAK CZY INACZEJ, DZIEJE DAWNYCH PIRATÓW ZAPOROŻA POZOSTAJĄ FASCYNUJĄCE I WYJĄTKOWE

„Kozak na koniu", akwarela Juliusza Kossaka

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ARTUR KOLĘDA

Jacek Komuda jest historykiem znakomicie realizującym się poprzez literackie fabuły osadzone w historii Polski. Jego specjalnością jest świat I Rzeczypospolitej, dający nieograniczone pole atrakcyjnym i wciągającym opowieściom. Trzeba tu wymienić przede wszystkim cykl powieściowy pt. „Orły na Kremlu", którego akcja rozgrywa się podczas pierwszej dymitriady w latach 1604–1606. Do świata sarmackiego ten autor powraca również w felietonach w tygodniku „Do Rzeczy".

Początki kozaczyzny

Kozacy to grupa ludnościowa ukształtowana w specyficznych warunkach politycznych, geograficznych i przyrodniczych Ukrainy. Dominującym czynnikiem było sąsiedztwo Tatarów krymskich, cyklicznie palących i łupiących Zaporoże. Bardzo żyzne obszary Niżu opuszczane przez Rusinów stawały się atrakcyjne dla ludzi nowych – awanturników, chłopów uciekających przed pańszczyzną, przestępców i skazańców, handlarzy i ludzi bez zajęcia. Byli różnej narodowości, wyznania i języków. Łączyły ich odwaga i gotowość do walki z Tatarami, umiejętność dobrej organizacji i zdolność do żelaznej dyscypliny. Zresztą samo słowo „kozak" i wiele innych określeń używanych na tym terenie pochodziło właśnie z języka tatarskiego.

Po raz pierwszy na kartach historii Kozacy pojawiają się w 1308 r., w księdze krymskiego miasta Sudak. Po 161 latach, w 1469 r., Jan Długosz zanotował ich wspólny – wraz z ordyńcami – najazd na Królestwo Polskie. Od tego momentu wzmianki o Kozakach pojawiają się coraz częściej, jednak w kontekście rozbójniczym i włóczęgowskim. W krajach Europy Zachodniej, poświęcających się coraz bardziej żegludze, uwielbiano na poły przerażające, na poły romantyczne relacje o morskich bandytach – piratach. My zaczęliśmy kochać się w opowieściach o piratach stepowych – Kozakach. Mocarstwa »

eprasa.pl d17c3c1536

>> morskie werbowały co lepszych piratów do swojej służby, tworząc z nich w XVI w. nową kategorię – korsarzy i kaprów. Nasze mocarstwo kontynentalne w tym samym czasie poprzez starostów pogranicznych przeprowadzało zaciągi Kozaków – przeciw Tatarom oczywiście. Tam właśnie, w pierwszych regularnych oddziałach mołojeckich, należy szukać źródeł taktyki kozackiej jako odrębnej sztuki wojennej. Zaczyna się również wtedy podział na kozaków rejestrowych i nierejestrowych, niżowych. Wykształcony przez dziesięciolecia kozacki modus operandi znalazł swoje najpełniejsze zastosowanie w pierwszej połowie XVII w., naznaczonej nieustannymi wojnami Rzeczypospolitej z Turcją, Szwecją i Moskwą.

Metodologia tradycyjna i historia eksperymentalna

Sztuce wojennej Kozaków na Zaporożu w tym okresie poświęcił swoją najnowszą książkę Jacek Komuda. „Sztuka wojenna Kozaków zaporoskich 1591–1638" to jego pierwsza publikacja o charakterze naukowym, oparta na pracy doktorskiej – jak sam mówi: napisanej, ale nieobronionej na Uniwersytecie Warszawskim. Mamy zatem precyzyjnie określone ramy czasowe dzieła, wyznaczone wojnami kozackimi: 1591 r. – początek powstania Krzysztofa Kosińskiego, pierwszej z wielkich rebelii kozackich, oraz 1638 r., czyli powstanie Jakuba Ostranicy i Dymitra Huni. Okres „złotego pokoju" na Ukrainie, który później nastąpił, był ciszą przed burzą, czyli wielkim buntem Bohdana Chmielnickiego, który Komuda postanowił pominąć.

47 lat historii, którymi autor się zajmuje, to cztery wojny polsko-szwedzkie (od 1600 do 1629 r.), dwie dymitriady, dwie wojny polsko-rosyjskie (moskiewska i smoleńska), chocimska wojna z Turcją, wyprawa hetmana wielkiego koronnego Jan Zamoyskiego do Mołdawii i Wołoszczyzny w 1595 r. urozmaicane siedmioma (!) powstaniami kozackimi, określanymi nazwiskami przywódców. Są to poza ww. powstaniami Kosińskiego oraz Ostranicy i Huni: rebelia Semena Nalewajki (1594–1596), Marka Żmajły (1625), Tarasa Fedorowicza (1630), Iwana Sulimy (1635) i Pawła Pawluka (1637).

Jacek Komuda nie opisuje chronologicznie kolejnych bitew i kampanii, lecz analizuje je problemami wyznaczającymi również rozdziały pracy: piechota, tabor kozacki, jazda zaporoska, fortyfikacje i artyleria. Poza obowiązkową bazą źródłową (w tym bezcenna „Korespondencja Stanisława Koniecpolskiego", opracowana w 2005 r.) jest to również prezentacja aktualnego stanu badań i literatury tematu, do której autor odwołuje się w przypisach i bibliografii. Do znanych opracowań Władysława Serczyka, Jana Wimmera, Mirosława Nagielskiego i Macieja Franza Komuda dodaje m.in. ustalenia historyków i archeologów ukraińskich. Dzięki eksponatom znalezionym w toku wykopalisk na polach bitew (np. na polu beresteckim) wiemy, jak wyglądało uzbrojenie i wyposażenie oddziałów kozackich. Istotną lukę mamy natomiast w zakresie źródeł szwedzkich i tureckich z epoki oraz opracowań współczesnych z tych kierunków. A przecież mogą być (i najprawdopodobniej są) kopalnią informacji dotyczących tematu.

Jacek Komuda od lat działa w fundacjach i organizacjach rekonstruujących jazdę polską XVII w., dzięki czemu nieobca mu jest jazda konna, operowanie szablą i bronią palną z epoki. Ktoś, kto miał okazję strzelać z półmuszkietu, arkebuza czy pistoletu kołowego, zyskuje nową perspektywę spojrzenia i może polemizować lub wręcz obalać tezy innych autorów znających temat wyłącznie z teorii. Jacek Komuda zrekonstruował nawet fragment taboru kozackiego, aby najeżdżając na niego konno, przekonać się, jak wyglądała – zakończona sukcesem – szarża wojska koronnego w bitwie pod Kumejkami 16 grudnia 1637 r. podczas powstania Pawluka.

Sztuka wojenna Kozaków według Jacka Komudy

Wbrew popularnemu w literaturze i filmie obrazowi mołojca, wręcz zespolonego z koniem, Kozacy najczęściej wojowali pieszo. Konie służyły im do transportu i rozpoznania (w ostateczności jako pożywienie), natomiast jazda nigdy nie odgrywała szczególnej roli bitewnej. Ukraina była terenem wymuszającym wręcz na każdym operującym tam podmiocie wojskowo-politycznym utrzymywanie i używa-

FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM ROSYJSKIE

„Kozacy piszą list do sułtana", Ilja Riepin, 1891 r.

„Obóz Zaporożców", Józef Brandt, ok. 1895 r.

FOT. MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

nie sprawnej, dobrze zorganizowanej kawalerii. Potrzebna była również zdolność do długiego, ciężkiego przemarszu, do natychmiastowego podjęcia bitwy i sprawnego przegrupowania w ogniu walki. Dowódcy musieli umieć dostrzec w otoczeniu, w którym zastał ich bój, jak najlepsze warunki dla własnego ugrupowania i jak najmniej korzystne dla przeciwnika – po to, aby je odpowiednio wyzyskać. Niezbędna była również twardość żołnierska pozwalająca wytrzymać batalię w trudnych warunkach atmosferycznych lub długim oblężeniu. Kozacy posiedli wszystkie te umiejętności – poza pierwszą z wymienionych. Jest to ze wszech miar niezrozumiałe wobec faktu, że dobrą kawalerią operowali wszyscy pozostali aktorzy tego teatru działań wojennych – od Szwedów po Tatarów.

Ulubioną i najczęściej stosowaną taktyką walki przez wojsko kozackie był tabor. Obóz tworzony ad hoc z wozów wiozących zaopatrzenie i wyposażenie, które w obliczu wroga łączono ze sobą, tak aby tworzyły zamkniętą, ale ruchomą fortecę na planie czworoboku lub owalu. Obrońcy mogli razić ogniem nacierających, sami będąc zasłonięci. Mogli dokonywać również „wycieczek" pieszych lub konnych dla nękania przeciwnika, zasięgnięcia języka, ściągnięcia pomocy. Nie był to wynalazek kozacki. Tabor stosowali Chazarowie, husyci, Krzyżacy (np. pod Grunwaldem), Szwajcarzy i Hiszpanie. Był potrzebny wszędzie tam, gdzie piechota w otwartym polu musiała stawić czoło szarży przeciwnika. Ten sposób walki przyswoili sobie też Kozacy, najprawdopodobniej poprzez polską armię koronną, która podpatrzyła to u husytów. Nie było to narzędzie doskonałe. Wymagało wsparcia konnicy Rzeczypospolitej, kiedy tabor był stosowany w walce z przeciwnikiem zewnętrznym, np. z Moskwą. Kiedy tej osłony tabor był pozbawiony (np. podczas powstań), oblężeni Kozacy po jakimś czasie musieli kapitulować. Dopiero kiedy Bohdan Chmielnicki zawarł sojusz z Tatarami (właśnie dla pozyskania ich konnicy), mogli uzyskać świetne zwycięstwa pod Korsuniem, Piławcami i Żółtymi Wodami.

Mołojcy wykazywali dużą zdolność do szybkiego opanowywania przeróżnych rodzajów broni oraz adaptowania ich do swoich potrzeb. Zostało im to zresztą do dzisiaj. W ich oddziałach można było znaleźć właściwie cały przegląd ówczesnego arsenału. Potrafili też sprawnie przegrupowywać się pod ostrzałem i przechodzić płynnie z ataku do obrony lub na odwrót. Niekwestionowana była ich odwaga, nieustępliwość i zażartość w walce. Wykazali natomiast zadziwiającą niemożność wyjścia poza kanon obrony taborowej, którą stosowali w taki sam sposób w 1591 r., jak i w 1638 r. Nie zbudowali nigdy sprawnych regimentów jazdy (lub piechoty potrafiącej walczyć również konno) mogącej realnie konkurować z dragonią, rajtarią lub czambułami tatarskimi.

Publikacja Jacka Komudy jest syntezą głęboką, choć o wąskim przedziale czasowym. Przenosimy się wraz z nim 400 lat wstecz, na obszar międzymorza bałtycko-czarnomorskiego, gdzie Kozacy już są i stosują wielokrotnie wypróbowany sposób walki. Dobrze by było wiedzieć, co było przedtem, prześledzić dokładnie drogę, którą przeszli stepowi piraci, by stać się godnym przeciwnikiem dla oddziałów szwedzkich, moskiewskich, tureckich i... koronnych polskich. ■

Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

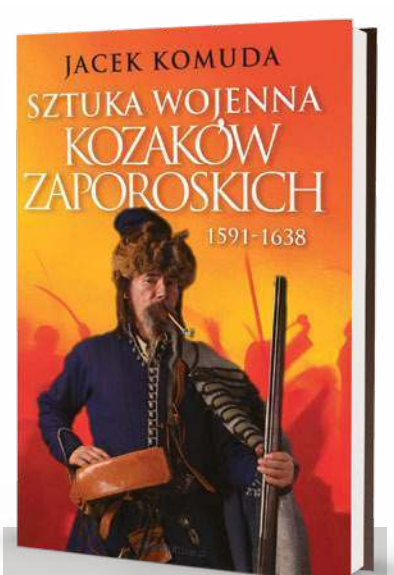

Jacek Komuda, „Sztuka wojenna Kozaków zaporoskich 1591–1638", wyd. ZonaZero, Warszawa 2023

eprasa.pl d17c3c1536

MIMO POWROTU POLSKI DO SFERY SUWERENNOŚCI JUŻ PONAD TRZY DEKADY TEMU W WARSZAWIE NIE POWSTAŁA DO DZIŚ PRZESTRZEŃ EWOKUJĄCA HEROIZM I WYBITNE DOKONANIA SYNÓW I CÓREK NARODU. TAKĄ FUNKCJĘ MOGŁABY SPEŁNIĆ AL. WOLNOŚCI ŁĄCZĄCA WAŻNE DLA ZBIOROWEJ PAMIĘCI MIEJSCA

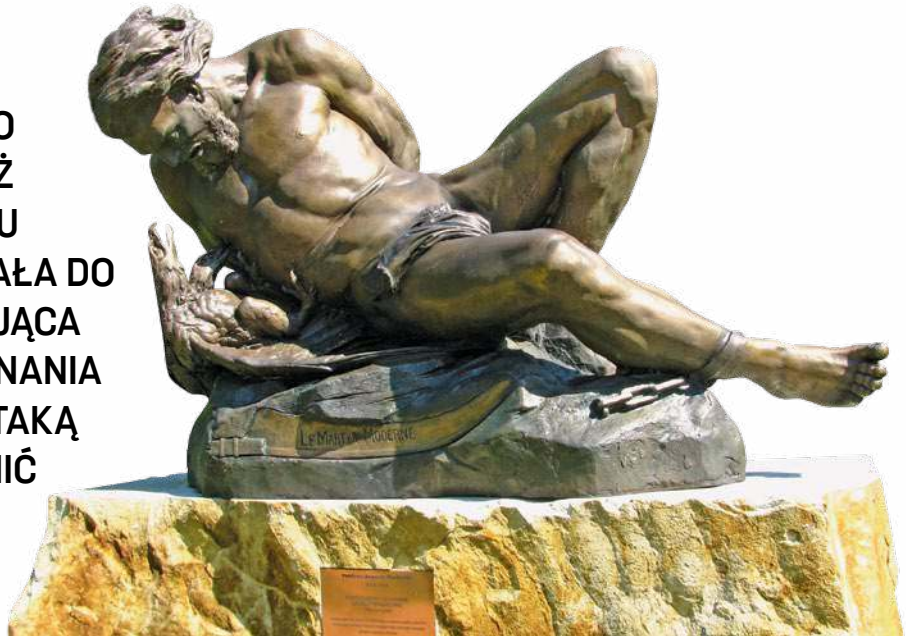

ALEJA WOLNOŚCI: OD ZAMKU KRÓLEWSKIEGO DO MUZEUM HISTORII POLSKI

JERZY MIZIOŁEK

Warszawa to miasto szczególne, piękne i heroiczne. Najwznioślej to wypowiedziała w swoich „Wspomnieniach i wrażeniach" (1910) Helena Modrzejewska – krakowianka, potem Amerykanka, legendarna aktorka i wielka polska patriotka. „Warszawa – pisze Modrzejewska – jest nazywana sercem Polski i żadna inna nazwa nie odpowiada tak trafnie temu miastu, pulsującemu nigdy nie wygasającą miłością ojczyzny i wzajemną miłością ludzi do siebie, a to z powodu ków, odniesionych ran i stałego terroru, który łączy tę wrażliwą, dobrego serca i bujnej wyobraźni masę ludzką jak gdyby w jedno ciało; na przekór śmiertelnym ranom, żyje ono i zawsze jest gotowe do podejmowania nowych ciężkich doświadczeń. »Serce Polski« – naprawdę". Ta znakomita aktorka spędziła w Warszawie przeszło osiem lat i dobrze poznała to miasto, choć patrzyła na nie z perspektywy osoby powszechnie podziwianej. Modrzejewskiej – w bardziej heroicznej tonacji o historiozoficznym wydźwięku – wtóruje Stefan Żeromski w poemacie „Wisła":

„Pieni się gościniec główny wielkiej rzeki
w wiązadłach mostów z kamienia i żelaza
u stóp miasta Warszawy – Cytadeli ziemskiego okręgu –
stolicy wolności świata, gdzie przez stulecie
tkwiło kowadło, wbite w ziemię głęboko
młotami kowali, wprawnych w sztuce ciemięstwa".

Ten niemal zapomniany poemat-opowieść z 1917 r. o dziejach ziemi polskiej i Polaków, od prehistorii do współczesności, przywołuje Cytadelę, „kowadło ciemięstwa", i nazywa Warszawę „stolicą wolności świata".

Powyżej: F.A. Bartholdi, „Le Martyr Moderne" („Współczesny męczennik", „Prometeusz"), 1864, kopia rzeźby eksponowana w 2005 r. na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie, obecnie w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku

Mimo że powstawał jeszcze przed powrotem Polski na mapę Europy, w rodzącym się dopiero blasku przeczucia jej odrodzenia, tchnie wielkim optymizmem i kreśli wizję wytężonej pracy i mądrej dbałości o powstający do życia, suwerenny i niepodległy kraj. Przyszło wreszcie odrodzenie bytu państwowego, potem bój o wszystko w latach 1919–1920, a następnie mniejsze i większe rozczarowania tego wielkiego pisarza i gorącego patrioty, którego ogromnie bolało wewnętrzne rozdarcie kraju. W uznaniu jego talentu, wysiłku w tworzeniu wizji Polski i kreowaniu jej symboli, na

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl d17c3c1536

rok przed śmiercią otrzymał od prezydenta RP mieszkanie w Zamku Królewskim z pięknym widokiem na Wisłę. Czy patrząc na „gościniec główny wielkiej rzeki", wracał myślami do poematu napisanego w 1917 r. i opublikowanego na początku roku następnego? Czy rozpamiętywał znamienny fakt, że w miejscu, „gdzie przez [prawie] stulecie tkwiło kowadło... ciemięstwa", znajdowała się główna siedziba Centralnej Stacji Radiotelegraficznej, która w tak ogromnym stopniu przyczyniła się do wielkiego zwycięstwa w 1920 r.? To właśnie radio-wywiad działający w dawnym miejscu martyrologii odszyfrował kilka tysięcy rosyjskich meldunków, dzięki czemu powstała bezbłędna strategia walki. Czy z tego właśnie powodu Żeromski uznałby Cytadelę, postrzeganą przede wszystkim jako symbol kaźni tysięcy polskich patriotów, za jedno z miejsc związanych z wielkim triumfem i poparłby pomysł utworzenia „Gościńca Wolności" prowadzącego od Zamku Królewskiego do Cytadeli?

Zarys pomysłu takiej przestrzeni pod kopułą nieba narodził się wiosną 2005 r., w czasie gdy na dziedzińcu Zamku Królewskiego wystawiono dzieło o niezwykłej, jedynej w swoim rodzaju historii – „Współczesny męczennik, czyli Prometeusz" (1864) Frédérica-Auguste'a Bartholdiego. Niewiele dziś osób pamięta o tym pokazie prawdziwego arcydzieła upamiętniającego powstanie styczniowe, które niestety nie jest obecnie eksponowane w Warszawie.

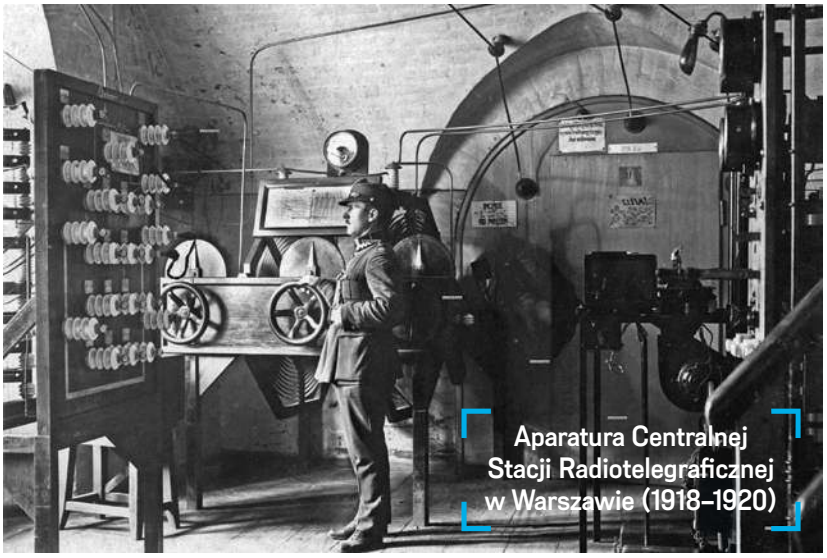

Aparatura Centralnej Stacji Radiotelegraficznej w Warszawie (1918–1920)

Prometeusz polski

Bartholdi, jak wielu wrażliwych ludzi w całej Europie, głęboko przeżył upadek powstania styczniowego, podobnie jak przeszło 30 lat wcześniej upadek powstania listopadowego poruszył jego krajana – Horace'a Verneta, autora obrazu „Alegoria Polski zwyciężonej, czyli Prometeusz". Projekt Bartholdiego, tak jak w przypadku wszystkich dzieł w brązie, był wykonany w gipsie i czekał na odlanie. Do tego, niestety, nie doszło, bo atmosfera współczucia dla Polski opadła, a dyplomacja rosyjska czuwała, by jeszcze ją osłabić. Gipsowy model „Współczesnego męczennika", ukazujący skowanego bohatera, bliskiego zerwania łańcuchów, którego wątrobę rozszarpuje dwugłowy orzeł (herb Rosji), przeniesiono do Colmaru, rodzinnego miasta rzeźbiarza. I tu przez półtora wieku niemal o nim zapomniano. Odlanie rzeźby w brązie i sprowadzenie jej do Polski nastąpiło dopiero w 2005 r. – od marca do czerwca rzeźba eksponowana była w sercu Warszawy, na dziedzińcu Zamku Królewskiego.

Niedługo potem „Współczesny męczennik" został przeniesiony do Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, skądinąd znakomitej placówki kultury. Niemniej jednak doszło do pewnego rodzaju degradacji dzieła, jakby odrzucenia przez miasto stołeczne, które Żeromski tak wzniośle nazwał „stolicą wolności świata". Dlaczego tak się stało, mimo wstępnej idei umieszczenia go w przestrzeni pomiędzy Cytadelą a miejscem kaźni Romualda Traugutta i jego towarzyszy, nieopodal ul. Sanguszki?

Janusz Bałdyga, „Alegoria Bitwy 1920", (2010), technika mieszana, własność artysty

Aleja Wolności i jej pomniki

Patrząc na dzieło francuskiego artysty, widzimy w nim pomnik prawdziwie heroiczny. Podczas gdy jedna głowa drapieżnika koncentruje się na wątrobie ofiary, druga groźnie wpatruje się w jej brodate, pełne determinacji oblicze. Skowany heros nie ulega presji, zerwał już okowy na nogach, a niebawem zerwie kajdany krępujące jego ręce. Rodzi się pytanie, czy kreowane z rozmachem Muzeum Historii Polski nie powinno sięgnąć po ideę przestrzeni patriotycznej pomiędzy Zamkiem Królewskim a miejscem »

eprasa.pl d17c3c1536

stracenia ostatniego naczelnika powstania styczniowego i Cytadelą, by w swoich murach kontynuować narrację o wielkim micie założycielskim odrodzonej Polski, jakim była zwycięska wojna 1920 r.? Myślą przewodnią tej przestrzeni patriotycznej powinno być zwycięstwo, heroizm i triumf, ale bez unikania wątków martyrologicznych o tak heroicznym aspekcie jak ten zawarty w dziele Bartholdiego. Równie ważnym tematem powinny być dzieje cywilizacji i nauki polskiej, jak w znanym cyklu obrazów Jana Matejki czy w obrazach znajdujących się w Sali Rycerskiej Zamku Królewskiego.

W 2010 r. dla Muzeum Historii Polski Paweł Sosnowski zorganizował wystawę, na którą grupa artystów wykonała swoje wizje zwycięstwa w wojnie z sowiecką Rosją w latach 1919–1920. Jedną z nich jest prawdziwe arcydzieło – „Alegoria bitwy 1920" autorstwa Janusza Bałdygi, które ukazuje starcie Białego Orła z Czerwoną Gwiazdą. Wykonana z trwałych materiałów kompozycja Bałdygi mogłaby być ważnym elementem narracji Gościńca czy al. Wolności. Jej istotnym, jeśli nie wręcz przewodnim motywem mogłyby być K-dronowe instalacje Janusza Kapusty i innych współczesnych artystów. Alternacja tematyki heroicznej (symboliczne ukazanie zwycięskich bitew i bohaterów narodowych) z dziejami cywilizacji tworzyłyby atmosferę patriotyzmu stymulowanego przemyślanymi symbolami w nowoczesnym ujęciu. Wędrowanie rzeczywiste i wirtualne wzdłuż „gościńca głównego wielkiej rzeki" zaczynałoby się od kolumny Zygmunta III – monumentu par excellence triumfalnego – i Zamku Królewskiego, a kończyło w Cytadeli. Ten symbol opresji wzniesiony w latach 1832–1836, a potem rozbudowywany i modernizowany wiąże się z carem Mikołajem I. Jego okrucieństwo wobec Polaków było powszechnie znane i zostało wyraziście uwiecznione, m.in. w brytyjskiej prasie. Mikołaj I, zdetronizowany – w murach Zamku Królewskiego w Warszawie – przez Sejm Królestwa Polskiego w styczniu 1831 r. król Polski, co i raz wypowiadał złowieszczo brzmiące słowa. Przywołajmy kilka z nich z czerwca 1832 r. i października 1835 r.: „Znam tylko dwa typy Polaków: tych, którzy się zbuntowali przeciwko mnie, i tych, którzy pozostali mi wierni – jednych nienawidzę, drugimi gardzę"; „Wierzcie mi, panowie [Polacy], że to jest prawdziwym szczęściem należeć do tego państwa [Rosji] i używać dobrodziejstw jego opieki [...], rząd mój zawsze myśleć będzie o waszym szczęściu. [...] Jeżeli upierać się będziecie przy waszych marzeniach o odrębnej narodowości, o Polsce niepodległej i przy wszystkich tych złudzeniach, ściągniecie na siebie wielkie nieszczęścia. Kazałem tu zbudować cytadelę aleksandryjską i oświadczam wam, że przy najmniejszym zaburzeniu każę miasto zbombardować, zburzę Warszawę i z pewnością nie ja ją odbuduję". Ale, jak już zostało powiedziane, Cytadela z jej Centralną Stacją Radiotelegraficzną w 1920 r. stała się świadkiem wielkiego militarnego triumfu, który w ogromnym stopniu był triumfem radiotelegrafistów i profesorów matematyki Uniwersytetu Warszawskiego, a więc był triumfem heroizmu i nauki. To kolejny temat do alegorycznej wizualizacji i ustawienia na alei/gościńcu Niepodległości.

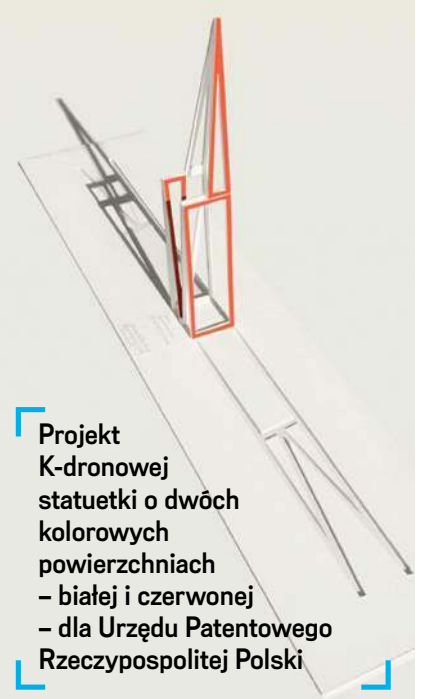

Projekt K-dronowej statuetki o dwóch kolorowych powierzchniach – białej i czerwonej – dla Urzędu Patentowego Rzeczypospolitej Polski

Od Kolumny Zygmunta do Cytadeli

„Współczesna historia cywilizacji – pisze w swej słynnej książce o Bitwie Warszawskiej z 1931 r. Edgar Vincent D'Abernon – zna mało wydarzeń posiadających znaczenie większe od bitwy pod Warszawą w 1920 r. Nie zna zaś ani jednego, które by było mniej doceniane [...]. Zadaniem pisarzy politycznych [...] jest wytłumaczyć europejskiej opinii publicznej, że w roku 1920 Europę ocaliła Polska". Czy w wystarczającym wymiarze podjęliśmy myśl brytyjskiego dyplomaty? Wydaje się, że nie. Powraca zatem pytanie, gdzie w aktualnej sytuacji, po latach zaniedbań, niechęci i zaniechań mógłby zostać wzniesiony monument upamiętniający tę i inne zwycięskie bitwy? Wskazane niegdyś przez Stanisława Noakowskiego i Bronisława Krystalla miejsce przy moście księcia Józefa Poniatowskiego zachowuje swój potencjał, podobnie jak pl. Wilsona i obszar do niego przylegający, ale znacznie większy ma właśnie Cytadela, gdzie powstają nowoczesne gmachy nie tylko Muzeum Historii Polski, lecz także Muzeum Wojska Polskiego. Taki pomnik – najlepiej łuk triumfalny – mógłby być nowoczesnym w kształtach monumentem jak ogromna paryska brama/łuk w dzielnicy La Défense, funkcjonujący jednocześnie jako muzeum. Wzniesienie paryskiego łuku, zaledwie kilka dekad temu, wiąże się z heroizmem Paryża w czasie wojny prusko-francuskiej 1870 r. Czy Warszawa na uczczenie swego wielokrotnie objawiającego się heroizmu nie zasługuje?

Zamek Królewski z jego historią i cennymi zbiorami dzieł sztuki oraz symboli narodowych jest prawdziwym sercem Warszawy. Skomunikowanie go z Muzeum Historii Polski, gościńcem Wolności z jego bogatą narracją historyczną oraz pomnikami słynnych ludzi byłoby jedynym w swoim rodzaju wpisaniem się w optymistyczną opowieść Żeromskiego zawartą w poemacie „Wisła". Opowieść taka byłaby też oryginalnym w formie i treści „wytłumaczeniem europejskiej opinii publicznej, że w roku 1920 Europę ocaliła Polska". Postulat brytyjskiego dyplomaty, świadka tamtych wydarzeń, zostałby w znacznym stopniu spełniony, a Warszawa zyskałaby wpisaną w zieleń skarpy wiślanej przestrzeń patriotyczną na miarę naszych czasów. By myśleć optymistycznie o przyszłości, nawet w tak trudnej konfiguracji geopolitycznej, którą ma Polska, istnieje konieczność rozpamiętywania aktów heroizmu, zbiorowego poświęcenia i dokonań nauki, a więc sublimowania narodowych dziejów poprzez wybitne dzieła sztuki i wzniosłe symbole.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl d17c3c1536

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tajemnice pisma

ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Gdyby Dominique Charpin zajmował się sztuką współczesną, być może byłby skłonny pójść za radą Tony'ego Wilsona i mając do wyboru prawdę lub legendę, wybrałby legendę.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych asyriologów zajmuje się jednak materią sprzed 5000 lat i ceni nade wszystko rygory nauki, co nie znaczy, że legendy go nie interesują. Swój świetny opis świata mezopotamskich uczonych w piśmie zaczyna zatem od przytoczenia dwóch podań o powstaniu pisma. Według pierwszego pismo było darem bogów, a dokładniej Oannesa – stworzenia o ciele ryby i ludzkiej głowie – który wynurzył się z wód, gdy ludzie żyli „jak bestie bez dyscypliny i porządku" i stał się ich nauczycielem. Z kolei z eposu „Enmerkar i pan Aratty" dowiadujemy się, że pismo miało być wynalazkiem człowieka – króla Uruk imieniem Enmerkar, który poszukując w krajach ościennych surowców na swoje ambitne prace budowlane, musiał przyjąć wyzwanie króla Aratty. Polegało ono na rozwiązywaniu zagadek, z którymi Enmerkar radził sobie znakomicie, aż do chwili, gdy wiadomość do przekazania okazała się tak skomplikowana, że posłaniec, który kursował między obydwoma królami, skapitulował. Wtedy to król Uruk – kierując się podszeptem bogini mądrości Nisaby – wpadł na pomysł wykorzystania glinianej tabliczki, na której zapisano kwiecistą odpowiedź.

Co prawda Charpin objaśnia, że pojawienia się pisma ok. 3200 lat p.n.e. było podyktowane koniecznością prowadzenia rachunków, a do korespondencji zaczęto je wykorzystywać dopiero ok. 2300 lat p.n.e., ale obie wersje zawierają ten sam element, który pokrywa się z najnowszymi wynikami badań. Powstanie pisma nie miało charakteru ewolucyjnego – pojawiło się nagle, stanowiąc od początku zwarty system.

Skłania to asyriologów do stawiania wielu pytań, w tym zasadniczego: jak powszechna była umiejętność posługiwania się pismem klinowym? Do jakich celów je wykorzystywano? Jak wykorzystywano tabliczki do symbolicznego anulowania długów? Czy bogowie odpowiadali na pisane do nich listy? Dzięki książce Charpina fascynujący mezopotamski świat odsłania tajemnice sprzed tysięcy lat.

Dominique Charpin, „Sztuka czytania i pisania w Babilonie", tłum. Olga Drewnowska i Magdalena Kapełuś, PIW 2023

Przygoda w muzeum

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Przygoda i muzeum – czy te dwa słowa mają ze sobą coś wspólnego? Zdecydowanie tak, zwłaszcza wtedy, gdy dodamy do nich poszukiwanie i zabawę. Wszystko to znajdziemy w książce Aleksandry Artymowskiej „Zagadkowe muzea w Warszawie".

Autorka pokazuje w niej 17 stołecznych instytucji, m.in. Muzeum Narodowe w Warszawie, Łazienki Królewskie, Zamek Królewski, a także mniejsze muzea, np. Muzeum Domków Lalek, Gier i Zabawek. Każde z nich to miejsce pełne ciekawych obiektów i interesujących wystaw. Jak więc znaleźć klucz do ich poznania?

Przewodnik Wydawnictwa Kropka pomaga nam w tym znakomicie. Składa się on z 17 rozkładówek. Każda z nich poświęcona jest jednemu muzeum. Znajdziemy tam niedługi tekst z najistotniejszymi informacjami oraz mnóstwo ilustracji przedstawiających eksponaty związane z danym miejscem. I tak widzimy zbiór minerałów z Muzeum Geologicznego, powstańcze listy z Muzeum Powstania Warszawskiego czy naczynia apteczne z Muzeum Farmacji. A to dopiero początek tej przygody.

Poza informacjami na rozkładówkach znajdziemy zagadki. Część z nich można rozwiązać podczas lektury książki. Ćwiczą one spostrzegawczość czytelnika oraz pozwalają na wprowadzenie ciekawych i nie zawsze oczywistych informacji. Szukamy deseni w domkach lalek, różnic między dinozaurami czy znaków zodiaku ukrytych w ilustracji synagogi z Gwoździca. Ale to nie koniec tej przygody, bo mamy tu też pytania i zadania, z którymi możemy się zmierzyć dopiero podczas wizyty w muzeum.

Autorka nie zapomniała również o praktycznych informacjach: godzinach otwarcia, dniach bezpłatnego zwiedzania czy innych propozycjach placówek.

Ten przewodnik to doskonała propozycja dla młodszych i dla starszych. Dzięki niemu debiutanci muzealni mogą zakochać się w muzeach, a doświadczeni zwiedzający odkryć je na nowo. Przede wszystkim jednak pozwala na wspólne poznawanie tajemnic warszawskich muzeów. Miejmy nadzieję, że doczekamy się podobnych przewodników pokazujących muzea w innych miastach.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

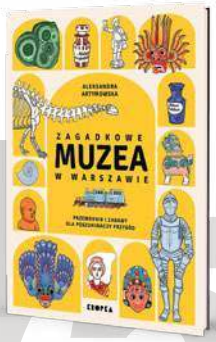

Aleksandra Artymowska, „Zagadkowe muzea w Warszawie. Przewodnik i zabawy dla poszukiwaczy przygód", Wydawnictwo Kropka, Warszawa 2022, wiek 6+

eprasa.pl d17c3c1536

RAFAŁ ŁATKA
UKSW

W KRĘGU KLIO

Nowości Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej i Instytutu Pamięci Narodowej

Instytut Pamięci Narodowej – czego myślę nie trzeba nikomu dzisiaj udowadniać – należy do najważniejszych wydawców książek historycznych w Polsce. Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, mimo że istnieje dopiero od kilku lat, dał się również poznać jako wydawnictwo mające bogatą ofertę skierowaną do miłośników Klio, i to wychodzącą znacznie szerzej niż tylko prezentowanie dorobku środowisk narodowych i katolickich. Wybrałem tutaj kilka spośród najciekawszych nowości książkowych obu tych instytucji, które ukazały się na przestrzeni ostatnich miesięcy. Jedno z opracowań, monografia dotycząca pierwszej części życiorysu Bolesława Piaseckiego, to koedycja IDMN i IPN. Wśród wspomnianych wydawnictw dwie to klasyczne biografie, a trzy to wydawnictwa źródłowe poświęcone bardzo różnorodnym kwestiom z zakresu historii najnowszej; zaś każde z nich przynosi istotne odkrycia naukowe.

Kilka lat temu dość powszechne były narzekania na stan polskiej biografistyki – trudno było znaleźć na rynku dobrze przygotowane opracowania tego typu. Od końca poprzedniej dekady da się zauważyć jednak renesans tego rodzaju piśmiennictwa historycznego. Książki poświęcone Bolesławowi Piaseckiemu i Janowi Mosdorfowi wpisują się w ten pozytywny trend. Wojciech Jerzy Muszyński przygotował pracę o początkach działalności lidera „Falangi". Jego rozważania obejmują okres II RP i II wojny światowej. Bohater, któremu uwagę poświęcił warszawski historyk, działalność polityczną rozpoczął bardzo wcześnie. Szybko też dał się poznać, jak przekonuje Muszyński, jako charyzmatyczny lider, który jest w stanie przyciągać do siebie wiernych mu ludzi. Wypada dodać, że wielu z nich później będzie aktywnych także w stworzonych przez Piaseckiego instytucjach już w okresie PRL. Autor książki, przygotowując biografię obejmującą lata 1915–1944, dotarł do wielu nowych źródeł archiwalnych, wyprostował sporo mitów i kontrowersji w życiorysie polityka. Udało mu się zweryfikować w krytyczny sposób czarną i białą legendę tej postaci historycznej, dzięki czemu otrzymaliśmy realny obraz działalności Piaseckiego, przygotowany w sposób naukowy i bez zbędnych emocji, które towarzyszyły autorom niektórych wcześniejszych publikacji na jego temat. Muszyński nie bał się stawiać zdecydowanych, ale dobrze uargumentowanych ocen. Szczególnie widoczne jest to w podsumowaniu książki, gdzie jednoznacznie wskazuje, iż bilans aktywności Piaseckiego (do 1944 r.) należy uznać za jednoznacznie negatywny. Mam nadzieję, że autor pracuje już nad drugą częścią, obejmującą okres Polski Ludowej.

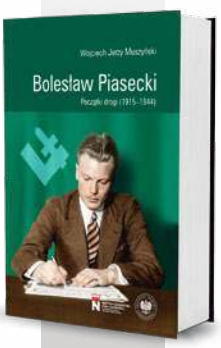

Wojciech Muszyński, „Bolesław Piasecki. Początki drogi (1915–1944)", Warszawa 2023, IPN, IDMN

Mateusz Kofin, „Jan Mosdorf (1904–1943). Życie i myśl polityczna", Warszawa 2023, IDMN

Nieco odmienny charakter ma biografia Jana Mosdorfa przygotowana przez Mateusza Kofina. Chyba najbardziej trafnym określeniem opisującym to dzieło byłoby „biografia intelektualna". Autor podzielił bowiem swoje rozważania na dwie wzajemnie uzupełniające się części: życiorys swojego bohatera i jego myśl polityczną.

eprasa.pl d17c3c1536

„W obronie duszy polskiej. Kardynał August Hlond jako opiekun duchowy emigracji polskiej w źródłach Polskiej Misji Katolickiej we Francji 1927-1948", Warszawa 2023, IDMN

„Polska pod reżimem komunistycznym. Rok 1945. Anatomia okupacji kraju w raportach cywilnych i wojskowych instytucji Rządu RP na Uchodźstwie", red. Jolanta Mysiakowska-Muszyńska, Wojciech J. Muszyński, Warszawa 2023, IPN

„Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki, t. 3. Sprawa ks. Jerzego Popiełuszki w dokumentach wywiadu MSW", wybór, wstęp i opracowanie Witold Bagieński, Warszawa 2023, IPN

Uważam to za trafne rozwiązanie, które bardzo dobrze wykorzystuje zachowane źródła archiwalne i prasowe, pokazując, kim był Mosdorf i jak jego aktywność wpłynęła na myśl polskich nacjonalistów. Dzieło Kofina wypełniło poważną lukę badawczą w refleksji nad dorobkiem polskiego ruchu narodowego. Warto w tym miejscu przytoczyć bardzo ważną opinię zawartą w autorskich wnioskach: „[...] myśl polityczną Mosdorfa bez większych wątpliwości można scharakteryzować jako przykład nacjonalizmu chrześcijańskiego, sprowadzanie zaś go do zwolennika faszyzmu i nawróconego antysemity stanowi wynik nieznajomości, ignorancji lub świadomego zniekształcania z powodów ideologicznych i politycznych".

Wydawanie źródeł historycznych, wbrew obiegowym opiniom, nie należy bynajmniej do działań łatwych i przyjemnych, a często wymaga tyle samo pracy co przygotowanie naukowej monografii. Warto zwrócić uwagę na trzy tego rodzaju edycje – które jak się złożyło – poświęcone są bardzo różnym momentom naszej historii. Monika Wiśniewska i Robert Czarnowski przygotowali do edycji archiwalia Polskiej Misji Katolickiej we Francji, pokazując z ich perspektywy działalność kard. Augusta Hlonda jako opiekuna duchowego polskiej emigracji. Mimo wielu publikacji dotyczących tego jednego z najwybitniejszych prymasów Polski, wspomniana perspektywa nie była dotąd wystarczająco opisana. Główny korpus źródeł to korespondencja, jaką kard. Hlond prowadził z kolejnymi rektorami PMK w Paryżu. Dokumenty zostały opatrzone właściwie przygotowanymi przypisami (biograficznymi i rzeczowymi) przez M. Wiśniewską, zaś obszerne wprowadzenie do tomu przygotował R. Czarnowski. Wstęp dobrze umiejscawia tę część aktywności prymasa Polski w całości jego działalności na rzecz polskiego Kościoła.

Druga z edycji źródłowych, na którą warto zwrócić uwagę, to dokumentacja instytucji rządu RP na uchodźstwie dotycząca procesu komunizacji Polski w 1945 r. Jolanta Mysiakowska-Muszyńska i Wojciech Muszyński opracowali raporty kierowane przez struktury cywilne i wojskowe do Londynu w pierwszym roku istnienia Polski Ludowej. Pokazują one stan wiedzy prawowitego rządu polskiego na temat dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości czerwonej okupacji Polski oraz instalowania się nowych władz (znajdujących się pod pełną kontrolą Związku Sowieckiego). Autorzy opracowania trafnie zwracają uwagę, że te wydane raporty pokazują różnorodne aspekty życia politycznego, społecznego i gospodarczego na polskich ziemiach. Wspomniane materiały będą mogły stać się nie tylko ważnym uzupełnieniem spojrzenia historyków na świadomość i postawy społeczne w 1945 r., lecz także mogą przyczynić się do przewartościowania ocen funkcjonujących w historiografii. W moim przekonaniu pokazują one jednoznacznie, że polskie społeczeństwo (w różnorodny sposób) przeciwstawiało się systemowi komunistycznemu. Dokumenty wydane przez małżeństwo Muszyńskich zostały właściwie przygotowane pod względem opracowania, opatrzono je w liczne przypisy biograficzne i rzeczowe oraz kompetentnie przygotowany wstęp, który wprowadza treść źródeł do szerszej refleksji historycznej.

Ostatnia z nowości wydawniczych dwóch wzmiankowanych wcześniej instytucji to kolejny tom źródeł dotyczących ks. Jerzego Popiełuszki, wydany przez IPN. Tym razem opublikowana dokumentacja obejmuje sprawę tego niezłomnego kapłana w dokumentach wywiadu MSW. Zbiór stanowi kolejną ważną cegiełkę do poznania obrazu podejścia komunistycznego aparatu represji do działalności kapłana zamordowanego w październiku 1984 r. W opublikowanym materiale źródłowym znalazło się 75 dokumentów Departamentu I MSW. Obejmują one okres od 26 października 1984 r. do 14 czerwca 1987 r. Pokazują, jak na porwanie, a następnie zabójstwo i proces sprawców reagowano za granicą, ze szczególnym uwzględnieniem Stolicy Apostolskiej (oraz opinii polskiego duchowieństwa tam prezentowanych). Materiały źródłowe zostały profesjonalnie opracowane przez Witolda Bagieńskiego, który opatrzył również edycję rozbudowanym wstępem. Warto dodać, że edytor poświęcił sporo uwagi na wytłumaczenie specyfiki wydawanych dokumentów, pokazując, w jaki sposób należy je interpretować (a także jakie konteksty warto uwzględniać, zapoznając się z nimi). Jestem przekonany, że wspomniany tom przyczyni się do lepszego zrozumienia wpływu morderstwa ks. Popiełuszki na relacje państwo–Kościół oraz odbiór tej sprawy za granicą.

REKLAMA

4/0223/F

eprasa.pl d17c3c1536

Rafał Łatka rozmawia z...

...JAROSŁAWEM WRÓBLEWSKIM, autorem książki „Niezniszczalny. Rozmowy o Witoldzie Pileckim"

Panie Jarosławie, jak wielu rzeczy jeszcze nie wiemy o Witoldzie Pileckim?

Jarosław Wróblewski: Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. Sam sobie je zadaję. Nie zostały do tej pory odnalezione przecież jego szczątki, na które tak czekamy. Czy ich zbadanie mogłoby nam coś jeszcze o nim powiedzieć? Myślę, że tak. Są ślady, że działał w wywiadzie wojskowym przed wojną. Z kim współpracował, jakie misje wykonywał? Czy był skuteczny? To samo możemy powiedzieć o jego działalności powojennej; z kim jeszcze działał oraz kontaktował się w kraju i za wschodnią granicą? Czy zachowały się jego szczegółowe meldunki przekazywane z komunistycznej Polski na Zachód? Mnie zastanawia, czy gdzieś jeszcze uchowała się jego poezja, rysunki, obrazy bądź rodzinne zdjęcia? Czy może zachowały się jakieś przedmioty z 400-letniego majątku w Sukurczach, który został rozgrabiony i nie ma po nim śladu? Po latach odnalazło się w Nowych Święcianach ponad 100 jego listów pisanych w młodości do Kazimiery Daczówny, tak wiele o nim mówiących. Jakieś nieznane fakty mogą zawierać rosyjskie archiwa czy nieprzebadane archiwalia w Studium Polski Podziemnej w Londynie.

Jakie było kryterium wyboru rozmówców, które pan przyjął?

Po napisaniu biografii Witolda Pileckiego „Rotmistrz" miałem z jednej strony niedosyt, że wiele ciekawych rzeczy wynikających z rozmów z osobami, które pomagały mi w zbieraniu materiałów, badały i poznawały życie Witolda Pileckiego, można by było dodać do tej książki, choć z drugiej te rozmowy dotyczyły ich bardzo osobistej relacji z tym wyjątkowym człowiekiem. Zmagałem się z tym i w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że spotykam na swojej drodze wiele, nowych, ciekawych osób, którym Witold Pilecki jest szczególnie bliski czy po prostu pojawił się w ich życiu i zostawił ślad, który noszą w sobie, więc zacząłem nagrywać te rozmowy i tak powstała ta książka. Nie potrafię panu powiedzieć, jakie było kryterium wyboru rozmówców. Szedłem za jakimś wewnętrznym przynagleniem, że są to osoby, które mają w sobie to „coś" z Witolda Pileckiego.

Proszę powiedzieć czego nowego dowiadujemy się z pana książki na temat niezłomnego rotmistrza?

Każda z tych rozmów mówi nam coś nowego. O nim, o jego żonie, cichej bohaterce jego chwały. Pokornej i dobrej. Może właśnie o to chodziło, aby poznać też osoby, które były wokół Witolda Pileckiego: żonę, rodzeństwo, podkomendnych i ich losy... Zapytać doświadczonych historyków, ale i młodych ludzi, dlaczego tyle energii poświęcają dla żywej pamięci rotmistrza? Co w nim jest takiego, że kiedy słyszą „Witold Pilecki", serce bije mocniej. W książce jest zdjęcie nieznanej kartki pocztowej napisanej w obozie w Murnau do Ludmiły Serafińskiej czy reprint unikalnej broszurki z 1984 r. – pierwszej biografii Witolda Pileckiego i kulisy jej wydania poza cenzurą PRL.

Jarosław Wróblewski, „Niezniszczalny. Rozmowy o Witoldzie Pileckim", wyd. Zona Zero, Warszawa 2023

Mnie ujmuje szczerość osób, z którymi rozmawiam. To jest największa siła tej książki.

Proszę w największym skrócie powiedzieć, dlaczego Witold Pilecki powinien być wzorem polskiego patriotyzmu?

Każdy powinien znaleźć do niego swoją osobistą drogę, aby go poznać. Odrobić lekcję i przeczytać „Raport Witolda" z Auschwitz. To jest najważniejsza książka o jego życiu, bo napisana przez niego. Od rotmistrza można bardzo dużo czerpać i widzieć w nim inspirację do wielu działań. Dlaczego powinien być wzorem patriotyzmu? Jest prawdziwy i taki normalny, twardy i jednocześnie romantyczny. „Kochał Polskę i ta miłość przesłaniała mu wszystkie inne" – napisała o nim jego żona, która tak bardzo go kochała. Może kochała go również za miłość do ojczyzny. On rozumiał potrzeby drugiego człowieka i wychodził mu naprzeciw. Pomagał jak potrafił, narażał się, szedł niemal w przepaść, ale nie ginął, szedł dzięki temu dalej i wyżej. Chociaż badam jego życie, jest dla mnie ciągle tajemnicą. Przekraczał siebie, tak jak przekracza nas.

FOT. AGNIESZKA HAŁABURDZIN-RUTKOWSKA

GÓRNA PÓŁKA

Transnaród

ANTONI DUDEK

Podtytuł książki Jacka K. Sokołowskiego, wydanej przez zasłużony krakowski Ośrodek Myśli Politycznej, brzmi intrygująco: „Polacy w poszukiwaniu politycznej formy". „Transnaród" to napisana z rozmachem analiza polskiego systemu politycznego i jego ewolucji na przestrzeni kilku ostatnich dekad. Autor, wykorzystując znakomicie swój warsztat prawnika i politologa, przedstawił w imponujący sposób szeroką panoramę przemian zachodzących na polskiej scenie politycznej po upadku rządów komunistycznych.

Sięgając w wielu miejscach do wydarzeń, zjawisk i procesów zachodzących na długo przed 1989 r., błyskotliwie ukazał ich znaczący wpływ na współczesny kształt III Rzeczypospolitej. Otrzymaliśmy napisane ze swadą oryginalne i inspirujące dzieło, które powinno stać się punktem wyjścia do publicznej debaty nad stanem państwa polskiego po blisko 20-letniej dominacji duopolu PiS i PO, wraz z jego wszystkimi dobrymi i złymi konsekwencjami, wnikliwie zanalizowanymi przez Sokołowskiego. Wśród tych ostatnich najwyżej oceniam przedstawioną przez niego diagnozę przyczyn słabości państwa polskiego, pozbawionego za sprawą postępującej polaryzacji silnych, odpartyjnionych instytucji.

„Transnaród" skłania oczywiście do wielu uwag i polemik, niemniej jest to w moim przekonaniu ogromna zaleta książki, a nie wada. Sokołowski stawia bowiem swoje tezy w sposób ostrożny i zwykle dobrze uzasadniony, zręcznie uciekając od dominującej obecnie w polskiej przestrzeni publicznej kultury przesady, objawiającej się nagromadzeniem agresywnych epitetów. Nie unika też sądów surowych, jak we fragmentach opisujących polski wymiar sprawiedliwości (i jego pseudoreformatorów), czy na stronach, które poświęcił analizie naszych mediów, celnie określając większość z nich mianem „dwubiegunowo-afektywnych". Polecam tę książkę zwłaszcza tym wszystkim, którzy potrafią jeszcze myśleć o sprawach publicznych, nie ulegając przemożnemu wpływowi tych ostatnich. Innych czytelników lektura „Transnarodu" może wprawić w stan dysonansu poznawczego, choć mnie osobiście to by nie zmartwiło. Na odtrucie umysłu, w przeciwieństwie do organizmu, nigdy nie jest za późno. ■

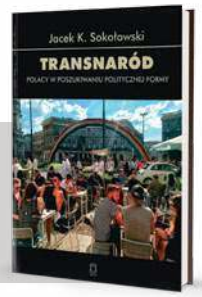

Jacek K. Sokołowski, „Transnaród. Polacy w poszukiwaniu politycznej formy", Kraków 2023

POLSKIM OKIEM

Bucza i Kfar Aza

RYSZARD CZARNECKI

Gdy w obowiązkowym hełmie i ciężkiej kamizelce kuloodpornej melduję się na granicy Izraela ze Strefą Gazy, mam poczucie, że historia zatoczyła koło, choć zmieniła się szerokość geograficzna.

Półtora roku temu też w hełmie i z kamizelką kuloodporną osłaniającą klatkę piersiową, brzuch i plecy, ale oczywiście nie ręce, oglądałem efekty działania rosyjskiego imperializmu w praktyce w podkijowskich Buczy i Irpieniu. Tam zniszczenia były znacznie większe niż w przylegającym do granicy ze Strefą Gazy kibucu Kfar Aza. Tu czuć jednak bezpośrednio wojnę – tam można było „tylko" oglądać kolosalne zniszczenia wojną spowodowane. Słyszę odgłosy wybuchów bomb i rakiet – coraz bliżej i bliżej. Serie z karabinów maszynowych słychać, jakby strzelał sąsiad. Nad nami warkot wojskowych helikopterów, przed nami pejzaż Gazy z pióropuszami czarnego dymu w miejscach, których dosięgły rakiety czy bomby.

Bucza i Kfar Aza – tak samo wymarłe, opustoszałe, z życiem zawieszonym jakby w czasowej próżni. Na Ukrainie były jeszcze bezpańskie psy, które podbiegały do nas i obwąchiwały, rozpaczliwie szukając swoich właścicieli. Tu – ziemia wymarła. Podobieństwo to posterunki wojskowe. Tak samo liczne w Europie Wschodniej, jak i na Bliskim Wschodzie, choć w Izraelu bardziej skrupulatne. Pod samą granicę z „Gaza Strip" nie podjedziesz bez wcześniejszych uzgodnień i późniejszej kontroli.

Na Ukrainę przyjechały walczyć setki ochotników z różnych krajów świata, w tym z Polski (zginęło parunastu naszych). Tu na posterunkach spotykam ludzi z Hamburga i Kalifornii. Dla niemieckiego czy amerykańskiego Żyda służba w izraelskim wojsku – w tym przypadku w jednostkach specjalnych – to obowiązek i zaszczyt. Jako historykowi przypomina mi się od razu „Błękitna Armia" gen. Józefa Hallera złożona z Polaków z USA, Kanady i Francji.

W przygranicznym kibucu naszą europarlamentarną polsko-niemiecko-szwedzką delegację oprowadzają dwie młode dziewczyny w mundurach. Na porównywanie napaści Rosji na Ukrainę z tym, co dzieje się na froncie wojny Izraela z Hamasem (za którym ma stać Iran), nasi gospodarze reagują (sceptycznym?) milczeniem.

Co bym napisał, gdybym był nie na granicy ze Strefą Gazy, tylko w samej Gazie? ■

eprasa.pl d17c3c1536

Przełomowe posiedzenie KKP w Szczecinie

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA (2X)

ARTUR KUBAJ

Posiedzenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność", Szczecin, 18–19 listopada 1980 r. W środku Lech Wałęsa (3P) i Marian Jurczyk (4P)

Szczecin i Gdańsk rywalizowały ze sobą jako miasta morskie i centra Solidarności.

Przez okres ok. 2,5 miesiąca od zakończenia strajku sierpniowego z 1980 r. Krajowa Komisja Porozumiewawcza (KKP – ciało kierownicze związku) spotkała się kilkukrotnie w Gdańsku i dwukrotnie poza nim – 24 października w Jastrzębiu, a później w Warszawie, w związku z potrzebą konsultacji związanych z kryzysem rejestracyjnym.

– Kilkakrotnie prosiliśmy Wałęsę, by jedno z posiedzeń KKP odbyło się w Szczecinie, by nas odwiedził. Miało to uciąć głowę plotkom, że nas lekceważy. Chcieliśmy zamanifestować jedność i solidarność związku – wspominał Krzysztof Jagielski, członek prezydium szczecińskiej Międzyzakładowej Komisji Robotniczej (MKR). Posiedzenie takie odbyło się w dniach 18–19 listopada.

Szczecińscy organizatorzy

Odpowiedzialność za zorganizowanie wizyty władz Solidarności w Szczecinie wziął na siebie Stanisław Wądołowski. Pomagał mu Zygmunt Lampasiak, jeden z doradców MKR oraz samego Jurczyka, a z grona członków prezydium MKR powołano nawet komisję do spraw przygotowawczo-organizacyjnych, w skład której weszli Krzysztof Jagielski z Polskich Linii Oceanicznych, Jolanta Wójcik, przewodnicząca związku w szczecińskiej Estradzie, i Zdzisław Kacprzak z prezydium KR w Stoczni Warskiego. Warto przypomnieć, że do tego czasu w spotkaniach KKP uczestniczyło już kilku szczecinian. Największe doświadczenie w tym zakresie mieli oczywiście Stanisław Wądołowski i Marian Jurczyk. Obu liderom najczęściej towarzyszyli Krzysztof Kubicki ze Stoczni Warskiego i wspomniany wcześniej Krzysztof Jagielski. W niektórych posiedzeniach brali udział prawnicy MKR: Bronisław Ziemianin, Edmund Kitłowski i Zygmunt Lampasiak. W większości posiedzeń udział brał także przedstawiciel świnoujskiej MKR, Henryk Gerbatowski.

Szczecinianie ambitnie i dynamicznie zabrali się za przygotowanie materiałów do dyskusji, bowiem zależało im na sprawnym procedowaniu i tym samym wywarciu dobrego wrażenia na gościach z całej Polski, a w szczególności na gdańszczanach i samym Wałęsie. Był to zapewne element cichej rywalizacji Szczecina z Gdańskiem, toczącej się od dawna. Do branżowego współzawodnictwa od grudnia 1970 r. doszła jeszcze rywalizacja na polu politycznym w inicjowaniu i rozległości protestów przeciwko władzy komunistycznej w Polsce. W Szczecinie dość powszechne były odczucia, że strajk grudniowy z 1970 r. został tu lepiej przygotowany niż w Gdańsku oraz że metoda strajkowa wówczas wypracowana znalazła zastosowanie w protestach z sierpnia 1980 r. Ponadto uważano, że nadzieję na zmiany w Polsce i poprawę losu robotniczego dało spotkanie I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka ze stoczniowcami szczecińskiej Stoczni Warskiego. W takim właśnie duchu przemawiała przez stoczniowy radiowęzeł członkini prezydium MKR Maria Chmielewska: „Szczecin od pierwszych dni gorącego lata 1980 r. stanowił jeden z najważniejszych ośrodków Solidarności. To w Szczecinie podpisano pierwsze z trzech porozumień, które [...] określono jako umowę społeczną, zabezpieczającą proces demokratycznych przemian w życiu naszego kraju".

Najważniejsze punkty obrad

Doświadczenia Wądołowskiego umożliwiły organizację obrad wokół problemów, których szybkie rozwiązanie leżało w szeroko rozumianym interesie społeczeństwa, ale też pozwalałoby So-

eprasa.pl d17c3c1536

lidarności na dalszy rozwój instytucjonalny. Dlatego do prac koncepcyjnych, oprócz znanych doradców krajowych, dołączyli szczecińscy prawnicy wspierający miejscową MKR – wspomniani wcześniej Ziemianin, Kitłowski i Lampasiak oraz Mirosław Kwiatkowski, Andrzej Milczanowski i Jerzy Zimowski.

Szczecinianie opracowali część istotnych tematów dotyczących m.in.: organizacji sekcji branżowych (Lampasiak), wyborów w Solidarności (Zimowski), majątku CRZZ i WRZZ oraz osobowości prawnej związku (Milczanowski), sytuacji prawnej przedsiębiorstw i samorządów robotniczych rozpatrywanej pod kątem reformy gospodarczej (Lampasiak), sprawy tzw. posłów przywożonych w teczce do poszczególnych regionów z innych części kraju (przygotowano m.in. uchwałę wyrażającą brak poparcia Solidarności dla posła Jerzego Łukaszewicza, bliskiego współpracownika Edwarda Gierka) (Kwiatkowski). Prace nad tymi kwestiami stały się podstawą do przyjęcia stanowiska związku w formie uchwał na posiedzeniu plenarnym komisji.

Zanim doszło do dyskusji plenarnych, Wałęsa w towarzystwie wybranych członków i doradców KKP spotkał się w Stoczniowym Domu Kultury Korab z prezydium szczecińskiej MKR i wybranymi reprezentantami Komisji Robotniczych regionu, a następnie w Domu Marynarza z działaczami związku z przedsiębiorstw gospodarki morskiej.

Zebranych w Korabiu i Domu Marynarza interesowały m.in. sprawy rozliczenia winnych kryzysu gospodarczego, cofnięcia odznaczeń dygnitarzom odpowiedzialnym za zapaść gospodarczo-społeczną oraz odebrania dodatku do emerytury z tytułu uzyskania tychże odznaczeń. Wałęsa podczas tych spotkań konsekwentnie podtrzymywał tezę, zgodnie z którą związki zawodowe „nie są od rządzenia", stąd też „będą jedynie kontrolowały działalność rządu i administracji, będą wytykać błędy w ich działalności". Jacek Kuroń, w nawiązaniu do podnoszących się coraz częściej głosów domagających się rozliczeń osób odpowiedzialnych za zapaść gospodarczą i cywilizacyjną Polski, deklarował, że jest zdecydowanym przeciwnikiem „wieszania i palenia".

Drugi dzień spotkań

Mimo pracowitego dnia i obowiązków zakończonych późną nocą drugi dzień wizyty w Szczecinie członkowie KKP rozpoczęli już o godz. 7.30! Wałęsa w towarzystwie Jurczyka uczestniczył w porannej mszy św. Obrady rozpoczęły się od zgrzytu, bowiem Lech Wałęsa z właściwą mu „bezpośredniością", tuż po ciepłym powitaniu zgromadzonych przez Jurczyka, wypalił: „Proponuję od razu przystąpić do rzeczy, bo na razie tylko możemy się cieszyć z dobrego przywitania, dobrej kuchni i z tych towarzyskich rzeczy, które w istocie rzeczy dla nas są tylko balastem, ponieważ myśmy przyjechali tu coś zrobić, jak najwięcej zrobić, a to, jakie wrażenie będzie – to jest nieważne, ważne to, co my tu wspólnie ustalimy, z czym my tu wspólnie się rozjedziemy". Pomimo takiego początku większość przygotowanych tematów przechodziła sprawnie w debacie i znalazła swe miejsce w podjętych uchwałach. Emocje wzbudziła dyskusja dotycząca poparcia dla poszczególnych grup zawodowych postulujących podwyższenie ich wynagrodzeń. Po burzliwej debacie przyjęto stanowisko reprezentowane przez Jana Rulewskiego, skorygowane przez Władysława Siłę-Nowickiego, zgodnie z którym liczbę wspieranych przez związek branż ograniczono do włókniarzy, cukrowników, zielarzy i metalowców.

Pytanie, które rozgrzało atmosferę w Korabiu podczas drugiego dnia obrad, zadał reprezentant MKR Jastrzębie, Ryszard Kuź. Poprosił on Wałęsę o relację z jego rozmowy z I sekretarzem KC PZPR Stanisławem Kanią. Lech Wałęsa wyjawił, że do spotkania doszło z inicjatywy Kani, a propozycję spotkania złożył mu bezpośrednio Andrzej Wajda. Przebiegu czterogodzinnego spotkania Wałęsa nie chciał jednak zrelacjonować, zasłaniając się umową z drugą stroną, że nie będą go publicznie komentować. Członkowie KKP wyrażali swoją nieufność do przewodniczącego, a przynajmniej dezaprobatę dla tego rodzaju poufnych spotkań. Z relacji zaś Kani wynika, iż był on przekonany, że skoro Bożena Rybicka sporządzała podczas rozmowy notatki, informacje o jej treści przedostaną się przynajmniej do grona najbliższych współpracowników Lecha Wałęsy.

Przyszłość w jedności

Niezależnie od debat politycznych w pamięci szczecinian pozostało przede wszystkim wieczorne spotkanie władz Solidarności z mieszkańcami regionu w Teatrze Letnim na terenie parku Kasprowicza z udziałem kilkudziesięciu tysięcy osób. Była to niewątpliwie manifestacja zarówno zaufania do władz związku, jak i tęsknoty za suwerennym oraz niepodległym państwem polskim. Wystąpienia Siły-Nowickiego i Kuronia, podobnie zresztą jak samego Wałęsy, ale też Jurczyka, były przyjmowane z entuzjazmem przez publiczność zgromadzoną w Teatrze Letnim, a przemówienie mecenasa Siły-Nowickiego było tak poruszające, że zostało opublikowane w biuletynie MKR.

Posiedzenie KKP w Szczecinie kładło okres obradom przebiegającym w sposób chaotyczny i zdominowany przez emocje polityczne. 19 listopada KKP wyłoniła zespół przedstawicieli 11 największych regionów związku (Bydgoszcz, Gdańsk, Jastrzębie, Kraków, Lublin, Łódź, Poznań, Rzeszów, Szczecin, Warszawa i Wrocław), powszechnie nazywany Jedenastką, a czasami też Grupą Roboczą. Jego zadaniem było bieżące przygotowywanie porządków obrad posiedzeń komisji oraz sporządzanie projektów sygnowanych przez nią dokumentów. Ustanowiono szczegółowy regulamin pracy KKP określający zakres i tryb jej działania. Powołano także Sekretariat KKP i powierzono jego kierowanie działaczowi z Gdańska, Grzegorzowi Grzelakowi. Funkcję rzecznika prasowego przyjął zaś Karol Modzelewski z Wrocławia.

Manifestacja jedności Solidarności zaprezentowana w Szczecinie i zrozumienie potrzeby ścisłego współdziałania dotyczyły także Jurczyka i Wałęsy czy szerzej – Gdańska i Szczecina.

DZIWNE LOSY POLSKIEJ JANE AUSTEN

O ŻYCIU ELŻBIETY Z KRASIŃSKICH JARACZEWSKIEJ NIEWIELE BYŁOBY WIADOMO, GDYBY NIE NAPISAŁA O NIEJ – BARDZO EMOCJONALNIE – PRZYJACIÓŁKA I KREWNA LUDWIKA OSSOLIŃSKA, A POTEM NIE UZYSKAŁ INFORMACJI OD CZŁONKA RODZINY PUBLICYSTA HIPOLIT SKIMBOROWICZ

JOANNA PUCHALSKA

Kraszewski cenił ją wyżej od Marii Wirtemberskiej, Grabowski nazwał jej twórczość „zwierciadłem dzisiejszego narodu polskiego, jak pisma Krasickiego przed pięćdziesięciu laty". Tyszyński porównał ją z panią de Genlis oraz Klementyną Hoffmanową i orzekł, że jest lepsza. Tarnowski wprawdzie nie chwalił, ale dostrzegał „pewien postęp i pewne wyrobienie w powieści". Zachwycali się Wóycicki i Skimborowicz, odnotował z uznaniem Piotr Chmielowski.

Przyszła pisarka urodziła się w 1791 r. w Warszawie lub w rodzicielskim Zegrzu. Ojciec Kazimierz Krasiński jako ostatni w Rzeczypospolitej szlacheckiej otrzymał tytuł wielkiego oboźnego koronnego. Dopiero w trzecim małżeństwie, z Anną Ossolińską, miał dwójkę dzieci: Józefa Wawrzyńca i Elżbietę.

Kalectwo na całe życie

Cios przyszedł niespodziewanie. Nastolatka w towarzystwie francuskiej guwernantki odprowadzała przyjaciółkę mieszkającą po drugiej stronie Narwi. Na środku rzeki tamta miała zmienić łódź i Elżbieta, chcąc się pożegnać, próbowała przeskoczyć za nią. W tym momencie guwernantka chwyciła ją za rękę i przeszkodziła w skoku tak niefortunnie, że dziewczynka upadła na burtę, doznając urazu kręgosłupa, czego rezultatem był garb.

Panna kształciła się w domu. Zdolna, inteligentna, bystra, obdarzona świetną pamięcią i wyobraźnią, poznała dobrze literaturę francuską, niemiecką i angielską. Gorzej było z polską i językiem ojczystym. Ludwika Ossolińska napisze później o powstaniu pierwszej powieści: „Podług nagannego większej części Dam polskich zwyczaju, nie nawykła była do pisania w rodowitym języku, musiała więc zrazu sama siebie przetłomaczyć".

Debiut na salonach i w ogóle kontakty towarzyskie nie były łatwe ze względu na ułomność, podobnie problematycznie układała się kwestia zamążpójścia. Ludwika Ossolińska, zwykle idealizująca przyjaciółkę, oględnie określa jej urodę jako pozbawioną „wszelkich wdzięków powierzchownych". Skimborowicz sprecyzował to dokładniej: „W oczach okolonych długimi ciemnymi rzęsami, przebijała się myśl zdrowa i żywa; wzrok jej był przenikliwy i wyrazisty. Ogólny twarzy obraz psuły jednak za szerokie usta i nosek kościuszkowski". W innym miejscu określa krótko, że była: „mała, nikła, garbata". Niedostatki urody hrabianka Krasińska nadrabiała inteligencją, dowcipem i wdziękiem. Dzięki posagowi miała chętnych do ręki, jednak w wieku 22 lat postanowiła wstąpić do Panien Kanoniczek Świeckich w Warszawie, co zresztą nie uniemożliwiało ewentualnego małżeństwa. I wtedy pojawił się Adam Jaraczewski, weteran spod Wagram. Niespodziewanie szybko powiedziała „tak". Ślub odbył się w 1815 r. Wniosła mężowi m.in. majątek Borowicę niedaleko Lublina, gdzie zamieszkali.

Według Ludwiki Ossolińskiej był to związek udany, inni utrzymywali, że małżonek szybko wrócił do kawalerskich przyzwyczajeń, często wyjeżdżał i lubił hazard. Józef Wawrzyniec Krasiński w pamiętnikach wspomina wręcz o namiętności szwagra do kart, a Piotr Chmielowski pisze: „Dawny wojak lubił życie pełne rozmaitości i wrażeń coraz nowych, wyjeżdżał więc często z domu, gonił za towarzystwem, Elżbieta musiała sama sobie wystarczyć".

W latach 1815–1830 głównym zajęciem osamotnionej żony było zajmowanie się podupadającym majątkiem

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl d17c3c1536

i całkiem dobrze dawała sobie radę z finansami i podatkami. Dbając o „powodzenie swoich włościan i kształcenie ich moralności", stosownie do zaleceń Staszica zaczęła od poprawy warunków życia na wsi. Zapewniła chłopom opiekę lekarską – lekarz przyjeżdżał raz na tydzień, a w przypadku „grasujących" chorób – nawet co dzień. Założyła we dworze aptekę i nikomu, kto się zgłosił, nie odmawiała lekarstw i wsparcia. Ossolińska pisze również o odwadze przyjaciółki, która sama odwiedzała chorych, „nie obawiając się najniebezpieczniejszej zarazy".

W 1818 r. w Karlsbadzie poznała Goethego. Poeta i przyszła pisarka wiele rozmawiali o literaturze, pożyczała mu książki. Ślady tej znajomości zostały udokumentowane, gdyż jedną z nich oddał z wpisanym wierszem zatytułowanym: „An Gräfin Jaraczewska". A w liście do syna napisał: „Dawna moja przyjaciółka, pani von Jaraczewska, pożyczyła mi książkę »Sketch Book of Geoffrey Grayon«, którą z przyjemnością czytam".

Pisanie lekiem na całe zło

Skimborowicz podaje, że Elżbietka mając 9 lat, napisała pierwszą „powiasteczkę", co do której „jedna z przyjaciółek" uważała, że jak najbardziej nadaje się do druku. „Dorośle" zaczęła pisać, mając 36 lat. Proces twórczy wprawiał ją w rodzaj transu. Józef Wawrzyniec w liście do Michała Grabowskiego donosi: „Gdy była w całym ogniu i zapale kompozycji, i gdy wysnuwała swoje dzieła, nie jak urojone utwory, ale jakby istotne wspomnienia, te stawały się dla niej rzeczywistością, a rzeczywistość snem jedynie przykrym i natrętnym". Potwierdza to Piotr Chmielowski: „W twórczości otworzyło się dla Jaraczewskiej nowe a urocze życie; jak gdyby świat odbity w jej duszy był rzeczywistością, a rzeczywistość istotna – snem tylko przemijającym".

Zaniedbywana przez męża oraz czująca się przez kalectwo nieatrakcyjnie jako kobieta mogła tworzenie fikcyjnych światów stosować jak rodzaj terapii. W liście do Wincentego Krasińskiego przyznaje: „Tego roku bardziej niż kiedykolwiek trzeba uciekać do rzeczy zmyślonych, aby umknąć przed rzeczywistością".

Tytanka pracy

Powieści wychodziły rok po roku. Pierwsza, „Zofia i Emilia", powstała w trzy tygodnie. O drugiej, zatytułowanej „Wieczór adwentowy", brat napisał do Michała Grabowskiego: „Najlepszy może z jej romansów i najwięcej przez Pana chwalony, był napisany, poprawiony, przepisany i do druku wygotowany w przeciągu dni dwunastu". Najdłuższe dzieło, „Pierwsza młodość. Pierwsze uczucia", według Ossolińskiej zajęło pisarce miesiąc.

Takie tempo pracy tłumaczy fakt, że wskutek utraty wzroku swoje opowieści dyktowała. Piotr Chmielowski zdradza: „Dyktowała prawie bez przerwy od 9-tej z rana do obiadu, po obiedzie znowu do wieczora; jedna osoba nie mogła nastarczyć pracy notowania".

W recenzji „Pierwszej młodości" wytknięto pewne potknięcia fabuły, niemniej oceniono utwór jako „prawdziwie narodowy". Pierwsze wydania wszystkich powieści miały powodzenie, lecz drugie zbiorowe nie odniosło takiego sukcesu. Może dlatego, że w latach 40. XIX w. na dobre zapanował romantyzm i zmieniły się czytelnicze gusty. Trzecie wydanie, tzw. brukselskie, ukazało się w 1862 r., kiedy inne były potrzeby ducha, inne problemy, zdezaktualizowały się dawne ideały, jak choćby pochwała patriarchalnego współistnienia dwór–wieś. Natomiast popularnością cieszył się niezmiennie „Upominek dla dzieci" z 1828 r., powtórzony pod nieco zmienionym tytułem w latach 40. W nowszych czasach ukazała się jedynie w 1958 r. „Zofia i Emilia", opatrzona krótkim posłowiem.

Zajmująco pouczające

Utwory wyszły spod lekkiego pióra. Zawierają elementy „powieści pedagogicznej", tzn. autorka ukazuje wzory i antywzory postępowania, co miało „wychowywać" czytelnika. Dzieje się tak np. w przypadku dwóch sióstr, Zofii i Emilii, wychowanych w różny sposób, a potem mierzących się z takimi samymi problemami, dzięki czemu dochodzi do zderzenia dwóch systemów pedagogicznych. Wniosek, który jest lepszy, czytelnik ma wyciągnąć sam, nie jest nachalnie pouczany wprost.

Kapitalne są opisy miejsc, zwłaszcza wnętrz. Drobiazgowo „opowiedziane" pokoje mówią więcej o właścicielach niż charakterystyka samych osób. A wśród świetnie nakreślonych postaci, oprócz pierwszoplanowej bogatej szlachty, mamy rządców, ekonomów, ochmistrzynie, arendarzy, pokojowe, doktorów, guwernerów i duchownych. Tworzą one barwną panoramę sarmackiej Rzeczypospolitej i widać, że autorka ma serce do poczciwej staroświeckości i „staropolskości". Posiada również zacięcie satyryczne, gdyż nader złośliwie zdarza się jej potraktować pretensjonalne damy i ich fumy. Przydałoby się dziś krytyczne wydanie dzieł Elżbiety Jaraczewskiej, by przywrócić pisarce słusznie należną pozycję w historii naszej literatury. Te trzy powieści mogą śmiało konkurować z twórczością Jane Austen czy sióstr Brontë. Czyta się je równie dobrze.

Małżonek-karciarz wziął udział w powstaniu listopadowym i nawet wystawił pułk jazdy, którym dowodził. Zmarł 22 lipca 1831 r. w Płocku na cholerę. Polska Jane Austen odeszła rok później w Krakowie i tam najprawdopodobniej została pochowana. Jedni twierdzili, że przyczyną śmierci był rak piersi, drudzy – że to z powodu choroby nerwowej, na którą zapadła po zgonie męża. Miała 41 lat, mogła jeszcze wiele napisać.

Biblioteka Jagiellońska d17c3c1536

Z SERCEM DO SERCA

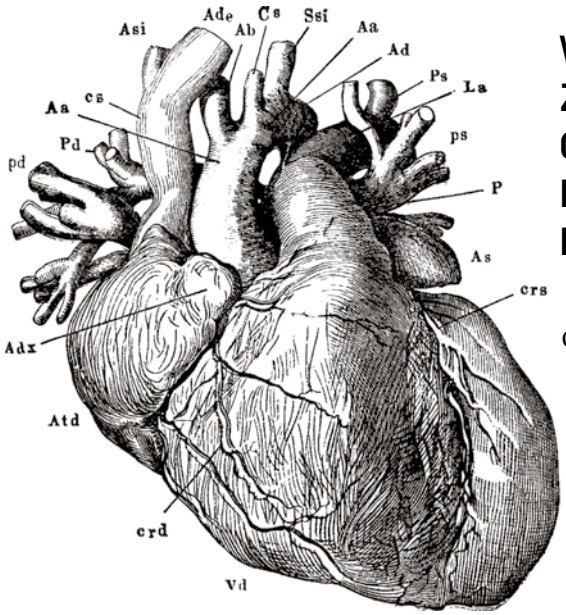

W ARTYKUŁACH POPULARNONAUKOWYCH ZWIĄZANYCH ZE ZDROWIEM CO JAKIŚ CZAS PRÓBUJEMY WARTOŚCIOWAĆ I HIERARCHIZOWAĆ POSZCZEGÓLNE NARZĄDY LUB UKŁADY W ORGANIZMIE CZŁOWIEKA

KRZYSZTOF ŻARYN

Sam niedawno na tych łamach przypisywałem układowi jelitowemu poziom ważności dla naszego zdrowia porównywalny z układem nerwowym. Prawda jest jednak taka, że każdy organ i każdy układ ma tak znaczące funkcje w naszym ciele, iż tylko razem dają holistyczną, niemal perfekcyjną całość. Możemy zatem krakowskim targiem uznać, że wszystkie fizjologiczne układy naszego ciała są równie ważne. Jest jednak pewna kategoria, w której jeden organ i układ z nim związany nie ma sobie równych. Tą kategorią jest symbolika, a organem jest serce i układ krążenia.

W warstwie symbolicznej

Ileż zwrotów i powiedzeń istnieje w naszym języku powołujących się na ten wyjątkowy mięsień. Sam Mickiewicz namawiał nas, żeby: „mieć serce i patrzać w serce". Często można usłyszeć sugestię, by słuchać swego serca. Gdy wydarzy się coś smutnego, to serce pęka nam na kawałki, a kiedy się stresujemy, to podchodzi do gardła. Wystarczyłoby wspomnieć o symbolice związanej z miłością – wyraźną zwłaszcza 14 lutego, kiedy jesteśmy „zalewani" symbolami serca na każdym kroku. Można by złośliwie wspomnieć, że hormon, który wiąże się z odczuciami przypisywanymi miłości, czyli oksytocyna, produkowana jest przez podwzgórze, czyli mózg. Wątpliwe jest jednak to, czy czekoladki z ilustracją ludzkiego mózgu sprzedawałyby się tak dobrze jak te z ładnym serduszkiem. Z tych m.in. powodów serce i układ krążenia mają w naszym mniemaniu szczególne miejsce w ocenie pracy organizmu. Co ciekawe, wiedza na temat kardiologii narodziła się w stosunkowo nieodległych czasach.

W realu starożytności

To, że choroby serca występowały w najdawniejszych latach, wiemy albo z opisów przypadków, których objawy odpowiadają dzisiejszej wiedzy o chorobach serca, albo ze współczesnych badań. Problemem ludzi pierwotnych było to, że często śmierć nie następowała z tzw. przyczyn naturalnych, tylko braku możliwości przetrwania. Wówczas bardziej naturalne było zjedzenie przez coś dużego, niżeli choroby układu krążenia, które dziś są najbardziej śmiercionośnym zjawiskiem. Dopiero wraz z rozwojem bezpieczeństwa i paradoksalnie medycyny zaczęliśmy częściej zapadać na różne dolegliwości obserwowane u osób starszych. Jednak brak rozumienia funkcji serca nie oznaczał, że problemy kardiologiczne w ogóle nie występowały.

Pierwsze wzmianki o bardziej konkretnym znaczeniu odnaleźć można w egipskich zapiskach. Papirus z XV w. p.n.e. zawierał opis przypadłości, który badacze określili jako chorobę wieńcową. Niedawno zespół prof. Randalla Thompsona z Instytutu Kardiologii w Kansas City przeprowadził bardzo ciekawe badanie. Przeanalizował wiele

Rycina z „Exercitatio Anatomica de Motu Cobis et Sanguinis in Animalibus" Wiliama Harveya oraz portret autora

FOT. SHUTTERSTOCK (2X); BIODIVERSITY HERITAGE LIBRARY

eprasa.pl d17c3c1536

starożytnych mumii, z których najstarsze były sprzed 4 tys. lat. Większość z nich pochodziła z Egiptu, ale były też mumie peruwiańskie oraz z Ameryki Środkowej. Na prawie 150 przypadków w ok. jednej trzeciej z nich zdiagnozował występowanie miażdżycy tętnic, czyli złogów w naczyniach krwionośnych, które są powodem zawałów i udarów.

W starożytnej Grecji mamy już do czynienia z bardziej konkretnymi opisami chorób krążeniowych. Hipokrates pisał o bólach serca, które są jak szpony ściskające pierś. Seneka opisał to dokładniej, pewnie dlatego, że sam cierpiał na dusznicę bolesną: „Napad trwa bardzo krótko i jest podobny do burzy, ustaje zaś po upływie mniej więcej jednej godziny, któż bowiem mógłby żyć dłużej bez oddechu. Zaznałem już wielkich cierpień ciała i niebezpieczeństw, żadne jednak nie wydaje się mi się od tego dokuczliwsze". Z kolei w Ewangelii św. Łukasza przywołany jest przypadek, gdy Jezus uzdrawia człowieka chorego na puchlinę wodną, czyli nękanego bardziej nam znanymi obrzękami związanymi m.in. z nadciśnieniem i nieprawidłową pracą serca. W opisach medycznych pojawiały się nieśmiałe wzmianki o metodach leczenia tej dolegliwości. Stosowano środki moczopędne – urginię morską lub konwalię. Jednak były to jedynie próby wpływania na tę dolegliwość. W późniejszym okresie zaczęto przekłuwać powstające obrzęki, przez co pozbywano się gromadzonego płynu. Była to obowiązująca metoda leczenia aż do rozwoju kardiologii.

Naukowo

Za moment powstania tej dziedziny medycyny uznaje się odkrycie zjawiska krążenia krwi przez Williama Harveya, opublikowane w pracy „Exercitatio Anatomica de Motu Cordis et Sanguinis in Animalibus" w 1628 r.

Wpływ na rozwój tej dziedziny nauki miał Adam Christian Thebesius – to niemiecki anatom, który urodził się w dzisiejszej Wielkopolsce, a zawodowo mocno związał się z Jelenią Górą. Jego ranga w światku medycznym urosła, gdy w 1708 r. jako pierwszy opisał morfologię żył i ich funkcje. Otrzymał za to tytuł doktora. Był pierwszą osobą, która zaobserwowała występowanie zjawiska miażdżycy. Określił ją mianem kostnienia tętnic wieńcowych. Ten opis ma dużo sensu, bo składnikiem, który odkłada się w blaszkach miażdżycowych, jest wapń.

Największym bodźcem dla rozwoju kardiologii było dzieło francuskiego lekarza Jeana Baptiste'a de Sénaca, nadwornego medyka Ludwika XV. W połowie XVIII w. wydał opracowanie w całości poświęcone funkcjonowaniu i chorobom układu serca. Jako pierwszy obrazowo i precyzyjnie opisał funkcje całego układu krążenia. Omówił objawy towarzyszące jego niewydolności. Sugerował, że wpływ na duszności związane z chorobami serca mają pozycje naszego ciała. Pierwszy też powiązał z chorobami serca obrzęki kończyn, które próbowano leczyć od setek lat, nie znając ich przyczyny. Jako sposób ich leczenia zaproponował nakłuwanie osierdzia. W dziele jego autorstwa odnajdujemy propozycję stosowania chininy jako środka wpływającego na miarowość bicia serca. Arytmia opisana jest jako „rewolucyjne bicie serca". Podtrzymał pogląd o korzyściach stosowania środków moczopędnych (urginia morska, konwalia) do walki z gromadzeniem się wody.

Późniejsze odkrycia, a tym samym ewolucja wiedzy na temat krążenia, następowały lawinowo i często w tym samym czasie. Coraz dokładniej poznawano pewne procesy i powody powstawania zaburzeń zdrowotnych czy zgonów. Na większą uwagę zasługuje moment odkrycia zatoru tętnicy w ciele osoby wciąż żyjącej. W 1878 r. Heinrich E. Ziegler opisał mechanizm zawału serca, a w tym samym roku Adam Hammer udowodnił, że przyczynę tego zjawiska wykryć można u ludzi żyjących. Pracę na ten temat stworzył również polski lekarz Edward Korczyński. Wydał ją w przeglądzie lekarskim pod tytułem „Zator tętnicy wieńcowej serca za życia rozpoznany". Później, w 1902 r., Willem Einthoven skonstruował i zastosował pierwszy elektrokardiograf. Pozwoliło to na szerokie rozpoznanie występujących chorób serca poprzez obraz elektryczny, a to z kolei ocenę rytmu serca i częstotliwość jego pracy. W 1920 r. powstał opis zmian zachodzących w obrazie EKG w momencie wystąpienia zawału serca.

Technologia i dieta

Dalszy rozwój kardiologii był i jest możliwy poprzez rozwój nauki oraz techniki. Dzieją się rzeczy, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu były nie do pomyślenia. Wystarczy wspomnieć Zbigniewa Religę, który w 1985 r. przeprowadził pierwszy udany przeszczep serca. Teraz technika idzie znacznie do przodu. Rozwój sztucznej inteligencji pewnie ten postęp jeszcze przyspieszy.

Z punktu widzenia żywieniowego nasze zachowanie może mieć znaczący wpływ na serce i problemy z nim związane. Przede wszystkim liczba przyjmowanych kalorii może wpływać na nadwagę i otyłość, które są główną przyczyną powstawania nadciśnienia tętniczego. Największym ryzykiem związanym ze zdrowiem jest spożywanie dużej ilości żywności wysokoenergetycznej o dużym stopniu przetworzenia. Zawarte tam tłuszcze trans mogą być czynnikiem prozapalnym, co ma bezpośredni wpływ na powstawanie miażdżycy. Mniejsze znaczenie ma spożycie jajek czy tłustego mięsa, chociaż one w nadmiarze też mogą wpływać negatywnie na nasze zdrowie. Warto jednak pamiętać o ogólnych zasadach żywienia, czyli spożywać duże ilości warzyw i owoców, produktów zbożowych wysokobłonnikowych tak, żeby ilość tłuszczy roślinnych była porównywalna z tłuszczami zwierzęcymi. Ale przede wszystkim unikajmy pochłaniania słodyczy i innych produktów wysokoprzetworzonych. I tę radę pozostawiam państwu na okres świąteczny wraz z życzeniami błogosławionego Bożego Narodzenia. ■

FOT. NATIONAL LIBRARY OF MEDICINE; WELLCOME LIBRARY, LONDON

eprasa.pl d17c3c1536

T-26 BYŁ NAJLICZNIEJ PRODUKOWANYM CZOŁGIEM W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM. OSTATECZNIE POWSTAŁO OK. 12 TYS. EGZEMPLARZY WSZYSTKICH WERSJI

CZOŁG T-26, CZYLI PODPORA ARMII CZERWONEJ

KACPER GROCHOCKI

Pod koniec lat 20. XX w. w Wielkiej Brytanii opracowany został czołg, który odcisnął piętno na rozwoju broni pancernej okresu międzywojennego. Była to konstrukcja firmy Vickers, czyli Vickers Mark E 6-Ton. Wóz przeznaczony na eksport trafił m.in. do Polski, Chin, Finlandii, Bułgarii oraz ZSRR. W przypadku Polski i Sowietów, obok gotowych czołgów, zakupiono również licencję na ich produkcję w kraju. W rezultacie w ten sposób powstały, odpowiednio, polski 7TP oraz sowiecki T-26.

W ZSRR koniec drugiej dekady XX w. wiązał się z ambitnymi planami rozbudowy możliwości armii w zakresie wojsk pancernych. Jednak własne projekty i prototypy nie w pełni satysfakcjonowały dowództwo, dlatego sięgnięto po wspomniane rozwiązanie z zagranicy. Zakupiony czołg, oznaczony jako W-26, udowodnił swoją wyższość nad lokalnymi konkurentami podczas przeprowadzonych w początkach 1931 r. testach poligonowych. Pomimo pewnych prób forowania rodzimej konstrukcji, ostatecznie zadecydowano o wdrożeniu do seryjnej produkcji czołgu brytyjskiego pod oznaczeniem T-26. Po części decyzja ta spowodowana była obawami przed rzekomą wielką rozbudową sił pancernych w Polsce.

Rozpoczęcie seryjnej produkcji na dużą skalę przebiegało powoli, pomimo iż w założeniach projektantów firmy Vickers miał to być czołg prosty i tani. Jednak zakłady produkcyjne w ZSRR stanęły wobec poważnych problemów, m.in. z jakością płyt pancernych czy budową silników. Mimo to kierownictwo wojskowe zakładało, iż w 1932 r. powstanie 3 tys. czołgów T-26. Ostatecznie nie udało się zrealizować nawet połowy tych planów.

Pierwsze seryjnie produkowane wozy T-26 miały dwie wieże. Konfiguracja uzbrojenia była różna – 2 kaemy 7,62 mm albo km 7,62 mm i wkm 12,7 mm lub km 7,62 mm oraz armata kal. 37 mm. Jednak to wprowadzona w połowie 1933 r. wersja z jedną wieżą i uzbrojona w działo kal. 45 mm była najbardziej rozpowszechnioną i najlepszą odmianą tej maszyny.

Model ten ważył niespełna 10 ton (w kolejnych modernizacjach waga uległa zwiększeniu). Nitowany (później spawany) pancerz miał grubość 15 mm na większości powierzchni (pogrubiony od frontu do 20 mm w późniejszych wersjach). Silnik o mocy 90 KM pozwalał na osiągnięcie prędkości maksymalnej na drodze rzędu 31 km/h oraz maksymalny zasięg do 140 km. Załogę stanowiło trzech ludzi: kierowca-mechanik, dowódca/ładowniczy oraz celowniczy.

Czołgi T-26 przez pewien czas były najlepszą konstrukcją w swojej klasie. Dopiero od połowy lat 30. XX w. zaczęły pojawiać się maszyny, które przy podobnej masie mogły pochwalić się grubszym pancerzem, większą szybkością czy manewrowością przy podobnym uzbrojeniu. Mimo to wóz T-26 produkowano aż do 1940 r. (z niewielkim wznowieniem w 1941 r.) oraz stale pojawiały się jego modernizacje i modyfikacje. Ostatecznie powstało ok. 12 tys. egzemplarzy T-26 wszystkich wersji. Był to najliczniej produkowany czołg Armii Czerwonej okresu przedwojennego. Oprócz wspomnianych modeli dwuwieżowych oraz wersji z armatą kal. 45 mm powstały m.in. czołgi radiowe, mostowe, z miotaczami płomieni czy ciągniki artyleryjskie.

Wóz ten przeszedł długi szlak bojowy rozpoczęty w czasie incydentów granicznych w Mandżurii w latach 1934–1935. Następnie czołgi te uczestniczyły w wojnie domowej w Hiszpanii, by ponownie zostać wykorzystanymi w starciach z Japończykami na Dalekim Wschodzie. Później brały udział w agresji ZSRR na Polskę oraz w wojnie zimowej z Finlandią. Wszelkie wady tych maszyn, jak i całego systemu wojsk pancernych ZSRR, uwydatniła operacja Barbarossa – w czasie prób powstrzymania niemieckiej ofensywy po 22 czerwca 1941 r. T-26 poniosły ogromne straty. Od tego czasu wozy te stały się pomocniczymi, a ich rola była ograniczana. Na koniec wojny czołgi T-26 po raz kolejny powróciły na Daleki Wschód, by walczyć z Japończykami. W 1947 r. pozostałe jeszcze w jednostkach egzemplarze zostały wycofane ze służby – niewielka część trafiła do muzeów, reszta na złom.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d17c3c1536

NAC

Autobus Chevrolet 183 FS z generatorem gazu w przyczepce na ul. Sienkiewicza w Krakowie, lata 1940–1942

HOLZGAS

Silniki spalinowe w początkach swojej historii spalały głównie paliwo gazowe. Liczne niedogodności związane m.in. ze szczelnością zbiorników sprawiły, że w pojazdach ostatecznie zwyciężyły paliwa płynne. Gaz zaś był używany w przemysłowych silnikach stacjonarnych. Wytwarzano go w gazowniach przez ogrzewanie węgla w wysokiej temperaturze – w efekcie powstawał koks i gaz, zwany miejskim lub świetlnym. Po I wojnie światowej, która wywołała ogromne niedobory paliw, powrócił pomysł wykorzystania gazu do napędu pojazdów. Surowcem, zamiast węgla, było drewno drzew liściastych, pocięte na kilkucentymetrowe kostki i umieszczane w pionowym cylindrze. Cylinder (gazogenerator, zwany też czadnicą) podgrzewany był od spodu przez palenisko. Pod wpływem ogrzewania bez dostępu powietrza z drewna powstawał węgiel i wydzielały się gazy, z których ok. 40 proc. było palnych (tlenek węgla, wodór, metan). Resztę stanowił niepalny dwutlenek węgla i azot. Otrzymany gaz należało w odpowiedniej instalacji oczyścić z pyłu, pary wodnej i smoły, a następnie schłodzić. Wówczas, po zmieszaniu z powietrzem w mieszalniku, mógł zasilać silnik.

Uruchomienie generatora wymagało załadowania drewna i rozpalenia paleniska, a następnie włączenia elektrycznego wentylatora zapewniającego ciąg i odczekania ok. 30 min. Gdy instalacja zaczęła wytwarzać gaz odpowiedniej jakości – co sprawdzano, obserwując płomień w specjalnej dyszy – silnik uruchamiano tak jak każdy inny. W niektórych rozwiązaniach pozostawiano równolegle zasilanie benzynowe, pozwalające na szybki wyjazd w trasę lub krótkie jazdy bez czekania, aż generator gazu zacznie pracować. Z uwagi na mniejszą kaloryczność gazu w porównaniu z benzyną silnik napędzany gazem drzewnym tracił do 30 proc. mocy, zaś reakcja na wciśnięcie pedału przyspieszenia była bardzo leniwa. Cała instalacja miała dużą masę i objętość, do której trzeba doliczyć też zapas drewna. Drewno należało uzupełniać co 80–100 km i to bez wyłączania silnika, ryzykując wybuch gazu. Dodatkowo trzeba było to zrobić, zanim zapas całkowicie się wyczerpał. W przeciwnym wypadku, po „zatankowaniu", należało czekać na wytworzenie się dostatecznej ilości gazu.

Pomimo tych niedogodności prace nad zasilaniem gazem drzewnym prowadzono w całej międzywojennej Europie. W Polsce gazogenerator stosowano m.in. w niektórych wersjach ciężarówek PZInż 713 i autobusów PZInż 723 – przejechanie 100 km wymagało 80 kg drewna zamiast 30 l benzyny w wersji standardowej, zaś osiągana moc była mniejsza o 7 proc. Dla warszawskiej komunikacji miejskiej zamówiono w 1937 r. osiem autobusów firmy Henschel zasilanych gazem. Własnej konstrukcji generator, wzorowany na gazowniach, zbudował w 1935 r. Hipolit Stroiński i zastosował w swoim fordzie.

Gaz drzewny upowszechnił się podczas II wojny światowej w okupowanej przez Niemców Europie. Benzynę zarezerwowano na potrzeby frontu, drewno zaś było łatwo dostępne. Holzgas (niem. gaz drzewny) najczęściej był stosowany w ciężarówkach i ciągnikach, gdzie wady tego rozwiązania były najmniej istotne. Późniejszy znany aktor Wiesław Michnikowski (1922–2017) podczas okupacji odbył kurs prawa jazdy na półciężarowym oplu z instalacją gazową. Wspominał, że jego instruktor, mocno pijany, w czasie jednej z jazd zobaczył wysiadającego z tramwaju żołnierza Wehrmachtu. Szarpnął za kierownicę i wcisnął pedał gazu, każąc Michnikowskiemu „przejechać s...syna". Mała zrywność samochodu napędzanego gazem drzewnym uratowała życie nie tylko Niemcowi, lecz także obu Polakom.

Instalacje na gaz drzewny wyszły z użycia w latach powojennych, choć w niektórych państwach (NRD) utrzymały się dłużej niż w innych (RFN). Obecnie, z uwagi na rosnące ceny paliw kopalnych, powraca zainteresowanie tym napędem. Głównym argumentem jest użycie drewna stanowiącego źródło odnawialne w przeciwieństwie do wyczerpujących się zasobów ropy naftowej.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

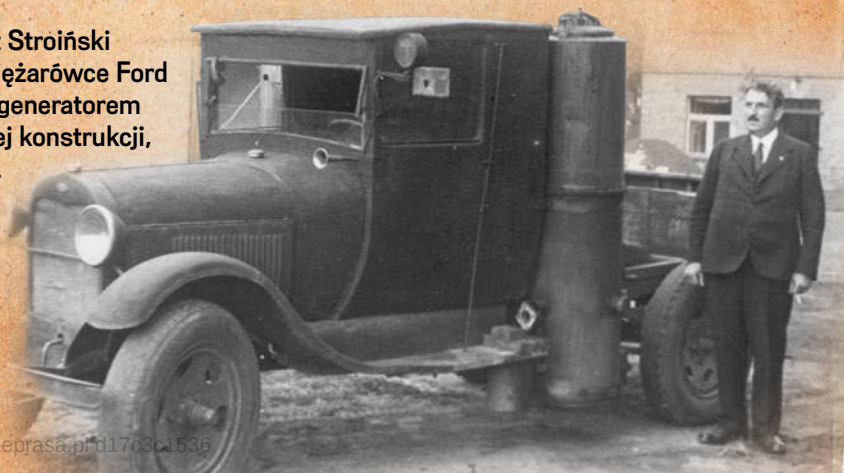

Hipolit Stroiński przy ciężarówce Ford z gazogeneratorem własnej konstrukcji, 1935 r.

FOT. NAC

eprasa.pl id1763c1536

Ostatni numer „wSieci Historii" skłania mnie do spojrzenia wstecz na historię powstawania naszych okładek. Pierwszy numer magazynu pojawił się w kioskach w maju 2013 r. Do jego zakupu zachęcała ilustracja komiksiarza Marka Oleksickiego przedstawiająca bohaterskich żołnierzy pod Monte Cassino. Kolejne okładki wyszły spod cyfrowego pędzla Olgierda Ciszaka, Marka Madeja, Mariusza Kozika oraz Emila Goski. Wszyscy ci artyści, już wtedy rozpoznawalni, w ciągu dekady dokonali warsztatowego skoku kwantowego, który przełożył się na ich sukcesy zawodowe. Punktem zwrotnym „wSieci Historii" była pierwsza okładka zilustrowana fotografią inscenizacji historycznej notabene zainspirowanej rozmową z redakcyjnym kolegą Przemysławem Skrzydelskim. I tak w marcu 2014 r. w mieszkaniu Marii Chmielewskiej (prywatnie mojej cioci) przy ul. Puławskiej pojawili się SS-mani, Polak i Żydówka (oraz ja, fotograf i makijażystka). Kultowa scena z herbatką i pączkami dała mi jasną wizję, w jakim kierunku powinna iść „jedynka", czyli pierwsza strona magazynu. Ambitnej wizji musiała jednak dotrzymywać kroku jakość realizacji. Jej wysoki poziom gwarantowali rekonstruktorzy historyczni, charakteryzatorki (Klaudyna Pabudzińska-Kossek oraz Joanna Wasilewska primo voto Skrzypiec), no i oczywiście fotograf Andrzej Wiktor. Na koniec cudów dokonywał specjalista od postprodukcji Andrzej Swat.

Wprawdzie plan fotograficzny od planu filmowego dzielą lata świetlne, ale to i tak pozwoliło mi poczuć trud produkcji. Za każdą okładką „wSH" leżącą na kioskowych półkach stała sesja poprzedzona tygodniowymi przygotowaniami, na które składały się dziesiątki telefonów, werbowanie rekonstruktorów, wybór kostiumów i szukanie lokacji. A wszystko przy skromnym budżecie. Ostatecznie w najważniejszym dniu, czyli zdjęciowym, byłem półżywy, ale podekscytowany. I to tutaj, niejednokrotnie w ekstremalnych warunkach, wykuwało się moje zaufanie i szacunek dla osób, które wspierały moje projekty okładkowe. Dlatego należy tu przypomnieć o profesjonalizmie Krzyśka Zawidzkiego i chłopaków z GRF Bemowo, Janka Nałęcza i jego grupy Reko.Waw, Małgosi Retkowskiej oraz Michała Kępińskiego z RetroPasji, Grześka Krynickiego i GRH Radosław, Jacka Gradusa i śp. Darka Senatora z SHE im. 7. Pułku Lansjerów Nadwiślańskich, Marcina Lutomskiego z Walhalli, Jarka Struczyńskiego z Zamku Gniew, Macieja Flisa z Twierdzy Wisłoujście, Janka Meyera z Fundacji KPW i wielu innych. Niejednokrotnie pomocną dłoń w naszym kierunku wyciągał Janusz Chojecki, ówczesny dyrektor ds. technicznych w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie, dzięki któremu nie tylko mieliśmy dostęp do kostiumów (ze stylizacją pani Zofii) i rekwizytów, lecz także do pięknych wnętrz gmachu przy pl. Teatralnym. Nie mniej gościnny był prof. dr hab. Wojciech Falkowski, dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, który udostępnił do zdjęć zamkowe sale. Każda sesja to było niepowtarzalne wyzwanie i przygoda, za którą jestem wdzięczny wszystkim, a zwłaszcza dzielnemu druhowi – Andrzejowi Wiktorowi. Dziękuję!

MICHAŁ KORSUN

prasa.pl d17cscl336

Dyrektor artystyczny Michał Korsun

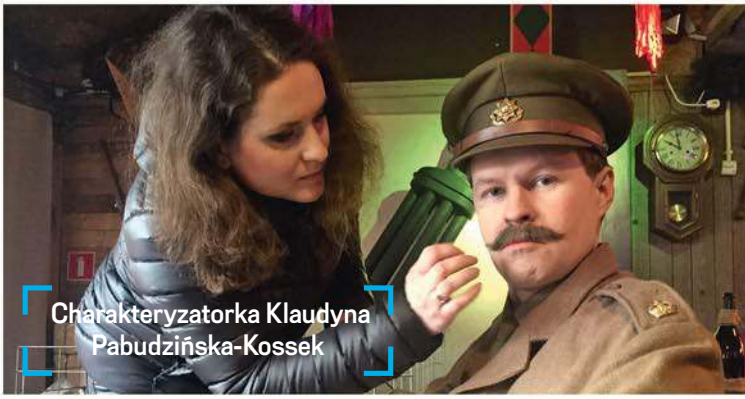

Charakteryzatorka Klaudyna Pabudzińska-Kossek

Fotograf Andrzej Wiktor

Charakteryzatorka Joanna Skrzypiec

prasa.pl

FURAŻERKA HONVEDA

MARIUSZ KWIETNIEWSKI

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Czy jesteśmy w stanie pojąć, co czuje ten człowiek z pierwszego planu, który patrzy w obiektyw? Na pewno nie, możemy tylko przypuszczać, że towarzyszą mu myśli o tym, jak bardzo został upokorzony i zdradzony. Sfotografowano go pośród innych żydowskich mężczyzn na rampie kolejowej. Zapewne niedawno opuścił wraz z nimi wagon widoczny na dalszym planie.

Wspomnianego mężczyznę spośród innych wyróżnia węgierska furażerka wojskowa. Nie wiemy, czy był na froncie. Dzięki wspomnieniom Estery Goldstein wiemy natomiast, że nazywał się Jecheskiel Kornfeld i tak jak ona pochodził z węgierskiej miejscowości Técső. Miasteczko to, leżące nad Cisą, po I wojnie światowej zostało podzielone. Rumunia zajęła część na południe, a Czechosłowacja na północ od rzeki. W marcu 1939 r. północna część została zajęta przez wojska węgierskie, a w 1944 r. przez Armię Czerwoną. Obecnie nazywa się Tiaczów i leży w rejonie zakarpackim Ukrainy.

Fotografię wykonano w maju 1944 r. Ujęta scena przedstawia przybycie do niemieckiego obozu zagłady KL Auschwitz II-Birkenau jednego z transportów węgierskich Żydów. Przed wojną żyło na Węgrzech prawie 750 tys. Żydów. Do maja 1944 r. pozostawali oni względnie bezpieczni, choć pewne regulacje antyżydowskie wprowadzono tam już w 1938 r. Ich sytuacja nie zmieniła się także dwa lata później, kiedy Węgry oficjalnie zawarły sojusz z hitlerowskimi Niemcami. Podczas wojny z ZSRR węgierskie siły zbrojne wsparły Wehrmacht kontyngentem w sile 250 tys. ludzi, w którym byli też Żydzi. Kiedy klęska Niemiec stała się nieuchronna, regent Królestwa Węgierskiego Miklós Horthy zaczął szukać możliwości zawarcia odrębnego pokoju z aliantami. Stało się to przyczyną wkroczenia wojsk niemieckich na Węgry 19 marca 1944 r. Hitler wówczas wymusił na regencie nie tylko zmianę rządu na bardziej przychylny Niemcom, lecz także zgodę na deportację węgierskich Żydów.

To właśnie w takich okolicznościach Jecheskiel Kornfeld trafił do Brzezinki. Stoi teraz na rampie i oczekuje na selekcję. Przeżyje tylko wtedy, kiedy SS-mani zakwalifikują go jako zdolnego do pracy. W maju 1944 r. znane już były raporty Jana Karskiego i niektóre z raportów rtm. Witolda Pileckiego mówiące o Holokauście w Polsce. Dzięki temu społeczności żydowskie na całym świecie wiedziały już, co Niemcy robią w obozach z tymi, którzy pracować nie mogą. To zapewne stąd w oczach mężczyzny w furażerce ten niepokój. Jego zabandażowana ręka na temblaku nie wróży niczego dobrego. Może jeszcze liczy na łut szczęścia, gdyż za aparatem fotograficznym stoją oberscharführer Bernhard Walter oraz unterscharführer Ernst Hofmann. Ma zapewne nadzieję, że honvedowska furażerka zrobi na nich wrażenie i wyciągną go z tego tłumu, zanim nadejdzie jego kolej.

Większość transportów z terenu ówczesnych Węgier wyruszała do Auschwitz od maja do lipca 1944 r. W tym czasie 142 pociągi przywiozły ok. 420 tys. Żydów, z czego 330 tys. Niemcy zamordowali m.in. w komorach gazowych.

Żydzi węgierscy na rampie w Birkenau, maj 1944 r.

FOT. IPN

epresa.pl/d17c3c1586

„PODRÓŻ BOHATEREK. POWSTANIE KOBIET"

KATARZYNA UTRACKA

OD SIERPNIA 2023 r. W MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO MOŻNA OGLĄDAĆ WYSTAWĘ CZASOWĄ „PODRÓŻ BOHATEREK. POWSTANIE KOBIET", POŚWIĘCONĄ UDZIAŁOWI KOBIET W POWSTANIU WARSZAWSKIM. BĘDZIE ONA DOSTĘPNA DLA ZWIEDZAJĄCYCH DO MAJA 2024 r.

Nie sposób mówić o powstaniu warszawskim, pomijając rolę kobiet w powstańczej armii. Kobiety były przede wszystkim łączniczkami i sanitariuszkami, ale pełniły także inne ważne i odpowiedzialne funkcje, m.in. prowadziły gospody żołnierskie i kuchnie, gasiły pożary, budowały barykady, pracowały w rusznikarniach, odkopywały ludzi spod gruzów. Zdarzało się również, że walczyły z bronią w ręku. Wszystkie one wykazały się niespotykaną determinacją w walce o wolność, o rodzinę i bliskich, o dom i swoje ukochane miasto. Wystawa zabiera nas w podróż ich śladami. Mityczne boginie Demeter, Hestia, Hera, Atena, Artemida, Afrodyta, Persefona i Mnemosyne prowadzą zwiedzających po wystawie. Każda z bogiń patronuje odrębnej grupie uczestniczek powstania.

Ekspozycji towarzyszą fotografie i obiekty związane z bohaterkami, niektóre bardzo osobiste, jak łyżka s. Bronisławy Węglińskiej pielęgnującej rannych w Szpitalu Świętego Ducha przy ul. Elektoralnej czy figurka Matki Boskiej s. Lucyny Reszczyńskiej, szarytki, sanitariuszki w szpitalu przy ul. Kopernika. Z boginią Demeter zidentyfikować możemy prawie 7 tys. pielęgniarek i sanitariuszek, które wzięły udział w powstaniu.

Wystawa prezentuje również sylwetki kobiet, które na zapleczu frontu prały, cerowały i gotowały. Tak jak Mirosława Osmólska „Seweryna", która w ramach służby w batalionie „Golski" pracowała w kuchni żołnierskiej znajdującej się w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Koszykowej. Na ekspozycji zobaczymy fartuszek „Seweryny".

Pamiątki po konspiratorkach znajdziemy u bogini Hery, np. osobiste przedmioty Heleny Jamontt „Heli". Jeszcze przed powstaniem doprowadziła ona do współpracy różnych organizacji konspiracyjnych, dzięki którym wysyłano leki oraz żywność jeńcom i więźniom obozów koncentracyjnych na terenie III Rzeszy i okupowanej Polski. Łączniczka „Hela" poległa 21 sierpnia 1944 r. w walkach na Starym Mieście.

W części, której patronuje Atena, można zobaczyć szczotkę-skrytkę legendarnej gen. Elżbiety Zawackiej „Zo", kurierki Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej AK, która w skrytce woziła na Zachód meldunki i raporty, a do Warszawy wracała z pocztą i pieniędzmi. To właśnie „Zo" w lutym 1943 r. wyruszyła do Londynu z misją uregulowania statusu kobiet w wojsku. Wróciła do kraju, skacząc ze spadochronem jako jedyna kobieta w gronie 316 cichociemnych.

Wśród eksponatów Artemidy znajdziemy czapkę „Małej Basi", czyli Barbary Synoradzkiej, która początkowo jako łączniczka w Obwodowej Składnicy Meldunkowej roznosiła meldunki na terenie Śródmieścia, a następnie przechodziła kanałami, by dostarczyć na Stare Miasto granaty. Czapka pilotka chroniła wówczas jej warkocze.

Kobiecość kwitła również w czasie walk. Nad okupowaną Warszawą alianccy lotnicy zrzucali pomoc w metalowych zasobnikach, do których dołączone były niewielkie spadochrony. Z jedwabnych czasz spadochronowych kobiety szyły sukienki, koszule, bluzki, a nawet suknie ślubne. Taką bluzkę znajdziemy na wystawie u bogini Afrodyty. Tam zobaczymy także inne przedmioty i zdjęcia kobiet żołnierzy, które – mimo że często nie miały ubrań na zmianę i brakowało im wody do mycia – robiły wszystko, aby wyglądać jak najlepiej. Pomagało im to zachować godność i dodawało otuchy.

* * *

Łącznie w powstaniu warszawskim uczestniczyło blisko 12 tys. kobiet, co stanowi ok. 20 proc. wszystkich powstańców. Po zakończeniu walk ok. 2,5 tys. z nich trafiło do niewoli na równych prawach z mężczyznami. W starciach powstańczych zginęło ok. 1,2 tys. kobiet. Za swoje poświęcenie i bohaterstwo niektóre z nich zostały uhonorowane najwyższym polskim odznaczeniem wojennym – Orderem Virtuti Militari. Po wojnie część bohaterek, podobnie jak ich koledzy, była prześladowana przez komunistyczny aparat represji.

Wystawa „Podróż bohaterek. Powstanie kobiet" w MPW

FOT. KATARZYNA STEFANOWSKA

NA IV OKŁADCE 25/1123/F

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl d17c3c1536